

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/594

1997



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

APEL W ROCZNICĘ „OPERACJI WISŁA”

M. WILK: ZAPISKI SOŁOWIECKIE

B. ZIOŁA: PO LATACH –

W PIERWSZEJ MAŁEJ OJCZYŹNIE

SMECZ: Z UKOSA

**E. BERBERYUSZ: KARTKI ZE SKAŻONEJ
STREFY**

SPIS RZECZY

—	<i>Apel w rocznicę „Operacji Wisła”</i>	3	
Mariusz Wilk:	<i>Zapiski sołowieckie</i>	6	
Bronisław Ziola:	<i>Po latach – w pierwszej malej ojczyźnie</i>	22	
ARCHIWUM POLITYCZNE			
Kamila Chylińska:	<i>Niespokojna jesień w Niemczech</i>	49	
KRAJ			
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	60	
Krzysztof Wolicki:	<i>Nic nie jest przesądzone</i>	74	
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	88	
SPRAWY I TROSKI			
Boruta:	<i>Polska polityka narodowościowa na kilku przykładach</i>	95	
Andrzej St. Kowalczyk:	<i>Los archiwum Jerzego Stempowskiego</i>	104	
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA			
Dominik Morawski:	<i>Polskie błędne koło</i>	107	
SĄSIEDZI			
Jan Widacki:	<i>Litwa po wyborach</i>	115	
Andrzej Chrzanowski:	<i>Rozmowa z Czesławem Okińczycem</i>	124	
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	134	
NOTATKI REDAKTORA			138
KRONIKA KULTURALNA			
Andrzej Stach:	<i>W ojczyźnie dwóch języków</i>	142	
Wieniamin Jofe:	<i>Czapski – człowiek „Memorialu”</i>	146	
—	<i>Nagrody</i>	148	
—	<i>Lista członków wspierających Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego</i>	149	
CI, CO ODESZLI			
Jerzy Giedroyc:	<i>Michał Heller</i>	151	
Krzysztof Pomian:	<i>Jerzy Milewski</i>	152	
Mirosław A. Supruniuk:	<i>Prof. Andrzej Kłossowski</i>	155	
KSIĄŻKI			
Teresa Halikowska-Smith:	<i>Nowa książka Danuty Mostwin</i>	157	
Tadeusz Wyrwa:	<i>Nowe katalogi rękopisów w Bibliotece Polskiej w Paryżu</i>	159	
—	●		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	163	
S. Abner, E. Balcerzan i inni, A. M. Garlicki, T. Mianowicz, A. Nasielski, A. Styrzcula, B. Taborski, J. Timoszewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	167	
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	174	

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec/Mars 1997

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – po raz 8-my – DM 100,00	F. 340,00
H.M. Arter, Padstow, NSW (Australia) – po raz 3-ci	F. 270,00
Aleksander Bragiński, Jülich (Niemcy) – po raz 46-ty i 47-my (w tym F. 500,00 przysłane 21.12.95, które nie były przez pomyłkę odnotowane. Przepraszamy. Red.)	F. 800,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, ON (Kanada) – po raz 27-my	F. 520,00
Wanda i Irena Brysz, Genewa – dla uczczenia pamięci naszego Męża i Ojca Juliana Brysza, w 5-tą rocznicę jego śmierci	F. 500,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) – po raz 82-gi – dol. 100,00	F. 540,00
Jorge Chmielewski-Polak, Sewilla (Hiszpania)	F. 80,00
Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA) – po raz 24-ty – dol. 34,00	F. 183,00
Dla uczczenia 4-tej rocznicy śmierci naszego Przyjaciela Jana Halperna – Maria Strelcyn z rodziną, Manchester, (Wiel- ka Brytania)	F. 100,00
Dla uczczenia pamięci Marii Wasung – w 4-tą rocznicę Jej śmierci – córka Krystyna – FRS 100,00	F. 375,00
Dla uczczenia pamięci Przyjaciół: Romana Palestra, Karola Wagnera-Pieńkowskiego i Feliksa Konarskiego – Ref- Rena – Weronika i Jacek Machniewiczowie, Paryż	F. 300,00
Stefan Ginilewicz, Bakersfield, CA (USA) – po raz 19-ty – dol. 33,00	F. 178,00
Jacek Hejnar, St. Hubert, Que. (Kanada) – po raz 8-y – dol. can. 60,00	F. 240,00
Maria i Wojciech Hermanowscy, Jamaica, NY (USA) – dla uczczenia pamięci naszego Szwagra i Brata Andrzeja Hermanowskiego, w 5-tą rocznicę Jego śmierci – dol. 26,00	F. 140,00
Danuta i Henryk Hiżowie, Cape May Point, NY (USA) – zamiast kwiatów na trumnę Janiny Kotarbińskiej, ostat- niej z pokolenia naszych wspnianych Nauczycieli – dol. 100,00	F. 540,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa (Kanada) – po raz 21-szy – dol. can. 100,00	F. 400,00
Kazimierz Karwowski, Etobicoke, ON (Kanada)	F. 70,00
J.&M. Kluch, Berala, NSW (Australia) – dol. austr. 1000,00	F. 4.039,40
Tadeusz Knapkiewicz, Uesslingen (Szwajcaria) – po raz 18-ty – FRS 55,00	F. 203,00
Janina Kowalska, Lund (Szwecja) – dla uczczenia 90-tej rocznicy urodzin Redaktora Giedroycia – kor. szw. 130,00	F. 100,00
Lech Krysiwicz, Montreal – po raz 10-ty – dol. can. 80,00	F. 320,00
Kazimierz Laski, Wiedeń – po raz 25-ty	F. 370,00
Ewa i Janusz Lipieccy, Clermont-Ferrand (Francja)	F. 400,00
Jerzy Lipschytz, Göteborg (Szwecja) – po raz 3-ci – kor. szw. 150,00	F. 113,00

Ciąg dalszy WPLAT na stronie 176

Apel w rocznicę „Operacji Wisła”

W 1997 roku przypada pięćdziesiąta rocznica prze-
prowadzenia „Akcji Wisła”, w wyniku której ofiarą masowych
wysiedleń i zbiorowych działań represyjnych stała się ludność
ukraińska południowych i środkowo-wschodnich regionów
Polski. Wspomnienie tej ponurej „Akcji” rzuca cień zarówno
na współzycie społeczne wewnątrz naszego kraju jak i na
stosunki między narodem polskim i ukraińskim. W prze-
szłości stosunków polsko-ukraińskich są karty bolesne i
tragiczne obok pamięci o dobrym współistnieniu i współpracy
obu narodów. Ukraina i Polska, odrodzone w niepodległym
i demokratycznym bycie, mają ważną rolę do spełnienia w
budowie ładu europejskiego. Jest rzeczą ważną, aby widma
przeszłości nie osłabiały możliwości wypełniania takiej roli i
nie przeszkadzały w budowie polsko-ukraińskiej wspólnoty
interesów i zamierzeń. Wymaga to z obu stron sprawiedliwej
oceny przeszłości. „Akcja Wisła” była rezultatem systemu
stalinowskiego oraz wyrazem totalitarnej ideologii i polityki.
Potępiamy ją jednoznacznie i z całą mocą. Czcimy pamięć jej
ofiar, wyrażamy współczucie wszystkim, którzy noszą bolesną
pamięć krzywdy swoich rodzin i swojej społeczności oraz wy-
rażamy nadzieję, że Sejm RP dołoży starań, by na miarę obec-
nych możliwości, wynagrodzić krzywdy wtedy uczynione.

Andrzej Ananicz, Andrzej K. Aumiller, Leszek
Balcerowicz, Marek Balicki, Jacek Baluch, Jerzy
Bartmiński, Władysław Bartoszewski, Bogumiła

Berdychowska, Zygmunt Berdychowski, Andrzej Bober, Henryka Bochniarz, Jacek Borkowicz, Wojciech Borowik, Adam Borowski, Andrzej Borowski, Bogdan Borusewicz, Juliusz Braun, Jarosław Broda, Piotr Buczkowski, Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Andrzej Celiński, Mirosław Chojecki, Jolanta Chocholak, Jerzy Ciemniowski, Ireneusz Cieślík, Leszek Chwat, Grzegorz Cyganik, Izabella Cywińska, Waldemar Dąbrowski, Maria Dmochowska, Krzysztof Dołowy, Jan Dworak, Roman Duda, Małgorzata Dzieduszycka, Jerzy Eysymont, Tomasz Fiałkowski, Czesław Fiedorowicz, Krzysztof Figel, Grzegorz Figura, Zbigniew Florczak, Władysław Frasyniuk, Andrzej Friszke, Andrzej Gaberle, Wojciech Gasparski, Radostaw Gawlik, Bronisław Geremek, Jerzy Giedroyc, Zbigniew Gluza, Jarosław Gowin, Marian Grześczak, Jerzy Gwiżdż, Adam Hanuszkiewicz, Józefa Hennelowa, Lothar Herbst, Adam Hlebowicz, Gustaw Holoubek, Stanisław Husakowski, Barbara Imiolczyk, Aleksander Jackowski, Zbigniew Janas, Andrzej Janowski, Jan Janowski, Tomasz Jarnot, Mirosław Jasiński, Adolf Juzwenko, Małgorzata Kamińska, Wiesław Kamiński, Zdzisław Kamiński, Bogdan Klich, Jerzy Kłoczowski, Antonina Kłoskowska, Aleksander Koj, Eugeniusz Koko, Jerzy Kolczyński, Mirosław Kopydłowski, Stanisław Kracik, Jan Król, Krzysztof Król, Waldemar Kuczyński, Zofia Kuratowska, Joanna Kurczewska, Jacek Kurczewski, Jacek Kuroń, Marek Kurzyniec, Marek Langda, Irena Lipowicz, Jan Lityński, Krzysztof Luks, Andrzej Łoś, Andrzej Machowski, Janusz Maciejewski, Piotr Madajczyk, Agnieszka Magdziak-Miszewska, Tadeusz Maj, Zbigniew Makarewicz, Aleksander Małachowski, Piotr Marciniak, Henryk Markiewicz, Tadeusz Mazowiecki, Zbigniew Mączka, Jerzy Meysztowicz, Andrzej Micewski, Adam Michnik, Zdobysław Milewski, Czesław Miłoś, Piotr Mitzner, Leszek Moczulski, Kornel Morawiecki, Piotr Mucharski, Zdzisław Najder, Małgorzata Niespodzińska, Zbigniew Nosowski, Maria Nowakowska, Jerzy Marek Nowakowski, Piotr Nowina-Konopka, Barbara Okoniewska, Jan Okoński, Michał Okoński,

Jan Olszowski, Janusz Onyszkiewicz, Zbigniew Opacki, Mieczysław Orski, Piotr Pankanin, Aleksander Paszyński, Robert Pawłowski, Krzysztof Piesiewicz, Wiesław Pietruszak, Piotr Polmański, Adam Pomorski, Jerzy Przystawa, Włodzimierz Puzyna, Anna Radziwiłł, Krzysztof Radziwiłł, Jan Maria Rokita, Andrzej Romanowski, Zbigniew Romaszewski, Andrzej Rościszewski, Jan Rulewski, Józef Maria Ruszar, Paweł Saar, Henryk Samsonowicz, Tomasz Schoen, Krystyna Sienkiewicz, Jacek Sieradzki, Włodzimierz Siwiński, Bohdan Skaradziński, Krystyna Słomińska, Leszek Słomiński, Wiesław Słomiński, Artur Smółko, Stefan Starczewski, Joanna Staręga-Piasek, Tadeusz Stegner, Bożena Steinborn, Stanisław Stępień, Maria Stolzman, Tomasz Strzembosz, Hanna Suchocka, Bolestaw Sulik, Tadeusz Syryjczyk, Jarosław Szostakowski, Adam Szostkiewicz, Bernard Szweda, Iwona Śledzińska-Katarasińska, Jacek Taylor, Ludwik Turko, Jerzy Turowicz, Andrzej Urbanik, Andrzej Wajda, Roman Wapiński, Jan Waszkiewicz, Andrzej Werner, Andrzej Wielowieyski, Stefan Wilkanowicz, Tomasz Wiścicki, Jerzy Wocial, Jacek Woźniakowski, Henryk Woźniakowski, Jerzy Woźnicki, Wojciech Wrzesiński, Ludwika Wujec, Henryk Wujec, Krystyna Zachwatowicz, Bogdan Zadura, Maria Zajączkowska, Andrzej Zakrzewski, Paweł K. Zalewski, Marek Zieliński, Franciszek Ziejka, Wiesława Ziółkowska.

Zapiski sołowieckie

„Dawniej w Rosji panował zwyczaj odmawiania oczyszczających modlitw w domu, gdzie przebywał cudzoziemiec i kropienia święconą wodą wszystkich przedmiotów, które on dotykał”

Wasilij Kluczewskij, „Kurs russoj istorii”, V, 410

1.

Ondatra zibethica. Czyli piżmaki, szczury wodne. Na Sołowki przywiezione (z Michigan) za czasów łagru i hodowane na wyspach Długiej zatoki ze względu na cenne futro. Zeka nazywali je „sowieckimi owieczkami” i podkradali im mięso. Obecnie żyją tu w stanie dzikim. Rozmnożyły się. Opowiedział mi Smirnow, że dziesięć sztuk wlało mu w „mordę” – rodzaj węża. Podniosły siatkę pod samą powierzchnię wody i wystawiły pyszczki, ciężko dysząc. Muzyki kołami przytopili „mordę”. Głębina w tym miejscu była niewielka, jakieś pół metra, więc wyraźnie, jak w akwarium, widzieli, co się działo. Piżmaki mogą jakiś czas przebywać pod wodą bez powietrza. Zatem siedziały spokojnie. Raptem, po paru minutach, jeden rzucił się na drugiego i w mgnieniu oka go zagryzł. To był sygnał. W „mordzie” zakotłowało się, a na powierzchnię jeziora wypłynęły pęcherze krwi. Piżmaki wiodły zacięty bój, każdy przeciw każdemu. Po chwili wszystkie były martwe...

– Tak oto – komentował Smirnow – brak tlenu mózgi im naruszył i agresję wyzwolił. Dzisiaj muzyki siedzą na Wyspach, jak te piżmaki w „mordzie”, a naczalstwo ich

przydusza kołem reform do dna. Tylko patrzeć, kiedy zaczną się gryźć.

2.

Pierwsi cudzoziemcy, angielscy żeglarze Tomas Southem i John Spark, przybyli na Wyspy Sołowieckie w 1566 roku. W ich dzienniku podróży czytamy: „29 czerwca przy wschodnim wietrze wyszliśmy z Żyżgina o piątej po południu. Idąc kursem na południowy zachód, w odległości 30 mil od Żyżgina minęliśmy wyspę zwaną Anzer. 15 mil dalej, wedle tegoż kursu, osiągnęliśmy cypel wyspy Awdon (Sołowiecki)”. Nie wiadomo, skąd Anglicy wzięli nazwę Awdon? W żadnych innych źródłach jej nie ma. Natomiast w „Słowniku cerkiewno-słowiańskim” (protojereja Djaczenki): awdon – to *rabskij*, niewolniczy...

3.

W 1865 roku Wasilij Kluczewskij, wtedy student IV roku wydziału historyczno-filologicznego Uniwersytetu Moskiewskiego, przedstawił swoją dysertację kandydacką pt. „Skazania inostrancew o Moskowski gosudarstwie”. Rok później praca ukazała się w wydaniu książkowym. Wasilij Osipowicz był pierwszym rosyjskim historykiem, który zwrócił uwagę na relacje cudzoziemców o Rosji. Swoje zainteresowanie motywował następująco: „Spowszedniałe zjawiska życia codziennego, mimo których współcześni przechodzili obojętnie, przywykły do nich, szczególnie zajmowały cudzych obserwatorów; albowiem nieobeznany, lub mało obznajomiony z historią naszego narodu, obcy jego pojęciom i zwyczajom, cudzoziemiec nie był w stanie prawidłowo objaśnić wielu zjawisk życia rosyjskiego, często nie potrafił ich nawet bezstronnie ocenić, natomiast opisać je, pokazać ich najbardziej charakterystyczne cechy, wreszcie opowiedzieć o pierwszych wrażeniach jakie na nim wywołały, mógł lepiej i pełniej niż ludzie, którym owe zjawiska opatrzyły się z domowej perspektywy. Dlatego zapiski cudzoziemców mogą być ważnym dopełnieniem rodzimych zabytków historycznych”.

4.

„Rosja i Sołowki” – temat konferencji, zorganizowanej

na Wyspach Sołowieckich przez niemiecki fundusz „Friedrich-Naumann-Stiftung”, riazański oddział „Memoriału” i sołowieckie muzeum. Głównymi uczestnikami dyskusji mieli być studenci moskiewskich uczelni z sołowieckiego *strojotriady*, czyli ochotniczego hufca pracy, oraz pracownicy muzeum. Ci ostatni nie stawili się. W spotkaniu wzięli też udział goście: profesor Karl Schlegel z Niemiec, Andriej Blinuszow i Julia Sereda z riazańskiej *Karty*, radca niemieckiej ambasady Dietrich Studemann, publicystka Sonia Margolina i fotograf Jurij Brodskij. Dyskutowano w sali hufca, w Praciecznym korpusie monastyrza. Atmosfera panowała wakacyjna, pachniało młodym potem i dymem ogniska. Na stołach stały soki owocowe z importu, leżały czekoladki, ciastka, banany i jabłka. Sołowieckim dzieciom ślinka by pociekła, pomyślałem, bo takich rzeczy nie jadają. Niemieccy goście, nienagannie punktualni, siedzieli z boku, pobłyskując złotymi oprawkami okularów i rozsiewając wokół siebie zapach drogich wód kolońskich, jakich tutaj się nie pija. Młodzież schodziła się leniwie, w drzwiach szumiało, tłoczno. Żartowali, śmiali się. Wysmukli, o twarzach miękkich, subtelnych, jakże niepodobni do swoich sołowieckich rówieśników, prymitywnych, zidiociałych od wódki. Wśród uczestników spotkania rozdano program, pytania do dyskusji: „Kto winny? Co robić? Czy przeszłość może być lekcją dla przyszłości?” Niemcy powoli się irytowali, nieprzywykli do lekceważenia czasu. Zatem redaktor Blinuszow zaczął spotkanie. Na wstępie omówił reguły dyskusji, przedstawił gości spotkania i oddał głos profesorowi Schlegelowi, by ten zagaił. Profesor rzekł, że nie daje mu spokoju cisza, zmowa milczenia, które towarzyszyło wyczynom nazistów w Niemczech i przyjechał na Sołowki, żeby się dowiedzieć, co młodzi Rosjanie myślą tutaj, na szczątkach SŁON-a, o swoich dziadkach i ojcach? Jako historyk interesuje się wpływem niedawnej przeszłości na rzeczywistość dnia dzisiejszego. Następnie puścił dyktafon po sali, by każdy się doń przedstawił i wyjaśnił motywy swojego przybycia na Sołowki. Zrobiło się zamieszanie, studenci udawali wesołków, popisywali się jeden przed drugim, niektórzy jawnie kpili. Zrazu było widać, iż nie zamierzają się odkrywać i na patos organizatorów spotkania odpowiedzą żartem. – *No i pticy letjat na siewier, jesli*

im nadojest tjepto – zanuciła piosenkę Wysockiego dziewczyna z filologii rosyjskiej, śliczna i płowa. A potem jeszcze dorzuciła, że jak każdy humanista, nie lubi alkoholu w kolektywie i woli pić sama, zaś tutaj, na Sołowkach, łatwo się odosobnić. Gruchnął śmiech i oklaski. Oni przyjechali na wakacje, a nie roztrząsać grzechy ojców. Redaktor Blinuszow, jakby nieco zażenowany niefrasobliwością rosyjskiej młodzieży, postanowił dać przykład i opowiedział o swojej drodze do „Memoriału”. O dziadku, komendancie sowieckiego łagru, o tym, jak przed małym Andrjuszą w domu skrywano prawdę, a kiedy pytał o wychudłych ludzi za drutem kolczastym na zdjęciach z rodzinnego albumu, to mu mówiono, że to dziadkowi żołnierze. Sam Andrej pracował parę lat w riazańskiej milicji, póki nie doszło do pałowania ludzi, którzy mieli rację. Wtedy wymówił służbę.

– A gdyby nie mieli racji, to byś ich pałował? – zapytał przyszczaty chłopak z tyłu, z pozoru chłopiek roztropek. Znow oklaski, tym razem i goście bili brawo. Andrej się zmieszał.

W miarę rozwoju dyskusji zagrały emocje i z młodzieży opadła maska. Przez śmiech przezierały przekonania, czasami nawet wiara. Coraz wyraźniej zaznaczał się rozróż między organizatorami spotkania a studentami. Kością niezgody okazało się pytanie Karena Akopiana, zamieszczone w programie dyskusji: „Czy może być mowa o duchowym odrodzeniu się społeczeństwa bez szczerzej pokuty całego narodu?” Zadęciu moralnemu członków „Memoriału”, ich kategorycznemu imperatywowi wspólnej pokuty (*pokajanija*) za grzechy ojców i dziadków, młodzi Rosjanie przeciwstawili życie na własny rachunek. – Jeśli chcesz pokutować, idź do klasztoru, módl się, lub powieś – powiedział ów przyszczaty, co przed chwilą zebrał oklaski – innym zaś pozwól żyć, jak oni chcą. Nie wolno rozliczać ludzi za grzechy przodków, bo to prowadzi do zbiorowej odpowiedzialności, a jednocześnie rozmywa osobistą winę. Historię piszą raz ci, raz tamci – z różnych obozów, z przeciwnych pozycji. Zasługi wedle jednych, bywają błędami wedle drugich i nikt nie może dać gwarancji, że za dzisiejsze medale jutro nie będziesz siedział. Dlatego nie szukaj usprawiedliwienia w podręcznikach, układanych przez innych, ale sam pisz własne życie i czytelnie się pod nim podpisuj.

– A czy takie lekceważenie historii, relatywizowanie jej, nie zagraża powrotem SŁON-a? – spytał Andrej Blinuszow.

Wyszedłem z sali, nieciekawym ani odpowiedzi, ani konkluzji. O jakim powrocie SŁON-a może być mowa, jeśli duch owego zwierzęcia jest wciąż obecny na Sołowkach? Ba, nie tylko tutaj. Wszak niedawno, w Moskwie, kiedy powiedziałem, że przyjechałem z Sołówek, zapytano, za co mnie posadzili. Dla wielu Rosjan łagier na Wyspach wciąż istnieje. I rzeczywiście, wystarczy spojrzeć nieco uważniej, choćby na chwilę oderwać wzrok od fantów i grantów zachodnich, by zobaczyć wokół siebie drut kolczasty. Realny, konkretny drut, którym dorosli tu grodzą ogrody, a dzieci plotą się wewnątrz, bawiąc się w tiumę. Minionej zimy zjedzono na Sołowkach kilka psów. Z głodu! Marzeniem mojej znajomej jest prywatyzacja pokoju z kuchnią w połagiernym baraku, gdzie żyje od dwudziestu lat. Niestety, wedle ostatniej inwentaryzacji pomieszczeń mieszkalnych w posiołku, ów barak nie istnieje. Mój sąsiad, Sasza Ch., się powiesił, bo przegrał konkubinę w sztos. A błatne przykazanie *nie pojman – nie wor*, określające moralność SŁON-a, słyszałem tutaj nie raz. Na Wyspach ślady SŁON-a widać co krok, zarówno w landszafcie, jak i w ludzkich głowach. Rzecz jasna, żyjąc w najdroższym sołowieckim hotelu i organizując spotkania z młodzieżą, która tu przyjeżdża tylko na wakacje, trudno pojąć, o czym myślałem, wracając do domu.

5.

28 marca 1959 roku Miłosz pisał do Mertona: „Geoffrey Gorer utrzymuje, że było tylko jedno społeczeństwo oparte na zasadzie grzechu – w przeciwstawieniu do społeczeństwa zachodniego, opartego na zasadzie winy – a mianowicie carska Rosja. Czuję, że tu utrafił w sedno. Wina jest indywidualna, to jest moja wina. Grzech jest uniwersalny – nie ja jestem winien, lecz społeczeństwo, a ja mogę zostać zbawiony nie przez mój wysiłek (łaskę daną mnie), lecz przez zbiorowość. Dlatego właśnie oni zawsze poszukują Królestwa Bożego, ale umiejscowionego w czasie, podstawiając pod nie komunizm, a w przyszłości być może inny rodzaj eschatologii. Natomiast osobista odpowiedzialność zostaje rozmyta i w roku 1945 byłem świadkiem morderstw, popełnianych

przez rosyjskich żołnierzy z głębokim poczuciem grzechu, ale bez jakiegokolwiek poczucia osobistej winy”. Po tej cytacji warto wrócić, na moment, do wczorajszej dyskusji w sołowieckim monastyrze. Karen Akopian pyta, czy jest możliwe duchowe odrodzenie społeczeństwa bez szczerzej pokuty całego narodu? [Nawiasem mówiąc, słowo pokuta (*pokajanije*) robi obecnie w Rosji niebywałą karierę, wystarczy wspomnieć tytuł głośnego filmu Tengiza Abuładze. O *pokajanii* śpiewa Biczewskaja (do słów wiersza ojca Romana), do *pokajanija* wzywa Sołżenicyn, *pokajanije* nie schodzi z ust neofitom prawosławia, pielgrzymującym na Sołowki i wnet o *pokajanii* będą się muzyki w szynkach spierać, niczym u Dostojewskiego]. Ale przecież pokuta to zadośćuczynienie za grzechy, zatem pytanie umieszczone w programie wczorajszej dyskusji, potwierdzałoby intuicję Gorera („jest tylko jedno społeczeństwo oparte na zasadzie grzechu”) – rzecz dotyczy społeczeństwa rosyjskiego. No tak, powie ktoś, ale z drugiej strony są studenci z ochotniczego hufca pracy, którzy tak się byli zacietrzewili. Oni chcą żyć normalnie, jak żyją ich rówieśnicy na Zachodzie i nie zamierzają, bynajmniej, kajać się kolektywnie za grzechy przodków. Może więc młodzi Rosjanie zerwą wreszcie z wielowiekową tradycją „społeczeństwa opartego na zasadzie grzechu” i przestaną szukać Królestwa Bożego na ziemi, a zaczną żyć wedle indywidualnej odpowiedzialności za własne czyny? Niestety, obawiam się, że to pytanie jest równie akademickie, jak cała dyskusja w Praciecznym korpusie, bowiem rzeczywistość za oknem wykrzywiła mordę i do tych, co chcą się kajać i do tych, co myślą żyć na własny rachunek.

6.

Rossika – osobny gatunek piśmiennictwa, wyodrębniony i sklasyfikowany przez specjalistów przedmiotu (np. J. Limonowa, redaktora wielotomowej „Rossii głazami inostrancew”), obejmujący relacje cudzoziemców o Rosji, zarówno naoczne, jak i oparte na słuchach z ust trzecich. Dla przykładu Miechowita, prekursor polskich zainteresowań Rusią, autor słynnego „Traktatu o dwóch Sarmacjach” (wyd. Kraków, 1517), sam tu nigdy nie był, zaś wiadomości o wschodnich sąsiadach czerpał najprawdopodobniej z opowiadań jeńców

rosyjskich, wziętych do niewoli w bitwie pod Orszą. Stąd moc niejasności i fantazjowania w jego dziele. Inny klasyk tego gatunku, Siegmund von Herberstein, autor „Rerum Moscoviticarum Commentarii” (wyd. Wiedeń, 1549), był co prawda w Moskwie dwukrotnie, w latach 1517 i 1526, jako poseł Habsburgów, lecz jego opis państwa ruskiego, choć szczegółowy i z mapami, też nie jest wolny od fantazji, zwłaszcza tam, gdzie Herberstein sam nie chadzał, tylko się opierał na relacjach innych, na przykład w opisie Wysp Sołowieckich. I dopiero angielscy żeglarze XVI wieku, jak Thomas Southern i John Spark, pisali rzeczywiście o tym, co sami widzieli. Później było różnie. Pisywali o Rosji dyplomaci, najemnicy, uczeni i szpiedzy, podróżnicy, pisarze, więźniowie i zsylni. M.in.: jezuita Antonio Possevino, legat papieski Grzegorza XIII, niemiecki awanturnik Heinrich Staden, opryszczak Iwana Groźnego, francuski kondotier Jacques Margeret, kapitan straży przybocznej Borysa Godunowa, ostatni król Rzeczypospolitej Stanisław August Poniatowski, nieszczęsny faworyt carycy Katarzyny II i książę Adam Jerzy Czartoryski, zausznik cara Aleksandra I, poseł króla Sardynii Joseph de Maistre, ten żył w Petersburgu aż czternaście lat, pani Anne Louise Germaine de Stael, która tu uciekła przed Napoleonem, Astolphe de Custine, Aleksander Dumas ojciec, Theophile Gautier, potem rewolucjoniści wszelkich maści i odcieni, dalej goście generalissimusa Stalina André Gide i Lion Feuchtwanger, i stalinowscy zeka Aleksander Weissberg-Cybulski, Gustaw Herling-Grudziński, Aleksander Wat, wreszcie całkiem niedawno laureat literackiej nagrody Nobla Claude Simon, zaproszony przez Michaiła Gorbaczowa i Ryszard Kapuściński, autor „Imperium”. Rzecz jasna nie wszyscy pisali o tym, co sami widzieli, niektórzy woleli powtarzać, co im pokazywano, inni nie mogli zobaczyć tego, co naprawdę by chcieli, a jeszcze inni oglądali to, czego w ogóle tam nie było, zaś nie dojrżeli byli tego, co wszyscy widzieli. „Dlatego zapiski cudzoziemców o Rosji czytać należy wybrednie i ostrożnie – podkreśla Kluczewskij – bowiem najczęściej, poza nielicznymi wyjątkami, cudzoziemcy pisali na wycucie, wedle pogłosek i zazwyczaj wyciągali ogólne wnioski z przypadkowych zdarzeń, a publika, czytająca owe relacje, nie mogła ani potwierdzić, ani zakwestionować ich

wiarygodności; nie darmo jeden z zagranicznych pisarzy jeszcze na początku XVIII wieku powiedział, że naród rosyjski na przestrzeni wielu stuleci miał to nieszczęście, iż każdy mógł o nim rozpuszczać po świecie najróżniejsze brednie, nie ryzykując ośmieszenia”.

7.

Wraz z rozwojem mass mediów pojawił się w Rosji nowy typ cudzoziemców piszących (mówiących) o niej – zagraniczni korespondenci. Niestety, ich relacjom, w większości wypadków, można zarzucić to samo, co Kluczewskij miał za złe ichnim poprzednikom. Na początku lat 90-tych pracowałem w Moskwie dla jednej z polskich gazet, miałem więc okazję z bliska się przyjrzeć robocie kolegów korespondentów. Zwłaszcza jednego zapamiętałem, mniejsza o nazwisko, ten pisał do dwóch, czy nawet trzech czasopism (naraz!), a ze wszystkich zdarzeń bieżącego dnia najważniejszym dlań było popołudniowe wydanie *Izwestij*, z których zdążał preparować parę gorących *news* i wieczorem je nadawać, jako własne. Inni, nie tak wygodni, biegali na wszelkie możliwe konferencje prasowe, konwentykle i bankiety, gdzie pilnie łkali *czepuchu* (bzdury, banialuki), którą im tam serwowano. A trzeba przyznać, że Rosjanie są mistrzami w podawaniu tejże, o czym niejednen cudzoziemiec mógł się być przekonać, choćby markiz de Custine. Niektórzy jeszcze oglądali rosyjskie TV i stamtąd czerpali natchnienie. Należy też dodać specjalny sklepik na Biegowej, gdzie każdy korespondent mógł się zaopatrzyć w produkty spożywcze, których w Moskwie wtedy brakowało i szereg drugih przywilejów, oddzielających nas, niczym matowa szyba, od rzeczywistości, by zrozumieć, że obraz Rosji w zagranicznych mass mediach i Rosja w rzeczy samej to dwie różne rzeczy. Oprócz ludzkiego czynnika, jak lenistwo, ignorancja, brak wiedzy (wspomniany kolega Gogola nie czytał, a „Powieść minionych czasów” przypisywał Puszkiniowi!), równie istotne są ogólne braki mediów: ich pośpiech (wszak należy zdążyć do kolejnego wydania), uniemożliwiający namysł i skupienie, niezbędne do zobaczenia zjawisk głębszych, podskórnych, często ważniejszych dla prawidłowej diagnozy, niż efektowny, acz powierzchowny *news*; stadny instynkt żurnalistyki, który

sprawa, że korespondenci walą kupą na miejsce zdarzeń (czy to będzie wojna, czy pucz, czy też konferencja prasowa), a potem piszą, pokazują i komentują, wszyscy to samo; ciągła pogoń za sensacją, skandalem i świeżą krwią, przy jednoczesnym lekceważeniu powszedniości, nieatrakcyjnej z punktu widzenia masowego widza; wreszcie skupienie uwagi na *goriach toczkach* i kulisach wielkiej polityki, z pomijaniem peryferii i prowincji; wszystko to sprawia, iż znakomita część dziennikarskich relacji o dzisiejszej Rosji nie wychodzi poza banał, stereotyp, lub podanie.

8.

W ramach obchodów 300-lecia Ruskiej Floty na Białym morzu urządzono regaty żeglarskie z udziałem cudzoziemców. 2 sierpnia do zatoki Pomyślności weszło siedem zagranicznych jachtów: trzy z Holandii, dwa z Niemiec i po jednym ze Stanów Zjednoczonych i z Wielkiej Brytanii. Stały naprzeciw spalonego hotelu, nie opodal hałd węgla. Wspaniałe, błyszczące, kolorowe. Stalowe liny błyszczą w słońcu, cicho szączy się muzyka, chyba Bach, u Holendrów czajnik gwiżdże, zapach kawy, świeżych tostów, dobrego tytoniu. Leniwy poranek, słońce przypieka, ni obłoków, ni wiatru. Cudzoziemcy opalają się, do szortów porozbierani, uśmiechnięci, gwarni po ptasiemu. Niektórzy się szwendają, zaglądają w byle dziurę, fotografują. A z boku muzyki stoją, gapią się niedobrze, popluwają i klną bełkotliwym matem. Cuchnie od nich wódką, kapustą, juchtem i mazutem. Raptem, cóż to? Pomruk z dala: *Gospodi pomiluj, Gospodi pomiluj*. Wzdłuż ściany monastyrskiej kroczy procesja, dzisiaj święto proroka Illi. Czarne rjasy, baby zakutane, woń ładanu, czcze oddechy, śpiewają. Upał, duszno, nawet sztandary cerkiewne oklapły. W Świętych wrotach procesja minęła Holendra w szortach, bez koszuli, z wielkim sandwiczem w dłoni. Stał jak wryty, szynkę dożuwa, sam jeden naprzeciw tłumku prawosławnych, zdziwiony, nie pojmujący posykiwań, oburzonych spojrzeń, wrogości. Biały, miękkościaty, dobrze odżywiony, niczym przybysz z innej planety.

9.

Postronny, wedle „Słownika języka polskiego” Lindego, to cudzoziemski, zagraniczny, obcy. Tutaj, w Rosji, jak chyba nigdzie indziej, cudzoziemcy czują się wyobcowani, inni. W wielu relacjach, wspomnieniach, dziennikach podróży powtarza się, niby refren, motyw rosyjskiej podejrzliwości, szpionomanii i ledwie tajonej agresji wobec przybyszów z obcych krajów. Sam to odczułem, nie raz, zwłaszcza w tak zwanej *ruskiej głubinkie*, gdzie wystarczy inny styl bycia, sposób ubierania, czy akcent, by wzbudzić nieufność. Zapewne to duch kolektywizmu, wyrósłszy z prawosławnej *sobornosti*, nie może ścierpieć niczego, co w ramach kolektywu się nie mieści. Warto przy tym zauważyć, że nie tyle narodowość, wiara, czy też język, określają twoją przynależność do owego kolektywu, ile wspólna dola (cela, zona...) i ten sam pan (państwo...). Rosja jest krajem wielonarodowym, kulturowo złożonym, różnorodnym, a niewiary w niej więcej, niż kultów i sekt, choć niewątpliwie prawosławie spróbuje (już to czyni) odwojować utracone pozycje, zatem to nie twoja narodowość wzbudza tutaj niechęć, ale to, że możesz w każdej chwili stąd wyjechać, i nie twoje przekonania, czy wiara są przedmiotem sądów, ale to, że żyjesz sobiepan, na własny rachunek, i z boku się przypatrujesz tutejszemu życiu. Warto, myślę, sięgnąć do etymologii słowa *inostraniec*, by w pełni rzecz pojąć. Bowiem *strana* w języku starosłowiańskim, skąd do ruskiego przyszła, oznacza stronę, a dopiero później w kraj się zamieniła, natomiast wyraz *inoj*, czyli inny, powstał z prastłowiańskiego *inb*, czyli jeden, lub sam (stąd *inok*, mnich). Zatem *inostraniec* to nie tylko cudzoziemiec, ale także ktoś z innej strony (nie trzyma naszej!), pojedynczy, nie taki jak wszyscy. Postronny.

10.

Ostatnio wśród Rosjan wzrasta zainteresowanie relacjami cudzoziemców o Rosji. Mnożą się wydania głośnych pozycji, do niedawna zakazanych, bądź pochlastanych cenzurą. Oprócz wspomnianego zbioru „Rossija głazami inostrancew”, wyszły „Lettres de St. Petersburg 1803-1817” de Maistre’a, trzy tomy „Impression do voyage en Russie” Dumasa, „Private Dairy of

the Travels" Sir Wilsona, książki Feuhtwanger'a i Gide'a, wreszcie, na koniec, wydano pełną wersję „La Russie en 1839” de Custine'a, ze znakomitymi komentarzami Wiery Milczinowej i Aleksandra Ostapowa. To zaledwie parę przykładów.

Zwłaszcza edycję pełnego de Custina, półtora wieku z okładem po francuskiej, śmiało można nazwać wydarzeniem na rosyjskim rynku czytelniczym. Albowiem dotąd znali go tylko w okrojonym widzie, przyciętym nożycami cenzora dla potrzeb agitacji. Dawniej czytano de Custine'a w oryginale, rzecz jasna w wyższych sferach, znających francuski, i pełno śladów oburzenia po nim zostało, w druku. Kto tylko na markiza się nie zrywał: i Jakow Tołstoj, agent tajnej policji, i Nikołaj Giercz, pismak na usługach tejże, i Ksawery Łabęcki, pisujący wiersze po francusku pod pseudonimem Jean Polonius, acz broszurę przeciw de Custine'owi podpisał: *Un Russe*, i Chomiakow, i Tiutczew, i Dostojewski. Można by sporą antologię ułożyć. Nie dziw zatem, że i dziś, kiedy „La Russie en 1839” wyszła wreszcie po rosyjsku w całości, wzbudziła nie mniejsze gniewy, choć i głosy zachwytu tu i ówdzie słychać, a w „Woprosach filozofii” Jekatierina Cimbajewa nazwała nawet książkę de Custine'a „najznakomitszym dziełem cudzoziemca o naszym kraju” (2/1994).

Jednakże nie zachwytu, a obrazy przeważają, czasami nader fikuśne. Ot, choćby próba filozoficzna Borysa Paramonowa „Markiz de Custine: introdukcja k seksualnoj istorii komunizmu” (*Zwiezda*, 2/1995), gdzie „La Russie en 1839” została odczytana, przez okulary doktora Freuda, jako zemsta nieszczęsnego pederasty za odrzuconą miłość do cara, Mikołaja I. W eseju Paramonowa, pełno napomknień hermetryczno-erotycznych, miejscami na obsesję zakrawających, lub zgoła na kpinę. Pomnik Piotra Wielkiego, dla przykładu, budził lęk w markizie dlatego, że koń depczący zmięę, symbol fallusa, uosabiał dlań rosyjskiego Imperatora, gnębiącego (homo)seksualną swobodę. Zatem to nie Francuz był przenikliwy, tylko jego zboczenie, dzięki któremu obnażony został stary ruski archetyp: „jeźdźców” (władzy) i „bab” (narodu). Innymi słowy, car de Custine'a nie zechciał (ujeżdżać) i ten mu odpłacił paszkwilem.

– *Wot piederast* – jak mawia Wasia o człowieku, który za skórę mu zalazł.

11.

„La Russie en 1839” w Polsce wyszła w całości zaledwie rok temu. Wcześniej, jak i w Rosji, krążyła w kalekich wydaniach. Jedno z nich – przekład Mariana Górskiego – wziąłem na drogę, jadąc pierwszy raz do Moskwy. I już wtedy zirytowała mnie tendencyjność zarówno samej podróży de Custine'a, jak i jego listów. Dziś, po sześciu latach życia w Rosji, czytając pełną wersję (w tłumaczeniu Pawła Hertza), zauważam, że nie tylko dawne wątpliwości ożyły, ale i nowych przybyło. Cóż, jak przystało na klasyka gatunku, w relacji markiza, niby w zwierciadle, widać główne niedostatki samego *genre*: brak czasu, lekceważenie ortodoksji i nieznajomość języka. O innych, kiedy indziej.

Po pierwsze – sam podróżopisarz zanotował: „Rosjanie powtarzają mi raz po raz, że trzeba spędzić w Rosji przynajmniej dwa lata, zanim wolno będzie oceniać ich kraj, rzekomo najtrudniejszy na świecie do określenia”. A w innym miejscu natrząsa się z cudzoziemców, którzy daremnie tropią prawdę o Rosji, będąc tu tylko przejazdem. I co? Sam pobyl w Rosji zaledwie dwa i pół miesiąca, a popełnił o niej aż cztery tomy. Pustosłowiem nadrabiał drogi. Nic dziwnego, że Dostojewski nazwał go, z przekąsem, „osławionym turystą”. Zaś Paramonow twierdzi, i w tym się z nim zgadzam, iż by taką książkę napisać, niekoniecznie w ogóle trzeba tu przyjeżdżać.

Po wtóre – markiz, jak katolicy w większości, miał nikłe pojęcie o prawosławiu i, co za tym idzie, nie doceniał roli ortodoksji w formowaniu „rosyjskiego ducha”. Nie on pierwszy zresztą (i bynajmniej nie ostatni), by wspomnieć choćby de Maistre'a, który pisał był z Petersburga do kawalera de Rossi, iż „grecka wiara w ogóle nie istnieje, albowiem zewnętrznie ruska religia polega na żegnaniu się i pokłonach, duchowo zaś to maniakalna i bezmyślna nienawiść do rzymskiego Kościoła”. Podobne zwroty możemy znaleźć i u de Custine'a, na przykład: „Bezustanne żegnanie się znakiem krzyża na ulicy przed świętym obrazem, przy stole przed posiłkiem i po nim (jak się to dzieje nawet w najlepszych domach), oto wszystko, czego naucza Kościół wschodni”. Markiz, gdzie indziej przenikliwy, prawosławia wyrażnie niedowidzi, zaślepiony pasją wykazywania wyższości

katolicyzmu, jakby był zapomniatł o słowach kniazia K., na początku swojej podróży, iż właśnie ortodoksja jest owym „kluczem, który ci pozwoli zrozumieć wszystko w kraju, dokąd zmierzasz”. (*Nota bene*; w tłumaczeniu Pawła Hertza słowo „klucz”...wypadło).

Po trzecie wreszcie – nieznajomość rosyjskiego języka uniemożliwiała markizowi kontakt z *głubinkoj* Rosji i sprawiała, że albo brylował w salonach po francusku, albo w milczeniu podziwiał niemotę północnego landszaftu, częścią którego był dlań lud rosyjski. Zatem konklulował: „Oto dłaczego nadal nie wiemy, co dzieje się w Rosji. Prawdziwy charakter ludzi mieszkających w głębi tego ogromnego i groźnego państwa stanowi zagadkę dla większości Europejczyków”.

12.

„Dołoj Niebożenko i Podkorytowa!” – pod takim hasłem 5 listopada odbył się wiec pod drzwiami Niebożenki, Walentyna Wiktorowicza, Głowy Administracji Sołówek. Należy zaznaczyć, że wiecowano w ramach ogólnorosyjskiej akcji protestu przeciw wstrzymywaniu wypłat zarówno pensji, jak i emerytur i rent. Niewypłacalność państwa osiągnęła kres ludzkiej cierpliwości: pracownicy służb komunalnych i elektrowni nie otrzymują zarobków od lutego, lekarze i nauczyciele od kwietnia, zaś emerytury i renty ostatni raz wydawano w lecie. Na Wyspach od dawna krążą też słuchy, jakoby *dieńgi* z budżetu, przeznaczone na wypłaty pensji i emerytur, Głowa Administracji i jego *zam.* Podkorytow (*nomen omen* do kwadratu!) puszczają w obieg pod procenty. Morze powoli zamarza, zbliża się koniec nawigacji, a mieszkańcy Sołówek nie mogą kupić produktów na zimę. W sklepach już nawet chleba nie dostają na kredyt. A za co nabyć drwa na opał? Dodam jeszcze, że w tym roku ani grzybów, ani śledzia nie było, a zaraza poraziła ziemniaki, i tuszę, iż czytelnicy *Kultury* potrafią wyobrazić sobie rozpacz Sołowczan.

Dzisiaj od rana pada mokry śnieg, wielkimi płatami. I od razu takie. Białe morze sztormi już od tygodnia. Porywisty, lodowaty wiatr nieomal z nóg mnie zwałił, kiedy wyszedłem z z monastyrskiej ściany na odkrytą przestrzeń Świętego

jeziora. Na ulicy Siwko przed gmachem Administracji lepka, rozkisła breja błota. Latem rów tu rozkopali (czyżby transzeję?) i porzucili robotę w pół dzieła. Pod drzwiami Głowy Administracji zgromadziła się kupa narodu, ze sto osób błoto miesi. W większości sołowieckie staruchy, koślawe, przygięte, zamotane jak kukły. Dostrzegam znajomych. Jest cały szpital, czyli ordynator, dwie siostry i sprzątaczką, obok grupka nauczycieli, komitet weteranów w komplecie, kilku robotników z elektrowni, Nadieżda Kiryłowna z biblioteki, baba z bani, reporter z radia, leśnik, Fokin i gównosos, jak nazywają tutaj właściciela wozu asenizacyjnego. Nieco w oddali, pod zieloną trybuną z przegniłych desek, reliktem breżniewowskich „czasów zastoju”, stoi paru muzyków w waciakach, w walonkach, w uszankach, na kacu. To sołowieccy bezrobotni. Naród się burzy. Matem kryje. Ręce śwędzą. Nikt nie wie, co dalej. Czekają na Głowę, obiecał wyjść. Ponoć dzwoni do Archangielska, by wyjaśnić, kiedy przysła *dieńgi*. Jakby wcześniej nie mógł.

– *Dołoj Niebożenko!* – zacharczało spod trybuny.

– *Dołoj Podkorytowa!*

W drzwiach Administracji pojawił się Walentyn Wiktorowicz Masywny, w nowej skórzanej kurcie, twarz nalana, oczy wypukłe, na wpół schowane pod daszkiem kraciastej oprychówki. Tłumek przycichł, przybliżył się, rozsierzony, nacisnął. Niebożenko się cofnął i stężał.

– *Nu dawajcie, kakije woprosy?*

Wybuchnął jazgot. Babki krzyczały, jedna przez drugą, piskliwie: że to koniec, że tak dłużej nie można, że są doprowadzeni do ostateczności (*wsje dowiedieny do ruczki*), że nawet w czasie wojny było lepiej, bo chociaż chleb przydzielowy dawali, a teraz już nie tylko psy, ale i koty przychodzi zreć, i nawet desek na trumny brakuje, a oni tam, w Administracji, mordy swe tymczasem wypaśli...

– *Wot tak!* – ryknął Niebożenko, pokraśniewszy. Babki zamilkły, śnieg padał, a Niebożenko ryczał dalej: że w sądzie ich może zgnoić za obrazę urzędnika na służbie, że teraz w Rosji prawo i porządek, i wara od władzy państwowej, a w ogóle to cwana intryga przed zbliżającymi się wyborami (w grudniu), ot kozła ofiarnego szukają, kozła potrzebują, ale on, Niebożenko, na kozła się nie da. Dlatego, już spokojniej, o

pytania prosi i po kolei na wszystkie odpowie. Bez obraz, bez krzyków i bez demagogii (*sic, sic!*)

Wystąpiła ordynator, Lina Pietrowna. Że kojek w szpitalu dwadzieścia sześć, ale żarcia tylko na cztery, że lekarstw brak, igły wyszły, a cały spirytus ukradli. Z węglem też ledwo ledwo, może na tydzień wystarczy, więc grzeją tylko tyle, by kropiółki nie zamarzały. Wczoraj jedna siostra zemdląła z niedożywienia. A samoloty dzisiaj nie na każdą kieszeń, więc jeśli zamknąć szpital na Sołówkach, to jakby wyrok śmierci na staruchów wydać. Z Archangielska dzwonili, że *dieńgi* wystali, ale *dieńgi* z Archangielska do szpitala nie doszły. Więc gdzie się były podziały?

Niebożenko po papiery posłał, by czarno na białym pokazać, a w międzyczasie z elektrowni wystąpili. Że silniki na ostatnim dychaniu, że najmniejsza awaria i szlag je trafi. A bez prądu woda w rurach zamarźnie i cały system wodociagowy na Sołówkach w jeden mig się rozwali. Ludzie kipią złością i są gotowi przerwać pracę i niechaj nikt nie mówi o nielegalności elektrycznych strajków, bo oni nie nazwą tego strajkiem, tylko, po prostu, nie wyjdą na robotę z głodu.

Przynieśli papiery. Niebożence ręce drżą, kartki w nich szeleszczą. Szuka, czyta, cyfry cytuje...

– *Wieszar' was, suki* – raptem zawył pijany bomż, wychynawszy zza trybuny, i chwiejnym krokiem ruszył na Niebożenkę. Na szczęście dlań, towarzysze za poły go przytrzymali, nieco przy tym poszarpali, kułakiem po licu zdzielili i krew z nosa puścili, aż się uspokoił. Mamrotał jeszcze, na poły płacząc, że wszystkich ich, *bljadi*, z góry do dołu, od Moskwy do Sołówek, trzeba wymieść do cna (*paganoj miettoj*). Niebożenko udał, jakby nic nie widział i kontynuował czytanie.

Nudno się zrobiło. Komu cyfry na papierze ciekawe? Ludzie powoli zaczęli wyciekać. Wiatr jeszcze silniej zaduł, śnieg jeszcze gęściej lepił. Na placyku przed Administracją została garstka, pod trybuną zrobiło się pusto. Niebożenko wreszcie zakończył, ale nic z tego nie wynikło, i podsumował:

– *W obłasti dieńieg niet!*

Ktoś kopnął z rozmachu mimo przebiegającego psa. Pies zaskowytał krótko, podkułił ogon pod siebie i wczółgał się pod trybunę. Naród stopniał jak śnieg, ludzie rozmyli się w

mroku. Wspomniałem złość nieżyjącego Lochy Rudego, który nie raz powtarzał, że trzeba by wreszcie porządek zrobić i wszystkich na ch... powywieszać: i monachów, i naczelników-czynowników, i muzealników-darmozjadów. – Pamiętaj Mar, ruski muzyk jest cierpliwy, ale gdy się zbiesi, to jak dym popiełźnie i oczy wyje...

13.

W posiołku martwa cisza, muzyki odpoczywają po Świącie Październikowym. Za oknem gęsta, brudno-szara mgła, jak ta „ciemna woda”, do której w ubiegłym wieku Fiodor Dostojewski porównywał przyszłość w Rosji („Dziennik pisarza”, maj 1876). Świata za Babią łudą nie widać, jakby był szczeł, do szczętu. I tylko czasami za szybą przeciągają jakieś cienie, do piżmaków podobne.

Mariusz WILK

Mariusz Wilk jest akredytowanym korespondentem Kultury w Rosji.

Po latach – w pierwszej małej ojczyźnie

Każdy człowiek ma swoje korzenie. Moje są w pobliżu Huculszczyzny w małej wsi Weleśnica Leśna, położonej kilka kilometrów od Nadwórnej woj. Stanisławów, obecnie Iwano-frankowsk. Kiedy w 1945 r. stamtąd wyjeżdżałem, miałem 7 lat. Niewiele pamiętam. Zachowałem jednak nieliczne, nieco już zatarte obrazy swojej wsi, domu, przepływającego przez podwórze strumyka, nie odległej rzeczki, ogrodu i najbliższej okolicy. Często w myślach do nich wracam i z upływem lat, czuję się z rodzinnymi stronami, emocjonalnie coraz bardziej związany.

Pochodzę z biednej, posiadającej 6 morgów ziemi, polsko-ukraińskiej rodziny. Matka była Ukrainką i mimo kulturowania tradycji polskich – ojciec był działaczem oświatowym, na spółkę z sąsiadem miał radio, co go w pewnym sensie stawiało w roli niebywałego intelektualisty – w domu mówiło się wyłącznie po ukraińsku. Jak wyjeżdżaliśmy na Zachód, to po polsku nie umiałem ani jednego słowa. Bawiąc się z dziećmi na podwórku szybko się jednak nauczyłem. A potem byłem bardzo dumny, że mogłem poprawiać mamę, której nauka przychodziła z nieco większym trudem.

Nasze rodzinne strony przez dłuższy czas, szczególnie zimą, były tematem stałych, wieczornych, rodzinno-sąsiedzkich rozmów. A dotyczyły one przede wszystkim grozy lat wojny, starań o przetrwanie, trwogi o życie – a nadto wspomniania tego co tam z ich dorobku zostało.

W owym czasie, mając poczucie pełnego bezpieczeństwa,

namiętnie lubiłem się „bać” i z zapartym tchem słuchałem niekończących się opowieści o przerażających działaniach oddziałów UPA, czy samoobrony organizowanej przez AK. Z banderowcami miałem nawet swoje „osobiste porachunki”. Otóż, udało mi się gdzieś znaleźć sowiecką furazerkę i nosząc ją, pośród rówieśników cieszyłem się z tego powodu niebywałym szacunkiem. Uchodząc w ich oczach za kogoś w rodzaju „generała”. Któregoś dnia z nieodległego lasu, wzbudzając we wsi zrozumiałe poruszenie, wyszło ich trzech. Uzbrojeni po zęby. Ubrani w wojskowo cywilną odzież. Jeden z nich podszedł do mnie i powiedział – *tobi toho ne treba* – i furazerkę, przedmiot mojej dumy i atrybut władzy nad rówieśnikami, zabrał. Zdarzenie to pamiętam do dzisiaj. Ze wszystkimi szczegółami. I nawet teraz wydaje mi się, że banderowiec ten wyrządził mi wtedy, ogromną „krzywdę”.

Po nasileniu się akcji UPA, rodziny poczuwające się do polskości, grupami nocowały w lesie. Szybko trzeba było jednak z tego chowania się zrezygnować, bo małe dzieci często płakały i takie ukrywanie się, praktycznie nie miało sensu. Po pewnym czasie ojciec wykopał pod stodołą bunkier, do którego wchodziło się po odsunięciu budy psa i tam przez dłuższy czas, spędzaliśmy noce. Jednakże po spaleniu nieodległej kolonii zamieszkałej wyłącznie przez rodziny polskie, ponownie powróciliśmy do ukrywania się w lesie uznając, że nasz bunkier jest schronieniem raczej iluzorycznym.

Ale takie życie, na dłuższą metę było nie do zniesienia i kiedy dowiedzieliśmy się, że w sąsiedniej wsi wymordowano 9-osobową polsko-ukraińską rodzinę, ojciec podjął decyzję ucieczki do Nadwórnej. Duży wpływ na to postanowienie wywarła też 16-letnia Marijka, najlepsza koleżanka mojej siostry, a w owym czasie łącznika UPA, która była dla nas znaczącą i skuteczną osłoną. Lecz wówczas wyraźnie dała nam do zrozumienia, że lepiej będzie jeżeli uciekniemy do miasta. Załadowano więc na wóz co się dało i w środku dnia, co koń wyskoczy, pomknęliśmy w kierunku Nadwórnej.

Potem po latach, jak ojciec pojechał odwiedzić rodzinne strony dowiedział się, że kiedy przejeżdżaliśmy koło kościoła, to na jego wieży znajdowała się placówka UPA i banderowcy trzymali nasz wóz na „muszce” i zastanawiali się, strzelać nie strzelać? Strzelać, nie strzelać? W końcu doszli do wniosku,

że ten Ziola to nie był taki zły chłop i niech sobie jedzie. Ojciec spotkał się z tymi co siedzieli na wieży i nie muszę chyba dodawać, że skończyło się to na „obaleniu” na jego koszt kilku półlitrówek, z powodu podjęcia przez nich w owym czasie, tak słusznej decyzji.

W Nadwórnej przez blisko rok, mieszkaliśmy u naszych znajomych, Jasińskich. I tam towarzyszył nam strach. Oddziały UPA bowiem, mimo stacjonowania garnizonu sowieckiego, przeprowadzały akcje i w mieście. Dom Jasińskich stał na skraju miasta, blisko rzeki Bystrzycy – a na przeciwległym jej brzegu, była ogromna skała, z której od czasu do czasu banderowcy strzelali w kierunku miasta. Obserwowałem tę skałę z wielkim zaciekawieniem i trwogą. Nad rzekę nie chodziłem, lecz pamiętam jej górski rwący nurt, pieniącą się wodę, widoczne z oddali kamieniste dno i szutrowe nabrzeże.

Po przyjeździe na Zachód – jak już wspomniałem – głównym tematem rozmów były rodzinne strony. W opowieściach rodziców i sąsiadów wszystko bez wyjątku, z tego co tam zostało – w zależności od rodzaju – było najpiękniejsze, największe, najsolidniejsze, najzdrowsze, najsmaczniejsze, najpraktyczniejsze... itd...itd... W naszym ogrodzie wypływało małe źródółko, z którego woda leczyła podobno wszystkie dolegliwości. A jej cudowne właściwości rozrastały się do niewyobrażalnych rozmiarów w miarę upływu czasu oraz fantazji, tudzież stanu emocjonalnego gawędziarzy.

Po przyjeździe na Dolny Śląsk, ludzie ze Wschodu, z reguły gorzej wykształceni – głównie ci ze wsi – związani ze sobą dramatycznymi przeżyciami, rodzinnymi i sąsiedzkimi więzami, zwyczajami, nawykami, odróżniając się mową, a nawet nieznaną polskiego, a w każdym razie dziwnym, dla innych śmiesznym akcentem – trzymali się razem. I w związku z tym istniały wyraźne podziały na ludzi zza Buga i tzw. „centralniaków”, którzy naszym zdaniem przyjechali na Zachód wyłącznie po to, aby się dorobić. W przeciwieństwie do nas, których rzucił tu zły los. Nie muszę chyba dodawać, że centralniaków traktowaliśmy z „należną im” pogardą. A oni zaś, zdaje się, darzyli nas uczuciami podobnymi.

Po zdaniu w 1957 r. w Ząbkowicach Śl. matury, studiowałem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, a zatem w samym gnieździe tej „centralniackiej zarazy”. W owym czasie mówiłem już poprawną polszczyzną, bez charakterystycznego dla kresowiaków akcentu i w tym zakresie w niczym nie odróżniałem się od kolegów. Jednakże jak się zdenerwowałem, to bezwiednie zaczynałem straszliwie „pa lwowski zaciągac”.

Kiedyś zdawałem egzamin z procesu karnego u Prof. Leona Schaffa, brata znanego filozofa, Adama. Ze wstydem muszę się przyznać, że nie szło mi zbyt dobrze i Profesor niebezpiecznie zbliżył pióro do miejsca w indeksie, przeznaczonego na wpisanie należnego mi stopnia. Widząc to, postanowiłem jeszcze się ratować i w zdenerwowaniu, okropnie „zaciągając”, zacząłem pleść jakieś niebywałe procesowe bzdury. Profesor słysząc to, oddalił nieco pióro od indeksu i zapytał: a skąd pan pochodzi? – Odpowiedziałem, że ze wsi pod Nadworną – na co Profesor aż podskoczył i wrzasnął: a ja ze Stanisławowa!!! I egzamin przybrał zupełnie inną formę. Rozmowa bowiem dotyczyła już wyłącznie naszych wspólnych rodzinnych stron, z całkowitym pominięciem idiotycznych problemów prawa procesowego. A z egzaminu dostałem 4. Uczciwie muszę jednak przyznać, że należało mi się najwyżej 3 minus – i to przy uwzględnieniu protekcji z tytułu miejsca urodzenia. Ale cóż, my kresowiaci zawsze trzymaliśmy się kupą i wspieraliśmy się gdzie się da. Nawet z pewną przesadą. I tak chyba będzie zawsze!

Ostatnio, w związku z moją satyryczną książką na tematy polityczne pt. „Modlitwa Oleksego”, w której w sposób żartobliwy przedstawiam m.in. stosunki polsko-ukraińskie, udzielałem wywiadu w lokalnym radiu FreM. Do zilustrowania go, posłużyłem się taśmą z nagraniami ukraińskich melodii ludowych, w tym i niezwykle piękną piosenką „Hucułka Ksenia”, informując jednocześnie słuchaczy o swoim polsko-ukraińskim pochodzeniu. Co do niedawna nie byłoby znów tak bardzo dobrze widziane. I jakież było moje zdumienie, że po audycji, nawet nieznanomi ludzie mówili mi, iż słysząc tę piosenkę byli bardzo wzruszeni. Przypomniała im ona czasy ich młodości. I o dziwo u nikogo nie

wyczułem niechęci do ukraińskiej kultury, w związku z wydarzeniami z ostatniej wojny, mimo, że w Zgorzelcu znaczna część ludności wywodzi się ze Wschodu. I zapewne każdy ma w swojej rodzinie jakieś dramatyczne przeżycia związane z tym okresem, który na szczęście przeszedł już do historii.

No więc, po raz pierwszy jadę w rodzinne strony. Nie muszę dodawać, że kulturą ukraińską – szczególnie ludową – jestem zafascynowany. Ale nie jadę na Ukrainę. Nie jadę też na dawne tereny polskie. Po 50 latach, jadę sobie odwiedzić żyjącą tam rodzinę, z którą w wyniku niezwykłego poplątania losów, kontakty zostały nieomal całkowicie zerwane. Po prostu jadę sobie do swojej pierwszej małej ojczyzny.

Liczni znajomi wyjazd mi odradzali, opowiadając niezliczone historie o słynnym ukraińskim rozbójnictwie, napadach na drogach, przewidując, że mój mercedes 190, szybko znajdzie się w odległych rejonach byłego ZSSR – a ja jeżeli powrócę, to pociągami. Mówiono też o fatalnym stanie dróg i niezwyklej brutalności ukraińskiej policji oraz niewyobrażalnych kolejkach na granicy.

Postanowiłem jednak jechać, nawet sam. W porę jednak przypomniałem sobie o taksówkarzu Tadeuszu, z którym w zimie, z powodu moich mizernych umiejętności prowadzenia samochodu po śliskiej jezdni, jeżdżę na rozprawy do innych miast. Pochodzi on z Trembowli i zawsze, jedynym tematem naszych rozmów, są rodzinne strony. Dzięki niemu historię Trembowli znam lepiej niż Nadwórnej.

Na dwa dni przed wyjazdem, wpadłem do niego do domu i zaproponowałem mu wyjazd. Zgodził się bez chwili zastanowienia. Potem mi jednak mówił, że miał poważną przeprawę z żoną, która przekonywała go, iż podróż jest zbyt ryzykowna. A i sam też miał wątpliwości czy podjął słuszną decyzję. Nie wypadało mu już jednak zmieniać zdania.

Podróż odbywamy w dwóch etapach. Nocujemy w Jarosławiu na dacy u Zygmunta, szkolnego kolegi Tadeusza z Trembowli. Granicę w Medyce „zdobynamy” w niedzielę rano. Spodziewamy się ogromnej kolejki i jakież jest nasze zdziwienie, kiedy polska kontrola trwa 15 minut a ukraińska

niewiele ponad pół godziny. Okazuje się bowiem, że z soboty na niedzielę polscy i ukraińscy przemytnicy opijają odniesione w ciągu tygodnia sukcesy lub opłakują porażki i nie mają głowy do przekraczania granicy.

No więc zaskoczeni i podnieceni takim obrotem sprawy, przez Mościska, Sądową Wiśnię i Gródek, pędzimy w kierunku Lwowa. Tuż przed miastem, natykamy się na pierwszą zaporę milicyjną tzw. DAI (*Dorożno Awtomobilnq Inspekcję*). Milicjanci uzbrojeni w kałasnikowy już z daleka reagują na mój samochód. Zatrzymują i dokonują dokładnej kontroli dokumentów i bagażnika. Potem dojeżdżamy do wielkiego skrzyżowania i szukamy drogi na Tarnopol. Jest parę drogowskazów, ale na Tarnopol akurat nie ma. Pytamy o drogę. Ktoś nam wyjaśnia, wymieniając liczne skrzyżowania, na których mamy we Lwowie raz skręcić w prawo, a raz w lewo, a czasem jechać prosto, potem trochę zawrócić, znów skręcić itd. itd... Ale jadąc, w całym mieście, nie natykamy się na Tarnopol, ani na jeden drogowskaz.

Jedziemy na wycucie. Błądzimy, zawracamy, cofamy się, potem znów jedziemy prosto. I w końcu dzięki licznym dobrym ludziom i trochę intuicji – po przeszło 3 godzinach, praktycznie bez zatrzymywania się aby choć pobieżnie zwiedzić miasto, zajęci wyłącznie szukaniem właściwej drogi – opuszczamy Lwów.

A za miastem znów zaporą milicyjna. Wszystko się powtarza, szczegółowa kontrola i jedziemy dalej. A drogowskazów jak nie było tak nie ma. Dosłownie na każdym skrzyżowaniu w miastach i miasteczkach, trzeba się zatrzymać i pytać o drogę. Kilkadziesiąt kilometrów za Lwowem, intuicyjnie wybieramy kierunek i tak po około godzinie jazdy zatrzymujemy się i przechodzącego człowieka pytamy czy jedziemy dobrze – a ten ze zdumieniem nam mówi, że wracamy do Lwowa i jeszcze kilka kilometrów i znajdziemy się w jego centrum!!! No więc zawracamy, znajdujemy właściwą drogę, ponownie zapory milicyjne, kontrola i jedziemy dalej...

Takich zapór, na całej trasie do Kołomyi (którą wybrałem jako stałą bazę mojego pobytu, ze względu na jej centralne położenie w regionie, który mnie interesuje) na-

liczyłem 17. Na jednej za Tarnopolem, drogę tarasował nawet bojowy wóz pancerny. Ciarki nam po plecach przeszły, kiedy spojrzeliśmy w skierowane w nas z tego wozu lufy ciężkich karabinów maszynowych. Na każdej zaporze byłem szczegółowo kontrolowany i mimo licznych, nie kwestionowanych przeze mnie naruszeń przepisów ruchu drogowego (nerwowa jazda z powodu braku drogowskazów, zatrzymywanie się w niedozwolonych miejscach, aby zapytać o drogę, przekraczanie pasów ciągłych itd.itd...) z pewną dumą muszę stwierdzić, że nie zapłaciłem ani jednego mandatu. Otóż wziąłem ze sobą pełnomocnictwo Ambasady Ukrainy do udzielania na terenie Polski pomocy prawnej obywatelom Ukrainy, podpisane przez Konsula Anatola Briżatego. I zawsze starałem się, aby w czasie kontroli, leżało ono na widocznym miejscu. Milicjanci po zobaczeniu go, rezygnowali z surowych min i kontrola zamieniała się w uprzejmą rozmowę, która kończyła się wskazaniem dalszej drogi.

Wreszcie, po pełnej przygód podróży, przez Złoczów, Zborów i Tarnopol, docieramy do Trembowli. Tadek przed samą Trembowlą zamilkł i z widocznym wzruszeniem rozglądał się po okolicy. Okazało się, że miasto dokładnie pamięta. Wiedział gdzie mamy dojechać i bezbłędnie trafił do mieszkającego na przedmieściach, swojego kuzyna Stanisława.

Po powitaniach i krótkim odpoczynku wyruszam w dalszą drogę. Przyznaję, duszę mam na ramieniu. Zawsze to z Tadkiem było różnie. No ale trudno, trzeba jechać dalej.

Z bocznej drogi dojeżdżam do skrzyżowania i wiem, że mam kierować się na Buczacz. Oczywiście drogowskazów nie ma. Ale na szczęście, jest miła mi już zaporą milicyjna. Wszystko się powtarza i w końcu milicjanci wskazują mi drogę informując, że z Buczacza mam kierować się na Monastyrzyska a potem na Iwanofrankowsk, gdzie trafię na drogę do Kołomyi.

Jadę więc dalej, ale w każdej miejscowości muszę pytać o drogę. Ten brak drogowskazów jest nie do zniesienia i myślę, że jazda w nocy, praktycznie byłaby niemożliwa. A tu niebezpiecznie zbliża się wieczór. Za Monastyrzyskami przejeżdżam przez Dniestr. I mimo stresów oraz pośpiechu,

nie mogę sobie odmówić przyjemności zatrzymania się choć na chwilę. Bo to niezwykle piękna rzeka. O naturalnym nie uregulowanym nurcie, malowniczych rozlewiskach, piaszczystych łąkach i z rzadka zalesionych brzegach... A gdzieś niedługo na piasku, opalały się jeszcze zapóźnione dziewczyny i artyleryjska lornetka, którą ze sobą miałem, bardzo mi się przydała.

Ruszam dalej. Dojeżdżam do Tyśmienicy i trafiam na ogromne skrzyżowanie, a drogowskazu ani jednego. Przechodzący człowiek wskazuje mi drogę do Iwanofrankowska. Wjeżdżam do miasta i szukam drogi do Kołomyi, a drogowskazów... Podjeżdżam do milicjanta a ten informuje mnie, że muszę wrócić do Tyśmienicy i tam skrócić w prawo. Wracam i faktycznie, od strony Iwanofrankowska jest nareszcie drogowskaz na Kołomyję. Uff!!! Mknę jak szalony bo robi się już ciemno, a ja przypominam sobie wszystko, czym mnie przed wyjazdem w Polsce straszono. Parę kilometrów przed Kołomyją znów zaporą. Bez wzywania, pokornie podjeżdżam do milicjanta, a ten uprzejmie salutuje i pyta czy nie podwiózłbym jego córki do Kołomyi. Oczywiście wyrażam zgodę, ale w duchu sobie myślę, że taka ona córka jak ja święty turecki. Po drodze nawiązuję rozmowę powątpiewając w to, że jest ona jego córką. Dziewczyna wybucha śmiechem i jednak potwierdza. Pyta do kogo jadę a kiedy wymieniam adres Olega mówi, że jest to w pobliżu jej domu, a Oleg jest dobrym znajomym ojca (co zresztą potem Oleg potwierdził) i wskaże gdzie mam się zatrzymać.

No więc o zmroku, przy padającym już deszczu, zestresowany i zmęczony, znalazłem się przed domem w zasadzie nieznanego mi człowieka. Olega poznałem w Polsce przy okazji udzielania mu porady prawnej – nie wiedząc jak zostaną przyjęty i kto wie, czy ten wyjazd zorganizowany spontanicznie i bez gruntownego przemyślenia, nie jest jednym z głupstw, których w swoim życiu parę popełniłem. Pomyślałem jednak, że jak trochę odpocznę, to wszystko może się jakoś ułożyć. W każdym bądź razie wysiadając z samochodu byłem pełen czarnych myśli, marząc tylko o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

Nie zdążyłem się jeszcze dobrze wygramolić z samocho-

du, kiedy to Oleg i jego żona Ania widząc przez okno, że przyjechałem, wyszli aby mnie przywitać. Ich bezpośredniość i naturalność w zachowaniu trochę mnie podtrzymała na duchu. Ale po wejściu do domu z wrażenia wprost zdębiałem!!! Otóż okazało się, że jest tam około 30 osób w różnym wieku, siedzących przy zastawionym stole i Oleg wyjaśnił mi, że właśnie obchodzone są zaręczyny jego syna Romana, a ja mam być czymś w rodzaju gwiazdy wieczoru! Nogi dosłownie mi się ugięły! Pomyślałem sobie, że zaraz zacznę się słynne ukraińskie pijaństwo, przed którym w Polsce mnie ostrzegano... Wprawdzie bohater moich satyrycznych tekstów, pan Bywalski, rozmawiając z barmanem, codziennie wypija niezliczoną ilość lampeczek swojej ulubionej szkockiej, ja jednak piję w sposób niezwykle umiarkowany i perspektywa całonocnego pijaństwa po tak ciężkiej podróży, mocno mnie przeraziła. No ale trudno, odwrotu już nie było i z ciężkim sercem zasiadłem do stołu.

Ale jakież było moje zaskoczenie kiedy stwierdziłem, że znalazłem się w domu normalnej, niezwykle wprost gościnnej ukraińskiej rodziny. U ludzi, dla których mój przyjazd był powodem przeniesienia właśnie na ten dzień zaręczyn syna. Przygotowano na tę okazję liczne regionalne potrawy. Pito też i alkohol, ale w ilościach w żadnym wypadku nie przekraczających dopuszczalnej miary. Z tym, że nie była to wódka ani bimber, tylko jakaś tajemnicza nalewka na korzeniach żeń-szeń. Podobno o właściwościach leczniczych. A jej receptura jest największą tajemnicą gospodarza. W trakcie biesiady opowiadano o sobie. Mnie wypytywano o moje sprawy i po jakimś czasie wydawało mi się, że znam tych ludzi od dawna, a właściwie jestem członkiem ich rodziny. I mimo zmęczenia, mając możliwość natychmiastowego położenia się spać, wytrzymałem aż do zakończenia przyjęcia.

Następnego dnia, karawana 4 samochodów – towarzyszyła mi bowiem niemal cała rodzina Olega i tak było przez cały czas mojego pobytu – rusza w kierunku Weleśnicy Leśnej. Staram się jechać jak najwolniej, aby zapamiętać krajobrazy i wygląd mijanych miejscowości. Przejeżdżamy przez Łanczyn, Krasną i wjeżdżamy do Nadwórnej.

Już z daleka widzę znajomą mi skałę. Objeżdżamy

miasto i podejmuję pierwszą próbę odnalezienia domu Jasińskich. Jednakże nie jest to łatwe, bowiem miasto rozbudowało się w kierunku Bystrzycy, zmieniło wygląd i w zasadzie z wyjątkiem skały, nie znajduję żadnego punktu odniesienia. Zatrzymujemy się na chwilę nad rzeką. Ale i rzeka wygląda inaczej. Odnoszę wrażenie, że zrobiła się jeszcze bardziej dzika i niespokojna. Pamiętam, że miała ona jeden nurt a teraz wartko płynie kilkoma, poprzegradzanymi wałami piasku i kamieni. Spotkani ludzie mówią, że jest to wynik wiosennej powodzi. Stoimy trochę nad rzeką, robimy zdjęcia a potem jeszcze raz objeżdżamy miasto, tak aby jak najwięcej zobaczyć i utrwalić sobie jego panoramę.

Nadwórna położona jest niezwykle pięknie. Z jednej strony bezpośrednio w nurt Bystrzycy wchodzi góry (z dzieciństwa zapamiętałem tylko w/w skałę i teraz dopiero ze zdumieniem stwierdziłem, że do lewego jej brzegu przylega całe pasmo górskie), a na drugiej stronie rozciąga się równina, na której właśnie wybudowano miasto. Pamiętam, że w czasie wojny cały rynek był zbombardowany a w jego ruinach urządzaliśmy sobie zabawy. Teraz rynek jest odbudowany. Ale chaotycznie, bez jakiegoś sensownego planu i zachowania regionalnego stylu. Natomiast przedmieścia Nadwórnej zabudowane są niezliczonymi, murowanymi, celowo nie otynkowanymi – a przez to czerwonymi, pięknymi, otoczonymi za dbanymi ogródkami, dodającymi miastu niezwyklego uroku, tym razem już charakterystycznymi dla regionu – daczami.

Z satysfakcją więc odnotowuję, że mieszkają tu pracownicy i zaradni ludzie. A ich stosunkowo duży dorobek wynika też i z tego, że miejscowa rafineria od lat zapewnia ludziom stabilne i wysokie jak na Ukrainę zarobki. A poza tym... my Nadwórnicy na ogół jesteśmy twardymi ludźmi i nieźle dajemy sobie radę, bez względu na to gdzie mieszkamy.

Dom Jasińskich odnalazłem. A właściwie miejsce gdzie stał, bowiem okazało się, że uległ on spaleni. Pokazała mi to miejsce przypadkowo spotkana starsza kobieta, która mieszkała w pobliżu i Jasińskich znała.

Wreszcie jedziemy w kierunku Weleśnicy. Przypnę, że celowo przedłużałem zwiedzanie Nadwórnej, bo właściwy mi cynizm i pewność siebie gdzieś znikły i po prostu musiałem

nabrać odwagi. Jedziemy przez Tarnowicę. Pamiętam, że nasza zagroda położona była na skraju wsi, na skrzyżowaniu drogi z Paryszcz z polną dróżką prowadzącą w kierunku przepływającej obok, widocznej z głównej drogi, rzeczki. Trafiliem bezbłędnie! Tylko rzeczka, w mojej pamięci pozostająca jako właściwie duża rzeka – okazała się mizernym strumykiem. Z satysfakcją jednak teraz dopiero dowiedziałem się, że nazywa się ona Welesnyci, wpada do Woronej, a z nią do Bystrzycy Nadwórniańskiej, a potem do Dniestru, a z nim do Morza Czarnego – co w moich oczach niezwykle podnosi jej rangę. O, to nie taka zwykła sobie rzeczka.

Kiedy nasza karawana zatrzymała się przed zagrodą, wysiadam i z niebywałym podnieceniem zaczynam się jej przyglądać. Dom, a właściwie lepianka, o dziwo jeszcze stoi. Widzę jednak, że spełnia rolę pomieszczenia gospodarczego. Potem się dowiedziałem, że aktualnie jest to stajnia. No, no, ja się tu urodziłem, a tu stajnia. Stodoły nie ma. Nie ma też nowo budowanego, solidnego, postawionego na fundamentach, krytego blachą, stylowego, drewnianego domu (a dom taki w owym czasie był symptomem niebywałego wprost bogactwa lub zaradności i pracowitości właścicieli). A na jego miejscu stoi mała, schludna chata. Wszystko jest jakieś takie małe, nieodległe. Wydawało mi się, że źródło było oddalone od domu nie mniej niż 200 m, a tu okazuje się, że jest ono oddalone o około 15 kroków.

Zaczynam rozglądać się po okolicy. We wszystkich oknach widzę twarze zaciekawionych ludzi. Swoim nagłym przyjazdem, podnieceniem, gestykulowaniem – do tego jeszcze cały czas filmowani kamerą video, przez Jurę, 16-letniego syna Olega, wzbudzamy sensację. Patrząc przez drogę w kierunku domu Marijki. Za chwilę wypada z niego jakaś kobieta i krzyczy: – Bronek! To ja Marijka! Domyśliła się kim jestem. Następuje wylewne powitanie i dopiero wtedy z domku w naszej dawnej zagrodzie, wychodzą trochę przestraszeni przyjaciele moich rodziców, Porubieńscy – aktualni jej właściciele, którzy początkowo nie wiedzieli o co chodzi i nie mogli zrozumieć, co to za nalot na ich dom.

Porubieńska, nieomal w pierwszych słowach jakie do mnie skierowała zapytała, czy ja wiem, że to mój ojciec wyswatał ją z Porubieńskim. Nie wiedziałem i pomyślałem

sobie, że musi być bardzo szczęśliwa w małżeństwie, skoro, jak tylko mnie zobaczyła uznała za stosowne o tym mnie poinformować i powiedziałem, że w takim razie tata musiał mieć szczęśliwą rękę. Potem Porubieńska mówi, że tata jak kiedyś do nich przyjechał, zaraz pobiegł do źródła. Przerwałem jej i powiedziałem, że ja właściwie wyłącznie po to przyjechałem, aby napić się tej wody – i za chwilę ze szklanką, trzymany pod rękę przez Marijkę i Porubieńską, uroczystie kroczę ku źródłu. Nabieram wody, wącham, podnosząc do góry oglądam, pociagam mały łyceczek, smakuję jak kiper w winiarni, jeszcze raz oglądam, potem pociagam większy łyk i wreszcie wypijam. I w tym momencie czuję, że uczulenia z sykiem i szumem ulatniają się z mojego organizmu i do dzisiaj nie ma po nich ani śladu!!!

W międzyczasie zbiegło się chyba pół wsi. Odbywa się chaotyczna, nerwowa rozmowa. Informujemy się nawzajem o swoich losach i losach najbliższych. Niestety, są to informacje przeważnie bardzo smutne. Pytam czy żyje jeszcze ktoś z rodziny siostry ojca Hutynki i dowiaduję się, że żyje tylko jej córka Hanka i wraz z mężem mieszka na przeciwległym skraju wsi, za rzeczką pod lasem. Oczywiście muszę ich odwiedzić i karawana rusza w drogę, zaś Marijka służy za przewodniczkę. Jedziemy polną wyboistą drogą i po kilkuset metrach z trudem, ale skutecznie, wpływ przepławiamy się samochodami przez rzeczkę. Ceremoniał się powtarza – przywitania, rozmowy, opowieści, nerwy, napięcie i smutek.

Żegnamy się i ponownie wracam pod swoją chałupę, aby rzucić na nią jeszcze raz okiem. Porubieńską pytam co się stało z naszym nowo budowanym domem i dowiaduję się, że zaraz po wojnie, został on rozebrany i zabrany do Łanczyna przez jakiegoś naczelnika. Muszę przyznać, że wiadomość ta mile mnie połechtala, skoro sam naczelnik... Pytam czy w Paryszczach żyje jeszcze ktoś z rodziny mojej mamy i dowiaduję się, że tylko jej siostra Maria. Żegnamy się i biorę kurs na odległe o 3 km Paryscze.

Nikogo nie pytając, kapliczkę i dróżkę w lewo bez trudu odnalazłem. Ostrożnie zjeżdżamy w dół. Rzeczka jednak okazuje się nieprzejezdna. Przechodzimy przez kładkę i po kilkudziesięciu metrach bezbłędnie rozpoznaję nieco tylko

zmieniony, odnowiony babci dom, w którym aktualnie mieszka ciocia Maria. Ceremoniał wiadomy, powitania, rozmowy, opowieści, nerwy... itd. itd. A kiedy zaczynam się już żegnać mówiąc, że wracam do Kołomyi, zdziwiona ciocia pyta czy rezygnuję z odwiedzenia mieszkającego opodal brata mamy, wujka Nykoły? Pytam, jak to? Przecież w Weleśnicy powiedziano mi, że on już nie żyje!!! Uffff!!! Potem ceremoniał powitania itd. itd. Proszę mi wierzyć, że był to najbardziej stresujący, podniecający, radosny a zarazem i smutny dzień w moim życiu. Pod wieczór, bierzemy kurs na Kołomyję.

Nieomal cały czas jedziemy w milczeniu. Powoli przetwarzam to co zobaczyłem i usłyszałem. Uświadamiam sobie, że moja rodzina żyje tutaj w ogromnym niedostatku. Kołhozowe emerytury są groszowe, w granicach równowartości 20 dolarów. A ci co w kołhozie pracują, to praktycznie nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. Kołhozowe pola bowiem, z powodu braku maszyn – stare się zużyły a na nowe nie ma pieniędzy – w większości leżą odłogiem, a jeżeli jest jakaś zapłata, to tylko w produktach rolnych. Ludzie utrzymują się z działek przyzagrodowych, hodowania krowy, kilku świń czy drobiu.

Ale i tak ich sytuacja nie jest aż taka zła. Znacznie gorzej żyje się ludziom w mieście. Większość zakładów produkcyjnych jest nieczynna. Część załóg zwolniono z pracy, a pozostali przebywają na bezterminowych, bezpłatnych urlopach. A jeżeli ktoś pracuje, to jego pensja mieści się w granicach równowartości 50 dolarów. Dla porównania podam, że kilogram mięsa kosztuje 4 dolary, kilogram kiełbasy 3 dolary, a za 1 dolara można kupić 4 chleby. Prawie codziennie, w całej zachodniej Ukrainie w godzinach szczytu, z powodu niepłacenia przez ludzi za prąd, wyłączana jest elektryczność.

Kołhoźnicy w sposób znaczący, jak mogą pomagają swoim rodzinom w miastach. Bez tego bowiem, trudno byłoby im tam przeżyć. A w ogóle to zauważyłem, że ludzie tutaj utrzymują niezwykle ścisłe rodzinne więzi, co im pozwala na wspólne przewyciężanie trudności. Pamiętam, iż podobnie było w czasie wojny. Jest mi trochę wstyd – podejmuję decyzję, że najbliższej rodzinie, Marijce i Porubieńskiemu, będąc się starał systematycznie jakoś pomagać.

Następny dzień przeznaczamy na wyjazd relaksowy – kierunek Jaremcza. Przejeżdżamy przez Delatyn i Oleg opowiada mi prawdziwą historię rozbicia w tym rejonie sowieckiego partyzanckiego oddziału generała Kowpaka. Zrobili to Niemcy we współdziałaniu z ugrupowaniami UPA.

Wreszcie Jaremcza!!! Jest to bardzo piękna, turystyczna, górską miejscowość. Niezwykle malowniczo położona. Wśród łagodnych gór. Nad skalistym korytem wściekle płynącego kamienistym dnem, Prutu. Nad podziw zadbana. W poprzednim okresie była ona często odwiedzana przez członków najwyższych władz, w tym i z Moskwy. Oglądam liczne rządowe ośrodki wczasowe. W centrum stoi pomnik partyzantów Kowpaka, a po drugiej stronie ulicy ich muzeum. Przed muzeum ustawione jest autentyczne partyzanckie działo kaliber 45 mm, ale ktoś w połowie przepiłował lufę i teraz zwisając, przypomina ona nadłamani patyk. Mimo środka sezonu, w Jaremczy praktycznie nie ma turystów. Ukraińcom, aktualnie nie jest w głowie wypoczywanie. Widzę tylko kilka zachodnich samochodów na ukraińskiej rejestracji.

Spotykam też dwa niezwykle luksusowe autokary z rejestracją angielską. A ich starsi pasażerowie słysząc, że mówię mieszaniną języka polsko-ukraińskiego, nawiązują ze mną rozmowę i dowiaduję się, że są oni potomkami rodzin żydowskich i odbywają wycieczkę po Ukrainie śladem licznych miejsc, w których od wieków żyli ich przodkowie.

W południe, Olega i towarzyszących mi członków jego rodziny, zapraszam na obiad do zabytkowej, zbudowanej bez użycia gwoździ, restauracji „Huculszczyzna”. Potem jeszcze zwiedzamy pasterską „Kołybę”.

Następny dzień przeznaczamy na wyjazd w wysokie góry – kierunek Karpaty i Huculszczyzna. Ale zwiedzanie w zasadzie odbywa się z okien samochodu. Na krótko tylko zatrzymujemy się w miejscach widokowo najpiękniejszych i to zarówno jeżeli chodzi o przyrodę jak i mijane miejscowości. Na razie w rejonie Huculszczyzny brak jest niezbędnej infrastruktury – hoteli, restauracji, kawiarni, zajazdów, moteli itd., które by skłaniały turystów do dłuższego pobytu. Ale nie mam najmniejszej wątpliwości, że kiedyś Huculszczyzna stanie się turystycznym hitem dla całej Europy. Jej walory bowiem, są niepowtarzalne. Góry niezwykle urokliwe. Za-

chowany jest oryginalny styl w budownictwie. Miejscowości schludne i zadbane. Ludzie niezwykle życzliwi, ale dumni, pewni siebie i oryginalni – nawet teraz na co dzień chodzą, przynajmniej w niektórych elementach, huculskiego stroju.

Ojciec opowiadał mi też, że w młodości, jako członek wiejskiej orkiestry grywał na huculskich weselach. Było to jednak bardzo wyczerpujące i niebezpieczne zajęcie. Weselnicy bowiem wychodzili z założenia, że skoro płacą to wymagają i orkiestra musiała, dosłownie bez przerwy, grać całą noc. Odpoczynek polegał na tym, że trzech grało a jeden odpoczywał i tak na zmianę. Wprawdzie weselnicy dodatkowo płacili za takie intensywne granie i względy ekonomiczne przemawiały za tym aby nie protestować – jednakże sędzę, że decydowała raczej troska o własne zdrowie, bo z Hucułami nie było żartów. Kiedy opowiadam te historie, wszyscy śmieją się i mówią, że faktycznie, Huculi to twardzi ludzie i lepiej z nimi nie zadzierać. A bawić się i ładnie ubierać, szczególnie w ozdobne pasy, bardzo lubią.

Mijamy Mikuliczyn, Tatarów, Worochtę – w której podziwiamy malowniczo położoną skocznię narciarską. Zaczynamy o przełęcz Jabłonowską. Z daleka patrzymy na Howerlę i Czarnohorę. Przejeżdżamy przez Werchowinę, Kosów, Kuty, Wiżnicę – przez jakiś czas jedziemy doliną opiewanej w huculskich pieśniach Czeremoszy m.in. w piosence „Hucułka Ksenia”. A potem przez Kobaki, Rożnów. Trostianiec, Zabołotów i Borszczów wracamy do Kołomyi.

Następnego dnia zwiedzam Kołomyję. Zaczynamy od targowiska. Jest tam dosłownie wszystko. Ceny jednak są horrendalne. Większość to towary polskie. Prawie wszyscy kupujący i sprzedający, doskonale się znają i targ jest też ośrodkiem intensywnego życia towarzyskiego. Miejscem spotkań kołomyjskiej „finansjery”. A bywanie na targowisku należy do dobrego tonu. Hurtem, bez przesłuchiwania, kupuję taśmy z nagraniami ukraińskich melodii ludowych. Czym wywołuję zdziwienie sprzedawcy, który wprawdzie cieszy się z takiej transakcji, ale proponuje jeszcze kupno nagrań melodii współczesnych. Odmawiam i mówię, że melodie ludowe są wieczne – a współczesnych, za kilka lat nikt nie będzie pamiętał.

Potem idziemy pod pomnik Tarasa Szewczenki. Oleg

mówi mi, że stoi on na miejscu, na którym poprzednio stał pomnik Lenina. W związku z pomnikiem Lenina, ostatnio miał miejsce poważny, międzynarodowy skandal. Otóż kilkanaście lat temu, stawiano go w wielkiej tajemnicy. Wszystkie prace wykonywali żołnierze pod ogromnym, specjalnie w tym celu ustawionym namiotem. Cała Kołomyja zachodziła w głowę jaka jest tego przyczyna...

Wszystko wyjaśniło się w czasie jego rozbierania. Otóż okazało się, że cały przyległy plac i postument, wyłożony był marmurowymi płytami nagrobnymi, pochodzącymi z żydowskich cmentarzy. Sprawą zainteresowały się krajowe i światowe organizacje żydowskie. Złożono liczne protesty i wyrazy oburzenia, a teraz te organizacje i miejscowe władze nie bardzo wiedzą co z tymi płytami zrobić, aby nie urazić uczuć religijnych Żydów.

Potem oglądam pałac kołomyjsko-czerniowieckiego grekokatolickiego Władyki. Mieści się on w starannie odnowionym, kunsztownie ozdobionym budynku byłego komitetu rejonowego partii. Od reszty miasta oddzielony jest trzema płotami. Dwa zbudowane są z solidnych, ozdobnych, metalowych prętów, a trzeci, najbliższy budynku – z trzymetrowych desek tak, że poddani nie widzą, co się na dziedzińcu dzieje. Dowiaduję się, że Władyka po podległej sobie Diecezji porusza się z grupą luksusowych samochodów w towarzystwie kilkusobowej, uzbrojonej po zęby ochrony...

Cerkwie grekokatolicka i prawosławna na zachodniej Ukrainie, w tym i w rejonie Kołomyi, są w sposób niewyobrażalny skłócone (i z tego powodu zapewne – jak mi powiedziano – kler do polityki się nie miesza). Dochodzi do tego, że w niektórych nawet małych wsiach, budowane są dwie Cerkwie oddzielnych obrządków. Podziały występują często w poszczególnych rodzinach. Zaciętrzewienie jest ogromne i przyjmuje niekiedy groźne rozmiary. W związku z tą sytuacją, kołomyjski Władyka został wezwany do Watykanu... A po powrocie, na kilka tygodni zniknął. Po pojawieniu się, we wszystkich swoich parafiach ogłosił, iż w związku z tym, że ze swej winy dopuścił do takiej sytuacji a nawet ją sprowokował – na świętego Spasa przeprosi wszystkich swoich poddanych... I przeprosił!!!!...

Zastanawiam się czy stać by było na to, ot chociażby naszego przesławnego księdza prałata Henryka Jankowskiego z Gdańska, którego kazania niekiedy znacznie odbiegają od biblijnej zasady miłości bliźniego....

Dostrzegłem, że na zachodniej Ukrainie ludzie demonstracyjnie manifestują swoją religijność. Ale z tego co mi powiedziano, jest to religijność raczej powierzchowna. Służy bardziej podkreśleniu swojej odrębności narodowej i radości z uzyskanej niepodległości niż zaprezentowaniu pobożności. A nadto wielu ludziom, udział w obrzędach religijnych zastępuje chyba, uprzednio nabyty nawyk uczestniczenia w pochodach i rozlicznych demonstracjach. Bardzo wielu z nich bowiem, mimo aktywnego udziału w życiu religijnym i entuzjastycznego, spontanicznego uczestnictwa w walkach między obu Cerkwiami – ze szczerym rozbawieniem dowcipkuje sobie z poczyną i stylu życia swojego kleru. Ale nie stoi to na przeszkodzie, że praktycznie w każdej wsi buduje się albo już jest wybudowana nowa cerkiew. Wszystkie są do siebie podobne, z kopułami, kryte blachą, pomalowane w kompozycję narodowych niebiesko-żółtych barw. Tak, że odnosi się wrażenie, iż projektował je ten sam architekt, a budował ten sam budowniczy.

Takie samo wrażenie odnosi się, jeżeli chodzi o wiejskie domy mieszkalne. Starych domów w zasadzie nie ma. Niemal wszystkie są parterowe, kwadratowe, kryte blachą lub szarą dachówką, o szpiczastym zakończeniu dachu. Kolorystyka też narodowa, z przewagą koloru niebieskiego. Ale nawet te najbiedniejsze są bardzo czyste, zadbane, ze starannie uprawionymi ogródkami. Oryginalne jest jedynie wiejskie budownictwo w centrum Huculszczyzny, odznaczające się regionalną odrębnością, zewnętrznym wystrojem i jakimś nie dającym się opisać, wszędzie wyczuwalnym, niepowtarzalnym urokiem.

W ogródkach bardzo wielu domów są nowo wybudowane kapliczki, będące miniaturą oglądanych przeze mnie cerkwi. Często też w przydomowych ogródkach są usypane małe, starannie utrzymane, pokryte darnią i kwiatami tzw. „kopce ukraińskiej sławy”, z zatkniętym na szczycie krzyżem – a od strony drogi, z ułożonym z kolorowej ceramiki Tryzubem.

Dzisiaj zwiedzamy jeszcze Kołomyjskie Muzeum Huculszczyzny. Osobiście oprowadza nas Dyrektor. Po obejrzeniu oficjalnej ekspozycji stanowiącej 20% posiadanych zbiorów, w drodze wyjątku, jako formę wyróżnienia – co Dyrektor wyraźnie podkreśla – oprowadzani jesteśmy po magazynach Muzeum.

Zbiory Muzeum są ogromne. Odzwierciedlają całą wielowiekową duchową i materialną kulturę Huculszczyzny. Nie będę się silił na ich opisywanie. Ograniczę się jedynie do kilku ciekawostek. Otóż, ze zdumieniem stwierdziłem, że poszczególne wsie Huculszczyzny, mają odrębną, wyraźnie się odznaczającą materialną kulturę. Dyrektor pokazując stroje i sprzęty podawał z jakich wsi one pochodzą i widać było istotne różnice w ich wyglądzie. Duże wrażenie zrobiła na mnie autentyczna huculska chata wyposażona we wszystkie domowe sprzęty. Ze zdumieniem skonstatowałem, że podobne sprzęty znajdowały się i w moim rodzinnym domu.

Jako największy skarb Muzeum, Dyrektor pokazuje nam 17 autentycznych map Ukrainy, osobiście sporządzonych przez Francuza Baupelana, budowniczego znanej z „Ogniem i mieczem” twierdzy Kudak, autora pierwszego naukowego opisanie Ukrainy – z dumą dodając, że w pozostałych muzeach całej Ukrainy są zaledwie 3 takie mapy. Robi to na mnie wrażenie tym bardziej, że fragmenty książki Baupelana czytałem.

Po zwiedzeniu Muzeum, poprzez Horodenkę jedziemy do Zaleszczyk. Zwiedzamy miasto a na słynnym, historycznym, dniestrowym moście robimy zdjęcia.

Następnego dnia wstajemy bardzo wcześnie, czeka nas bowiem daleka droga... – Długo się zastanawiałem czy tam jechać. W końcu doszedłem do wniosku, że to taki sam obiekt turystyczny jak każdy inny. Chociaż nieco bardziej egzotyczny. Po drodze, na dłużej zatrzymujemy się w Iwanofrankowsku. Przez jakiś czas chodzimy po centrum a potem wolno objeżdżamy miasto. Zatrzymujemy się przy mostach na Bystrzycy Sołotwińskiej i Bystrzycy Nadwórniańskiej, które do Iwanofrankowska płyną nieomal równolegle, mając swe źródła w Gorganach, zaledwie parę kilometrów odległe od siebie.

Wreszcie bierzemy kurs na Kałusz... Na pierwszej zaporze milicyjnej pytamy o drogę do wsi Ugrinów Stary. Milicjant zaczyna nam wyjaśniać, a my dla ułatwienia mu zadania dodajemy, że jest tam muzeum w rodzinnym domu Stepana Bandery... Milicjant sztywnieje, podejrzliwie na nas patrzy, wpada w zadumę, wreszcie mówi, że to nie taka prosta sprawa, bo właściwie to on drogi nie zna, radzi nam jechać dalej i spytać się kogoś innego... Podobna sytuacja jest na następnej zaporze. Z tym, że tutaj już celowo, dla eksperymentu z opóźnieniem podajemy nazwisko Bandery. Dalej, już w pobliżu Kałusza, milicjantów o drogę nie pytamy a staramy się dowiedzieć od przechodzących cywili. I mimo, że znajdowaliśmy się już wówczas parę kilometrów od tej wsi – kilku z nich nie potrafiło nam drogi wskazać. Wreszcie znalazł się jeden, który skwapliwie, niezwykle chętnie i skutecznie, kierunek nam pokazał – a na koniec porozumiewawczo zrobił do nas „oko”. Odpowiedzieliśmy mu tym samym i po kilkunastu minutach niezwykle wyboistą drogą, dotarliśmy do celu.

Pierwsze wrażenie takie, że nie widzimy ani jednego zwiedzającego. W pobliżu tylko, bawi się kilkoro wiejskich dzieci. Patrzmy na wielki pokryty darnią plac, po-przeznaczony alejkami z brukowej kostki – otoczony kilkudziesięciocentymetrową podmurówką z małym żelaznym płotem. Na skraju placu, tuż przy drodze, na małym kopczyku z posadzonymi kwiatami, otoczona rumowiskiem betonowych odłamów – stoi płaskorzeźba w czarnym marmurze z wizerunkiem Stepana Bandery. Potem przewodniczka wyjaśniła nam, że płaskorzeźba ta w ostatnich latach, przez nieznaną sprawcę była dwukrotnie wysadzana w powietrze. A znajdujące się przy niej rumowisko jest pozostałością po tych wybuchach i traktowane jest jako eksponat.

Na lewo widzimy małą drewnianą starą chatę – a dla jej utrwalenia obudowaną ceglami, gdzieś tam otynkowaną a w większości obitą jeszcze pomalowanymi na niebiesko ozdobnymi deskami, wyglądem i wielkością przypominającą ogrodową altanę. Ale jest to tak zabezpieczona, jedyna izba jaka zachowała się z rodzinnego domu Bandery. Bowiem

pozostała część domu dawno uległa zniszczeniu. Jeszcze przed powstaniem planów urządzenia tutaj muzeum.

Parę metrów dalej widzimy starą, autentyczną, obudowaną drewnem w kształcie małego domku z pochyłym daszkiem, stylową, typowo ukraińską – domową studnię. Opodal widać też autentyczną, starą, murowaną, starannie odnowioną, otynkowaną na biało, stylową, w kształcie małej cerkwi ze spłaszczoną kopułą – przydomową kapliczkę. Przez oszkłone drzwi kapliczki, widzimy obłożony kwiatami, umieszczony na skośnym postumencie – portret Bandery. Zaś na ścianach zawieszono są święte obrazy, otoczone tkaniną w ukraińskie ludowe wzory. Na samym środku placu stoi 3-metrowy z brązu pomnik, przedstawiający całą postać Bandery. A obok są dwa maszty. Na jednym wisi żółto-niebieska ukraińska narodowa flaga a na drugim czerwono-czarny bojowy sztandar UPA.

Jura prosi o kamerę i z wielkim zapałem przystępuje do pracy. Okazało się, że zrobił zupełnie niezły film.

Na nasz widok, z budynku wychodzi wyraźnie ucieszona przewodniczka i objaśnia nam to, co dotychczas zobaczyliśmy. Potem wchodzimy do izby. W środku widzimy kilka autentycznych domowych sprzętów: stół, kredens, zegar, zastawę stołową i kilka innych przedmiotów codziennego użytku. Reszta ekspozycji to zawieszono na ścianie zdjęcia, gazety i inne pisma polityczne, przyozdobione tkaninami z ukraińskimi wzorami. Na tablicy ze zdjęciami Bandery i jego najbliższych współpracowników widnieje napis: „godzina w której się urodzili była szczęśliwą godziną.”

Przewodniczka podaje nam życiorys Bandery. Otóż urodził się on w 1909 r. w rodzinie ukraińskiego grekokatolickiego księdza (popa), który w latach 1918-20 był kapłanem ukraińskiej armii prowadzącej m.in. walki z Polakami o Lwów, będąc jednocześnie posłem do Ukraińskiej Narodowej Rady w Stanisławowie. Stepan Bandera maturę zdaje w 1927 r. w gimnazjum w Stryju. W latach 1928-1933 studiuje na wydziale agronomii Lwowskiej Politechniki. W 1928 roku wstępuje do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Od 1932 r. pełni obowiązki krajowego komendanta Ukraińskiej Wyzwoleńczej Organizacji (UWO). W 1933 r. organizuje zamach na sowieckiego konsula we Lwowie, a w

1934 na polskiego ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego – za co dwukrotnie zostaje skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na dożywotnie więzienie. Uwolniony w 1939 r. Po wkroczeniu do Lwowa Niemców, 30 czerwca 1941 r. ogłasza akt niepodległości ukraińskiego państwa. W lutym 1945 r. zostaje wybrany Krajowym Przywódcą Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Przewodniczką nic nie mówi co Bandera robił w latach 1941-1945... I od razu przystępuje do informowania, że w 1952 r. na emigracji, rezygnuje z przewodzenia OUN a w 1953 r. ponownie zostaje jej przywódcą. W 1959 r. w Monachium, Bogdan Staszyński, jego podwładny – a jednocześnie agent KGB, strzela do Bandery z pistoletu w kształcie długopisu (w Muzeum jest rysunek tej broni) nabojem wstrzykującym truciznę, która natychmiast spowodowała śmierć, a jednocześnie po 2 godz. w całości się z organizmu ulotniła i formalnie przyczyną śmierci była nie do ustalenia. Staszyński zdając sobie sprawę, że zostanie przez KGB zlikwidowany, po dokonaniu zamachu niezwłocznie oddał się w ręce władz i opisał jego przebieg. Za czyn ten został skazany na 6 lat więzienia. A potem osiedlił się w Ameryce.

Pod koniec zwiedzania przewodniczką prosi abym się wpisał do książki pamiątkowej. Mówię, że jestem Polakiem i nie wiem czy będzie to dobrze widziane. Na to ona odpowiada, że właśnie dlatego zależy jej na tym abym dokonał wpisu. Biorę więc książkę, przeglądam i stwierdzam, że jest tam kilkanaście adnotacji, ale żadna nie jest w języku polskim.... Biorę długopis i wyraźnie, nieomal drukowanymi literami wpisuję: „Muzeum obejrzałem z dużym zainteresowaniem – lecz z mieszanymi uczuciami”. Podpisuję się pełnym imieniem i nazwiskiem, dodając Polska, Zgorzelec. Pytam jeszcze przewodniczkę, czy planowane jest sprowadzenie zwłok Bandery i pochowanie go w rodzinnej wsi. Odpowiada, że tak, ale na razie nie ma jeszcze ku temu odpowiedniej atmosfery.

Kiedy kończymy zwiedzanie, pod Muzeum podjeżdża samochód osobowy z trójką turystów, którzy widząc, że Jura filmuje, ustawiają się tak aby kamera ich nie objęła. Proszę więc Jurę aby zaprzestał filmowania. Wsiadamy do samochodów i odjeżdżamy.

Zastanawiam się, co będąc w tym miejscu czułem. I dochodzę do wniosku, że w zasadzie nic. Z wyjątkiem zwyczajnej ludzkiej ciekawości. Sądzę też, że przyjeżdżając tutaj postąpiłem właściwie. Bandera bowiem – niezależnie od oceny jego działalności – był postacią historyczną, a na dodatek człowiekiem, który w sposób bezpośredni wywarł wpływ i na moje losy. Towarzyszące mi osoby o wrażenia nie pytam. Wiem bowiem, że przyjechały tylko dlatego, że ja ich o to prosiłem. A Muzeum oglądali z nie dającą się ukryć obojętnością.

Obiad jemy w Kałuszu a potem nieco okrężną drogą, poprzez Halicz, Tłumacz i Otynię wracamy do Kołomyi.

Następnego dnia, żegnany przez prawie całą bliższą i dalszą rodzinę Olega i kilkunastu jego znajomych, odjeżdżam do Trembowli aby zabrać Tadka.

Oglądam miasto malowniczo położone w dolinie Gniezny, tej samej, która przepływa przez nieodległy, znany z „Ogniem i mieczem” Zbaraż. A która tuż za Trembowlą wpada do Seretu a ten w rejonie Zaleszczyk do Dniestru. Zwiedzamy słynny trembowelski zamek, z którego pani starostowa Chrzanowska tak dzielnie broniła miasta przed Tatarami. Wieczorem schodzą się krewni i znajomi Tadka. Opowiadają o trudnym i biednym życiu. O wydarzeniach w mieście. O udanych próbach zintegrowania środowisk ukraińskich i polskich. Wspólnych grekokatolickich i katolickich mszach. Z niebывałym entuzjazmem opowiadają o majowym zjeździe blisko 40 oficerów 9 Pułku Ułanów Trembowelskich, dowodzonego przez późniejszego dowódcę AK, generała Bora Komorowskiego. Oficerowie ci byli serdecznie przyjmowani nie tylko przez Polaków ale i przez miejscowe władze i duchowieństwo grekokatolickie, które wspólnie z Polakami przed kościołem, witali ich chlebem i solą. Na przyszły rok, oficerowie zapowiedzieli ponowny przyjazd. Ale tym razem mają wystąpić w historycznych już mundurach...

W Trembowli poznałem niezwykle ciekawego malarza samouka, Mychajłę. Zwiedziliśmy jego pracownię i kupiłem jeden obraz – ale tylko dlatego, że więcej ukończonych nie miał. Zamówiłem dalszych co najmniej 6, o interesującej mnie ukraińskiej tematyce ludowej.

Następnego dnia rano, pożegnanie i odjazd. W Tarnopolu nie mogę sobie odmówić przyjemności, aby chociaż na chwilę nie wskoczyć do odległego o 20 km Zbaraża. Koniecznie muszę zobaczyć miejsce, gdzie pan Zagłoba odnosił tak znaczne bojowe przewagi. Pobieźnie zwiedzamy miasto i zamek. Pytam się jeszcze gdzie jest grób Podbiپیty... To jest, chciałem powiedzieć, że przypominałem sobie, iż gdzieś czytałem, że przed wojną, jakiś chłop w Zbarażu rzeczywiście o to pytał. Potem wracamy do Tarnopola i z szybkością tatarskiej strzały mkniemy w kierunku Lwowa.

Kilkadziesiąt kilometrów za Tarnopolem zatrzymujemy się przy przyrodzonym źródelku, o którym okoliczna ludność mówi, że objawiła się przy nim Matka Boska. Bardzo się z tego cieszymy licząc, że możemy sobie zaskarbić Jej łaskę przy przekraczaniu granicy – i wzorem innych, po napięciu się wody, wrzucamy do źródelka polskie monety. Tadeusz wrzuca złotówkę, ja zaś, aby zyskać sobie większe względy, ukradkiem wrzucam dwa złote.

We Lwowie, znów koszmar związany z przejazdem przez miasto. Wreszcie jakoś się wydostajemy. Na obwodnicy widzimy drogowskazy do licznych przejść granicznych ale do Medyki lub w kierunku na Przemyśl – albo przynajmniej w kierunku Polski, nie ma ani jednego. Pytamy o drogę i jedziemy dalej, ale napisy wskazują, że jest to kierunek na Szeginię a nie na Medykę. Ponownie kogoś pytamy i podają nam ten sam kierunek, a napisy w dalszym ciągu są na Szeginię – potem dopiero zorientowaliśmy się, że mała wioseczka Szeginia, to ukraińskie przejście do Medyki z tym, że na żadnej mapie drogowej, miejscowość ta nie jest zaznaczona – a jako przejście graniczne podawana jest Medyka... Uff!!! Traktujemy to jako przegrzywkę do tego co nas może czekać na granicy...

Podjeżdżamy i już z daleka widzimy ogromną kolejkę. Oczekujących stałych bywalców pytamy, jak długo trzeba będzie czekać i dowiadujemy się, że minimum kilkanaście godzin. Robi to na nas odpowiednie wrażenie... W pewnym momencie podchodzi do nas młodzian, tak na oko wyglądający na byłego mistrza woj. lwowskiego w boksie w wadze

półciężkiej i mówi: Panowie, 50 dolarów i za 15 min. jesteście w Polsce. – Odpowiadam, że nie skorzystamy, bo my pasjami lubimy stać w kolejkach. Zastanawiamy się co mamy robić. Tadek, zgorzelecki taksówkarz, mający prawo do przekraczania granicy polsko-niemieckiej bez kolejki, a zatem nienawykły do czekania, klnie na czym świat stoi. Potem jednak milknie, wznosi oczy do nieba i bezgłośnie porusza ustami. Widocznie liczy na te dwa złote... Ja też trochę na nie liczę ale jeszcze bardziej na pełnomocnictwo konsula Briżatego... Zostawiam więc Tadka w samochodzie i idę w kierunku granicy. Pokazuję pełnomocnictwo milicjantowi, ten kieruje mnie do pograniczników, gdzie je biorą i każą czekać. Po 15 min. polecają podjeżdżać i ustawić się na pobliskim placu. Tadek jak się o tym dowiedział, to tak mu się trzęsły ręce, że kluczykiem nie mógł trafić do stacyjki – nie wierzył bowiem w skuteczność pełnomocnictwa. Co innego bowiem drogowi milicjanci, a co innego granica...

Oczekując na placu, my mieszkańcy granicznego miasta na Zachodzie, dla zabicia czasu, z zaciekawieniem obserwujemy graniczne życie na przejściu na Wschodzie. Przejście jest otoczone drutem. W pewnym momencie opieram się plecami o ogrodzenie, a milicjant, który to widzi, z przerażeniem krzyczy, aby tego nie robić. Nie wiem dlaczego tak zareagował... Tadek podejrzewa jednak, że być może włączają tam czasem prąd.

Do miejsca odpraw jest tylko jedna, żelazna brama o szerokości nieco większej od bramy w Weleśnicy Leśnej, prowadzącej na podwórkę mojej zagrody. Przez bramę w obie strony wjeżdżają i wyjeżdżają samochody ciężarowe i autobusy. Powstają niesamowite zatory, co chwilę grozi kolizja. Kierowcy na siebie krzyczą. Stojący obok ludzie udzielają wskazówek jak należy manewrować, dowcipkują, panuje niesamowity rwetes i harmider... Patrzę na to i myślę sobie, jak to może być, aby jedna z najważniejszych bram Ukrainy do Europy, była nieco tylko szersza od bramy w mojej zagrodzie? Przez dłuższy czas, gdzieś tak koło 3 godzin naszego oczekiwania na przejazd – przez granicę nie przejeżdża ani jeden samochód osobowy – nawet wtedy, kiedy akurat nie było zatoru spowodowanego przez wozy ciężarowe.

Oczekujący, organizują sobie życie jak mogą, starając się

jakoś rozerwać. Nas np. bardzo ubawili trzej, zresztą bardzo sympatyczni i uprzejmi obywatele Kazachstanu, którzy jechali do Niemiec i co chwilę podchodzili do nas aby zapytać która godzina. Z Kazachstanu do Niemiec, a zapomnieli zabrać zegarka. W pewnym momencie między oczekującymi wybucha jakaś szamotanina. Błyskawicznie wkracza milicja i pałkami przywraca spokój...

Wreszcie zjawia się pogranicznik i każe nam jechać do punktu odpraw. Z nieukrywaną radością to czynimy, powoli bowiem i ja zaczynałem wątpić w skuteczność pełnomocnictwa konsula... Kontrola trwa kilkanaście minut. Po jej zakończeniu – podkreślam, po jej zakończeniu, a zatem bez żadnego związku z jej przebiegiem – zostawiam pogranicznikom, w zasadzie przez zapomnienie sztangę „Marlboro” i co koń wyskoczy mkniemy ku Polsce. Robimy to z takim zapalem, że nie zauważamy polskiej kontroli. Zabiegają nam drogę dwaj strażnicy graniczni – a kiedy zaczynamy się tłumaczyć, że z podniecenia nie zauważyliśmy... oni się śmieją i mówią, że nie my pierwsi tracimy głowy, po dostaniu się wreszcie na stronę polską.

Około godz. 22 w Jarosławiu, wpadamy na daczę Zygmunta. Na szczęście gospodarze jeszcze nie śpią. Maria robi kolację a Tadek wyciąga butelkę bimbru, którą mu dał ktoś z jego rodziny. Mimo zmęczenia siedzimy i rozmawiamy do 2 w nocy.

A w Zgorzelcu uchodzimy za coś w rodzaju bohaterów, ryzykantów, ludzi urodzonych w czepku, którym niesamowicie się powiodło – otóż wyjechali i wrócili. Nikt ich nie pobił, nie okradł, nie napastował. A my z Tadekiem ryczymy sobie ze śmiechu. Ludzie bowiem nie mogą zrozumieć, że byliśmy w normalnym, trochę tylko gorzej zorganizowanym, biedniejszym, ale kulturowo bliskim nam kraju. Poznaliśmy tam wspaniałych, o niebywałej wprost gościnności i serdeczności, ciekawych świata ludzi. Interesujących się tym, co się u nas dzieje, jak żyjemy, jak sobie radzimy i jakie mamy sukcesy i niepowodzenia. Opowiadających bez skrępowania o swoich problemach, ale z nadzieją patrzących w przyszłość. Przypominam sobie, że jadąc z Kołomyi do Trembowli, podwoziłem z Tyśmienicy do jednej z wiosek nad Dniestrem człowieka,

którego pytałem o drogę i powiedział mi on, że ludzie tutaj zdają sobie sprawę z tego, że aktualnie znaleźli się na dnie, ale teraz czeka ich tylko odbicie się od niego – dodając, że tak jak to niedawno zrobiono w Polsce...

Przyjaciołom i znajomym opowiadałam jak tam było. Niczego nie owijam w bawełnę. Bowiem obok niepowtarzalnych pozytywnych wrażeń, dostrzegłem dużo uciążliwych mankamentów, wynikłych głównie z niedowładu organizacyjnego. Przede wszystkim brak drogowskazów!!! Rozumiem, że są trudności gospodarcze, ale przecież wymalowanie ich nie jest aż takie kosztowne – a bez tego, normalne poruszanie się po Ukrainie, szczególnie nocą, jest wręcz niemożliwe.

Jeżeli chodzi o drogi, to legendy o ich fatalnym stanie są przesadzone. Drogi główne są znośne, choć daleko im do standardów obowiązujących u nas. Nie mówiąc o standardach zachodnich. Trochę gorzej wygląda sytuacja jeżeli chodzi o drogi boczne, a szczególnie wiejskie. Odnosi się wrażenie, że większość dróg głównych została wybudowana w ostatnich czasach, jeszcze za byłego ZSSR i stąd ich stan jest stosunkowo nie najgorszy. Jednakże wymagają one już remontu, a nie widziałem ani jednej ekipy aby to robiła... za Buczaczem tylko dostrzegłem, że jedna kobieta malowała na drodze pasy, a nad nią stało 3 naczelników i z zafrasowanymi minami udzielali wskazówek jak ma to robić... Niewątpliwie jednak zaletą ukraińskich dróg jest to, że są one jeszcze nieomal puste, co ułatwia omijanie różnych nierówności – motoryzacja bowiem, w takiej skali jak u nas, na razie tam nie dotarła.

A teraz te okropne zapory milicyjne! A bojowy wóz pancerny za Tarnopolem z ciężkimi karabinami maszynowymi wymierzonymi w podróżnych, to jest wręcz skandal!!! Zastanawiam się przeciwko komu zapory są wymierzone. Przeciwko mafii? Z tego co wiem, to ukraińska mafia ma się zupełnie dobrze i zapory jej nie przeszkadzają. Zresztą są one usytuowane w stałych miejscach i każdy kto zna teren, z łatwością, bocznymi drogami może je wyminąć. Widziałem natomiast, że na zaporach szczegółowo i dokładnie kontro-

lowano ludzi – jak mi potem mówiono, niekiedy „obdzierając ich ze skóry” – którzy często za ostatnie swoje oszczędności, sprowadzali z Polski złom samochodowy, który nasi zgorzeleccy handlarze kupują na niemieckich złomowiskach za 80, a Ukraińcom sprzedają za 2–3 tysiące marek.

Osobnym problemem są przejścia graniczne. Myślę, że to co się tam dzieje, jest jednym wielkim nieporozumieniem i nie znajduje żadnego racjonalnego uzasadnienia z punktu widzenia interesów ukraińskiego państwa. To wielogodzinne przetrzymywanie przejeżdżających służy jedynie temu, żeby „skruszeli” – sam też byłem bliski dania barczystemu młodzianowi 50 dolarów i jestem pewien, że granicę przekroczylibyśmy szybciej. A szczegółowe kontrole, z tego co mi na Ukrainie mówiono, w zasadzie wymierzone są w drobnych handlarzy, którzy aby przeżyć, utrzymać rodzinę – jakieś drobne towary wywożą albo wwożą. I praktycznie zawsze nie obywa się bez „haraczu”, który na granicy muszą zapłacić.

Zauważyliśmy, że nawet szeregowi celnicy i pogranicznicy, mimo kryzysu w kraju, jeżdżą luksusowymi samochodami. Mówiono mi też, że ostatnio, prowadzono przeciwko nim kilka spraw karnych – ale nie dało to żadnych rezultatów. Myślę, że sprawa ta musi być jakoś rozwiązana – a rozwiązanie jej leży dosłownie w interesie wszystkich. Nie będę tego uzasadniał, bo to chyba jest dla każdego oczywiste, skoro Ukraina pragnie się otworzyć na świat, a wielu ludzi z różnych powodów pragnie Ukrainę odwiedzać. Ja jednak mam w tym i swój mały prywatny interes. Otóż upatrzyłem sobie w Jaremczy działkę, na której chciałem wybudować dachę. Oleg ma chodzić koło tego aby załatwić związane z tym formalności... Ja z kolei obiecałem, że rozejrzę się za czymś podobnym dla niego w rejonie Karpacza. Ale jak my kilka razy w roku będziemy odwiedzali swoje dachy, skoro na granicy są aż takie problemy!!!!...

Zgorzelec, wrzesień 1996 r.

Bronisław ZIOŁA

Archiwum polityczne

Niespokojna jesień w Niemczech

Kto dotąd uważał, że wszystko co się dzieje w Niemczech odpowiada regułom wzorowego porządku i żelaznej organizacji, ten powinien być, najpóźniej jesienią roku 1996, zmienić zdanie. Zaczęło się od tego, że dokonując cięć w budżecie państwowym celem ograniczenia ogromnego deficytu (nie jest to skądinąd troska tylko niemiecka), koalicja rządowa przeforsowała przeciw głosom opozycji ustawę o redukcji płac pracowników w wypadku choroby. Dotychczas otrzymywali oni od swej firmy 100% płacy w ciągu pierwszych sześciu tygodni choroby, natomiast w myśl nowej ustawy otrzymywać by mieli 80%¹.

Jeszcze farba drukarska na komunikacie prasowym dobrze nie obeschła, a już kanclerz Kohl i minister pracy Blüm apelowali publicznie do przedstawicielstw pracodawców i do związków zawodowych, by w pertraktacjach na ten temat zachowały umiar i powściągliwość. Ku ogólnemu zdumieniu. Bo skoro ustawa – i to obowiązująca od zaraz – to jaki sens mają w ogóle pertraktacje, apele czy upomnienia? Toteż niektórzy przedsiębiorcy pomówili nawet kanclerza i ministra o obłudę. Niezależnie od ostrzejszego czy łagodniejszego zakwalifikowania tych odgórných interwencji, trzeba przypomnieć, że w Niemczech prawa i obowiązki pracodawców i pracowników określone są dokładnie w zbiorowych umowach taryfowych, zawieranych przez obie

1. Po 6 tygodniach obowiązek świadczeń przejmuje kasa chorych, przy czym ich wymiar jest zindywidualizowany.

strony – bez żadnej zewnętrznej ingerencji – i okresowo odnawianych w obrębie danej branży. Tzw. autonomia taryfowa jest tu ściśle przestrzegana. Otóż z tekstu nowej ustawy nie wynika, czy można ją stosować, jeżeli ważność umowy okresowej trwa.

I teraz zaczęła się zabawa. W branżach, w których ważne jeszcze umowy nie wyznaczały wysokości płacy podczas choroby, lecz odwoływały się do przepisów ustawowych, sprawa była dla pracodawców łatwiejsza – zmienili się przecież przepisy. Tam natomiast, gdzie ów stuprocentowy wymiar został w umowie czarno na białym wyszczególniony – zapanowało zamieszanie. Co nad czym teraz góruje: nowa ustawa nad starą (ale ważną) umową, czy odwrotnie? Zanim zdążyło dotrzeć do publicznej wiadomości kanclerskie sprostowanie, że mianowicie uchwalona ustawa nie wkracza w autonomię taryfową i ma tylko charakter ramowy, uruchomiły się próbne sondy. Pierwszy ogłosił redukcję stawek chorobowych koncern-gigant Daimler-Benz, producent Mercedesa, a tuż po nim Siemens. Jednak niedługo potem oba przedsiębiorstwa na razie się wycofały, a w ślad za nimi inne olbrzymy przemysłowe sięgnęły do metody „raz wprzód, raz w tył”. Niemniej z końcem października koncerny samochodowe – Volkswagen, Opel, BMW, Ford – pozostawały przy stawkach stuprocentowych.

Przy tym, co najciekawsze, wcale nie od razu doceniono tu ładunek wybuchowy całej sprawy. Niektórzy politycy i niektórzy przedsiębiorcy zawierzyli widocznie zabiegom amortyzacyjnym. I tak, nowa ustawa przewiduje możliwość wyrównania strat dla pracowników, jak rezygnację z jednego dnia urlopu za pięć dni choroby, jak redukcję dodatku świątecznego itd. Moi rozmówcy, np. inżynier w jednej z fabryk kolońskich, np. urzędniczka w zarządzie miejskim, informowali mnie uzupełniając, że w tzw. kontaktach czasowych pracowników (prowadzonych w wielu przedsiębiorstwach) istnieją inne jeszcze rezerwy wyrównawcze. Ale, dodali od razu, to nie wystarczy do rozładowania atmosfery. Z drugiej znów strony dziennikarze, uczestniczący w popularnej dyskusji telewizyjnej „Presseclub”, sądzili początkowo, że rozdmuchuje się sprawę nieistotną, bo łatwą do rozwiązania i nadającą się właściwie do zdjęcia z

porządku dziennego. *Weg vom Tisch* – po polsku powiedzielibyśmy „Mamy to z głowy”...

Tymczasem nikt niczego nie miał z głowy, gdyż sprawa zaczęła żyć własnym życiem. Stała się błyskawicznie wartością zastępczą, prawie symbolem wszelkich, już przez koalicję rządową dokonanych, albo dopiero zamierzonych, jednostronnych przesunięć budżetowych na wyraźną niekorzyść słabszych materialnie warstw społeczeństwa. W fabrykach metalowych zaczęto organizować zbiorowe protesty podczas pracy. Grożono strajkami, jeśli sprawa nie zostałaby załatwiona definitywnie do końca lutego. Zbiegło się to z terminem odnawiania umów taryfowych, dotyczących przecież o wiele szerszych problemów. Ale we wszelkich pertraktacjach między zrzeszeniami pracodawców a związkami zawodowymi, zarówno centralnych, jak częściowych w poszczególnych landach², a czasem w poszczególnych przedsiębiorstwach, właśnie owe stawki chorobowe wysuwały się na czoło. Teraz dopiero zaczęto rozumieć dlaczego. Po pierwsze nowa ustawa trafiła w jeden z najbardziej niewralgicznych punktów: w spokój pracownika o ochronę zdrowia. A po drugie zraniła poczucie statusu społecznego robotników. Niemal 40 lat temu, w r. 1917, wywalczyli oni bowiem w strajku, trwającym 16 tygodni, zrównanie z urzędnikami w prawie do stuprocentowych stawek chorobowych. Nie powinny więc być dziwić rozbudzone teraz emocje. Ścisłego związku między ekonomią a psychologią nie wykryto przecież dopiero dziś.

W przemyśle metalowym rozbiły się pertraktacje centralne i wyglądało na to, że od tej chwili sytuacja może się tylko zaostrzać. Równocześnie narastały protesty w przemyśle chemicznym i w bankach, a w renomowanych fabrykach wyrobów cukierniczych zaczęły się strajki. W tym samym czasie posypały się lawinowo – w imię oszczędności w budżecie państwowym – różne projekty nowych przepisów, zaleceń, rozporządzeń, dotyczących także innych dziedzin. Działacze polityczni, często z tej samej partii, zaskakiwali codziennie opinię publiczną sprzecznymi oświadczeniami.

2. Obok centralnych umów taryfowych dopuszczalne są również umowy regionalne.

Wytworzył się więc chaos informacyjny, prawie niemożliwy do opanowania. Najstaranniej redagowane gazety drukowały dziś określoną wiadomość w formie definitywnej, by podać ją nazajutrz w formie hipotetycznej. Skutek był taki, że mało kto wiedział dokładnie, co działa już, a co jeszcze nie, co jest dopiero projektem ustawy, a co ustawą, co wymaga zatwierdzenia i czyjego, co kogo dotyczy, a co nie dotyczy.

W drugą niedzielę adwentową zamrożony front w przemyśle metalowym drgnął. Na terenie Dolnej Saksonii doszło do kompromisu między stronami, w Hanowerze podpisano umowę regionalną. Stuprocentowe stawki chorobowe zostały utrzymane, podwyżki płac w r. 1997 wyniosły 1,5%, a w r. 1998 – 2,5%. W drodze kompensacji: godziny nadliczbowe, uwzględniane dotąd przy indywidualnym wymierzaniu stawek chorobowych, nie będą zaliczane; płace urlopowe i dodatki świąteczne ulegną redukcji do 50-55% wynagrodzenia miesięcznego. W sumie – zwycięstwo pracowników, ale raczej prestiżowe niż materialne.

Jak widać, obie strony wzięły kurs na kompromis. Słynny, czasem nawet z zazdrością obserwowany przez sąsiadów *consensus* w niemieckiej polityce społeczno-gospodarczej, nie został – przynajmniej regionalnie – zaprzeczony. Ale, jak to z kompromisami bywa, i ten przyjęto rozmaicie. Przewodniczący zrzeszenia pracodawców w przemyśle metalowym, Stumpfe, wyczuwając trafnie, że kompromis będzie zaraźliwy, uznał go nieomal za cios dla produkcji i zażądał ograniczeń w prawie do strajku; twierdził, że w wypadku zderzenia się interesów, pracownicy dysponują skuteczniejszymi narzędziami walki niż pracodawcy. Wywołało to natychmiastową replikę ze strony związków zawodowych, partii politycznych, prasy („Czy Stumpfego opuściły wszystkie dobre duchy?” – po naszymu mniej elegancko: „czy postradał wszystkie zmysły?”) i kanclerza Kohla, który zareagował ostro i szybciej niż zwykle.

Tymczasem zawarto szereg innych porozumień: dla przemysłu metalowego w innych landach; dla przemysłu chemicznego podpisano umowę centralną. Kiedy to piszę, stuprocentowe stawki chorobowe zostały przyznane dziesięciu milionom pracowników. Ale w wielu dziedzinach wciąż jeszcze „wszystko płynie”. W zakresie ochrony zdrowia zacięta

kontrowersja (targ?) toczy się w trójkącie minister-kasy chorych-lekarze. Wszelkie projekty zmian mają oczywiście charakter ograniczający i wymagający wyższego udziału pacjenta w opłatach za leki, kuracje, zabiegi profilaktyczne, lecznicze i rehabilitacyjne, za protezy dentystyczne itd. Szczególnie ostry spór przeciwstawia kasy chorych lekarzom, którzy protestują gwałtownie przeciw narzucaniu im ram pieniężnych w zapisywaniu leków.

Obok cięć w ochronie zdrowia dokonano – już na rok 1997 – innych skreśleń, np. w budżecie na badania naukowe. W przemyśle nowe przepisy i kryteria mają ułatwić pracodawcom zwalnianie pracowników; zasiłki dla bezrobotnych nie mają wzrastać, jak dotychczas, równoległe do wzrostu płac. Mówi się też o ograniczeniu wyjątkowej procedury w zakresie ochrony przed bezrobociem, polegającej na opłacaniu pracownika z funduszy specjalnych, a nie przez zatrudniające go rzeczywiście przedsiębiorstwa czy urzędy. (Takie posunięcie uderzyłoby najdotkliwiej Niemcy wschodnie). Wiek uprawniający do renty ma się stopniowo podwyższać, a w dalszej perspektywie projektuje się, że względu na przemiany demograficzne (przedłużanie się życia ludzkiego), reformę systemu rentowego. Składki na renty, odciągane w połowie pracownikom z płac, zostały już zresztą podniesione, a od kilku dni rośnie kolejna wielka irytacja, gdyż gruchnęła wiadomość o zamierzonym wzroście opodatkowania rent.

Najradykałniejszym jednak zmianom ulegają skale podatkowe. Odpowiednia komisja parlamentarna zaleciła już na rok 1997 skreślenie podatku od majątku prywatnego. Zarazem przenikają do prasy najważniejsze punkty tzw. wielkiej reformy podatkowej, która ma wejść w życie w kilku rzutach, od r. 1998. Główne ostrze reformy: obniżenie, podobno „ponadproporcjonalne”, najwyższego wymiaru podatkowego, jak też jego granicy podstawowej, przy równoczesnym skreśleniu całego rejestru ulg, pozwalających na odpisywanie z podatku okazałych czasem sum. Na r. 1998 planuje się też redukcję tzw. dodatku solidarnościowego, wprowadzonego po zjednoczeniu na rzecz gospodarki wschodnioniemieckiej. Dla pokrycia powstałych w ten sposób niedoborów w budżecie państwa projektuje się podwyższenie tzw. podatku od wartości dodanej (*Mehrwertsteuer*). Podatek ten uiszczają wszyscy,

przy każdym zakupie i przy opłacie za każdą usługę³ – a zatem znowu obciąża on najdotkliwiej warstwy najslabsze materialnie. Jest to punkt najbardziej sporny już we wstępnych dyskusjach. Stanowisko opozycji, a także poważnych czasopism: *Reforma*, która znosi podatek od majątku, a podwyższa *Mehrwertsteuer* jest antyspołeczna i niesprawiedliwa. Ostra walka polityczna na dłuższą metę wydaje się zaprogramowana już teraz.

Nie tylko w parlamencie. Podskórna atmosfera rozdrażnienia wśród ludzi, spotykanych przygodnie i nieprzygodnie, szuka sobie ujść w zwątpieniach, w rezygnacji, czasem w tłumionej agresji. Młodzież – i pracująca, i bezrobotna – wie, że przeminął czas cudów gospodarczych, i że to jej przyjdzie płacić za dzisiejsze długi państwa. Jest to bomba na czas – twierdzą niektórzy starsi i straszą widmem konfliktu generacyjnego na nieprzewidzianą skalę. Falę rozdrażnienia, trzeba to dodać, zasilają rozgorzałe spory o *euro*, którego ci z wyższych piętér wypatrują, a ci z niższych się boją. Niby jedno z drugim nie ma nic wspólnego, a jednak ma – i wszystko razem urasta do niepokoju o ową słynną niemiecką stabilność, opartą społecznie o szeroki tutejszy *Mittelstand*⁴, który już dawno zdążył „wintegrować” także miliony tzw. małych ludzi. W okresach kryzysowych trudno czasem określić stopień przedramatyzowania ocen czy przepowiedni. Ale właśnie przy wszystkich lękach i napięciach, aż zdumiewa jednomyślność wśród przeciwników obecnych posunięć rządowych: Nikt nie kwestionuje potrzeby oszczędności budżetowych, bez nich się nie obejdzie, państwo musi zracjonalizować systemy społecznego zabezpieczenia. Rzecz w tym, by odbywało się to sprawiedliwie. Obok „małych ludzi” niech płacą właściciele wielkich fortun i dóbr, a także wszyscy wysoko postawieni i wysoko opłacani.

Zespół zabiegów oszczędnościowych ma oczywiście

3. W prasie krajowej operuje się nazwą VAT.

4. *Mittelstand* – szeroko i współcześnie pojmowane warstwy średnie, które w szybko rozwijających się społeczeństwach przemysłowych objęły także wykwalifikowanych robotników, urzędników również i niższego szczebla, pracowników działów usług itd.

Kleiner Mann, kleine Leute – termin bardzo często tu stosowany właśnie na określenie ludzi wchodzących w skład *Mittelstandu*.

służyć za główny instrument w zwalczaniu bezrobocia. Drogowskazem ma więc być znany trójdzielny cykl: radykalne odciążenie przedsiębiorców – nowe lub w każdym razie dynamicznie się rozszerzające inwestycje – nowe miejsca pracy. Tą drogą miałyby się osiągnąć cel wyznaczony przez kanclerza Kohla – zmniejszenie bezrobocia o połowę do roku 2000. Cel, potem zrelatywizowany przez samego kanclerza, potem znów w postaci pseudo-hasła przywrócony, stał się w końcu przedmiotem coraz liczniejszych rysunków satyrycznych w gazetach. Ważniejsze, że uznani eksperci i wysoko cenione instytuty badawcze przestrzegają przed wiarą w automatyzm trójdzielnego cyklu. Zapowiadają wprawdzie w najbliższym roku umiarkowany wzrost gospodarczy (2,5%), ale zarazem – dalszy wzrost bezrobocia. Prosty, jednokierunkowy związek między koniunkturą a zatrudnieniem przestał funkcjonować. Niemiecka dynamika gospodarcza, wynikająca przede wszystkim z eksportu, nie zmienia sytuacji na wewnętrznym rynku pracy.

Nie polepszają jej też oczywiście fuzje handlowych i przemysłowych gigantów, ani znikanie wrośniętych w miasta domów towarowych, ani likwidacje fabryk, kopalń lub stoczni z tradycjami czasem i stuletnimi, ani wreszcie tysiące bankructw, których ofiarą padają niewielkie, młode przedsiębiorstwa, których ilość (bankructw, nie przedsiębiorstw) wzrosła od pięciu lat przeszło trzykrotnie. Wreszcie – *last but not least* – światowa globalizacja rynków, możliwość inwestowania i produkowania gdzie dusza zapragnie (a dusza pragnie taniej) – to potężny bodziec, kierujący inicjatywę gospodarczą tam, gdzie za pracę ludzką płaci się dużo mniej niż w Niemczech⁵.

Cztery miliony (albo więcej) bezrobotnych, pęd kapitałów na zewnątrz, wstrzemięźliwość inwestycyjna wewnątrz, zaostanie się różnic społecznych – skutki racjonalizacji, komputeryzacji, globalizacji, nie oszczędziły więc i tego, „wzorcowego” do niedawna kraju indywidualnych i zbiorowych sukcesów gospodarczych. Rozlegają się coraz częściej

5. Według jednej z najnowszych ankiet ilość miejsc pracy w firmach niemieckich zagranicą sięgnie w najbliższych latach prawie trzech milionów.

prawie-alarmy, głosy przestrogi przed bezwzględnością neo-liberalizmu. *Spiegel* drukuje serię o „turbo-kapitalizmie”, *Zeit* artykuł-apel pani Dönhoff „Ucywilizujcie kapitalizm!”, a także cykl o nadchodzących „Chudych latach”. Spoza tej lub owej szpalty wyzierają nawet niemodne słowa: „moralność-niemoralność”. Prezydent Herzog przemawia pracodawcom do sumienia, zarzuca im, że obchodzi ich wyłącznie bilans własnych przedsiębiorstw – i że nie liczba zatrudnionych, ale liczba zwolnionych staje się dziś niemal miernikiem sukcesu. A premier Płn. Nadrenii-Westfalii, Rau, woła o sprzeciw wobec „nie znającej hamulców gospodarki w obojętnym społeczeństwie”.

Obok czynników globalnych, działają negatywnie w dzisiejszych Niemczech domorośłe, zawinione zapóźnienia. Będzie to może dla Czytelnika spoza Niemiec zaskoczeniem, że kraj o tak szerokim kiedyś zakroju badań podstawowych w naukach przyrodniczych, kraj wielkich zdobyczy technicznych i wielkiej technologii, zajmuje dziś w klasyfikacji światowej dopiero piąte czy szóste miejsce, że obsunął się też wyraźnie w hierarchii osiągnięć innowacyjnych. Musi dziwić w tych warunkach obcięcie środków na badania naukowe w budżecie na rok 1997. A przecież na gruntowną reformę czekają niecierpliwie nie tylko instytuty uniwersyteckie i inne placówki badawcze, ale także bardzo tu rozbudowane i wielokierunkowo ukształtowane dziedziny szkolnictwa podstawowego, średniego, zawodowego.

Przy całym tym *lamento*, uwaga! Rejestracja słabości jako jedyny wskaźnik byłaby zawodna. Jeszcze Niemcy nie... zbiedniały. Nie chylą się ku ruinie, nie przeżywają epokowych krachów giełdowych. Jeśli nawet proces ubożenia na krańcach warstw średnich ogranicza konsumpcję, to jeszcze zawsze chodzi – jak się tu mówi – o proces ubożenia na wysokim poziomie⁶.

Jednak równocześnie, niedaleko od rozświetlonych „pięknych dzielnic” w miastach, widzi się już gołym okiem obszary biedy. Wciąż częściej mówi się i pisze o rozwierających się

6. Przeciętna kwota w kwartale, umieszczana na kontach oszczędnościowych, wynosiła w r. 1996 720 marek na gospodarstwo domowe. Wzrosła o 100 marek w stosunku do r. 1995.

nożycach między biednymi a bogatymi. Współczesny *mane thekel*: wizja układów społecznych, w których jedna czwarta, czy nawet jedna piąta ogółu – a więc stosunkowo niewielka zbiorowość wyróżniających się spośród tego ogółu wysoko wykwalifikowanych specjalistów, bogacących się z rozmachem faworytów losu – będzie zdolna do zaspokajania rozwiniętych potrzeb społeczeństwa. Reszta natomiast skazana zostanie na los ludzi niepotrzebnych. Osobiście nie przekonują mnie tak krańcowe proroctwa, nie takie są chyba prawdziwe fakty i liczby. Ale takie są – wśród uderzonych i zagrożonych – nastroje.

Ze wspólnego raportu dwóch placówek naukowych wynika, że w zachodnich Niemczech 34%, a we wschodnich 60% bezrobotnych nie wierzy w otrzymanie nowej pracy, jakkolwiek połowa spośród wszystkich podjęłaby pracę niżej płatną niż poprzednia. Liczby te wzrastają oczywiście, im dłużej trwa okres bezrobocia. Ale odrywając się od statystyk, wysłuchuję ułameków relacji. Psychiczne skutki bezrobocia są znane i opisywane od kilkudziesięciu lat w dokumentacjach, pamiętnikach, powieściach, filmach. A jednak warto chyba przytoczyć kilka skarg lub tylko napomknąć, jakie padały w moich rozmowach.

Ojciec udaje przed dziećmi, że pracuje, ubiera się co rano jak do pracy, wychodzi z domu... W innej rodzinie bezrobotnego matka ma kłopot z dziećmi, które wstydzą się w szkole przed kolegami, że nie wyjeżdżają na wakacje. Ktoś nie pracujący od dawna, nie przyznaje się przed otoczeniem, że żyje z pomocy socjalnej, bo to „szczebel” jeszcze niższy niż zasiłek dla bezrobotnych – oto status widziany od dołu. Zmienia się klimat w miejscach pracy, „jakże nie miałby się zmieniać – wyjaśnia wspomniany już inżynier – gdy się widzi, że w ciągu siedmiu lat załoga z 2000 spadła do 700 ludzi”. Wielu moich rozmówców – odruch zagrożonych – bało się, że pisząc, wymienię ich nazwiska. Różnie bowiem bywa ze zwolnieniami: na ogół zwalnia się starszych, ale czasem wygodniej usunąć młodego pracownika, jeszcze bez rodziny i z niedługim stażem. Ktoś twierdzi, że młody ma lepsze szanse na nową pracę, czemu stanowczo zaprzecza inny mój rozmówca, dziennikarz, gdyż zna najmłodszych spośród młodych, poszukujących daremnie miejsc wykszolenia w

fabrykach, albo piszących po trzydzieści zgłoszeń na inseraty – bezskutecznie.

„Boję się, co będzie za dziesięć lat” – mówi laborantka z doskonałym wykształceniem zawodowym, tymczasowo nie pracująca ze względu na dzieci. Wyraża przy tym lęk własny i troskę o męża, zupełnie dziś nie zagrożonego świetnego informatyka, zatrudnionego w wielkim zakładzie budowy maszyn.

Dziesięć lat – prawie retoryczna miara obaw o przyszłość. W zupełnie niezależnej rozmowie pracownica aparatu w parlamentarnej frakcji Zielonych uogólnia: „Zachwiało się poczucie bezpieczeństwa życiowego, w latach osiemdziesiątych wierzone w równe i pomyślne szanse, wtedy można było planować w perspektywie dziesięciu lat, dziś nie wiadomo, co będzie za pół roku”. „Sądzę – uściśla sprawę młody badacz, fizyk – że ładunek wybuchowy nie tkwi w ograniczeniach płac, ani w koniecznościach obniżania aspiracji – ale w tym, że nie wiadomo co będzie jutro”. Niepewność pracowników naukowych z młodych i średnich pokoleń jest tym bardziej zrozumiała, że nawet w bardziej normalnych czasach otrzymują oni kontrakty najwyżej na kilka lat.

Ciekawa rozmowa z małżeństwem (ze średnio dostatniego środowiska *Mittelstandu*) wyróżniającym się inteligencją i dociekliwością. On, wyższy urzędnik u Forda, przystał na propozycję wcześniejszej renty przed 60-tym rokiem życia (dość częsta dziś procedura, nawet w stosunku do pięćdziesięciolatków), ona – pracująca dorywczo w modelarstwie tekstylnym. Nie, nie boją się o siebie – poziom życia mają zapewniony – troszczą się o synów. I znów nie na dzień dzisiejszy – starszy przecież pracuje już u tegoż Forda, młodszy kończy gimnazjum, chce studiować prawo... Ale w jakim świecie i w jakim państwie przyjdzie im żyć? Oni, rodzice, wyszli z wojny jako dzieci, dorastając szli od mniejszego do większego, razem już budowali powoli, stopniowo – z pomocą państwa opiekuńczego – swój i dzieci dobrobyt, inwestowali w mieszkanie, w „swojskość”, jakiej nie zaznali w dzieciństwie, potem w wykształcenie synów. Odpłaciło im się to harmonią rodzinną, spokojem życiowym, zresztą nie-nudnym wcale, urozmaicanym żywymi kontaktami z przyjaciółmi, „konsumpcją kulturalną”, czasem podróżami.

Synowie – inaczej – startują od razu z dobrego poziomu. O tak, cenią sobie wysoko atmosferę domu rodzicielskiego – ale żyją według innego modelu: raczej grupowo, sportowo, „wspólnotowo” (w sensie niekoniecznie materialnym, lecz międzyludzkim). Potrzebują ruchu, zmiany. Niebłahą rolę w ich stosunku do własnej przyszłości odgrywa czynnik „zabawowy”. Od pracy zawodowej będą oczekiwali, żeby ich nie tylko żywiła, ale i bawiła – i żeby mogli ją zmieniać... Dwadzieścia lat w jednym miejscu, Boże uchowaj, horror...

Czy świat, w którym będą „dorośleć”, zaspokoi tak zakrojone aspiracje? Czy państwo opiekuńcze będzie ich chronić, jak chroniło rodziców? I w ogóle kto, albo co ocali państwo opiekuńcze? – niepokoją się moi rozmówcy.

Znajomego socjologa pytam, czy obok rządowych, opozycyjnych, społecznych, ale przecież tylko doraźnych, tylko fragmentarycznych propozycji obrony przed dzisiejszym kryzysem, istnieją jakieś pomysły strukturalne: gruntowna reforma czasu pracy? Czasu aktywności zawodowej? Udział pracowników w decyzjach i w zyskach przedsiębiorstwa? W operatywnych funkcjach instytucji?

Pomysły są, mówi socjolog, ale jedni uważają je za utopię, a inni za przeszłoroczny śnieg...

Więc boję się, że moja zaprzyjaźniona para małżeńska nie otrzyma tak szybko odpowiedzi na swoje pytania.

21 grudnia 1996

Kamila CHYLIŃSKA

Z ukosa

Coraz mniej czuję mijanie lat, kiedyś one mnie miały, teraz mam wrażenie, że to ja mijam je. Pewnie dlatego bardziej przejmowałem się zjawiskiem kiedy byłem młody. Wtedy człowiekowi wydaje się, że ma bardzo wiele do stracenia, teraz wiem, że do stracenia nie ma tak wiele.

Sylwester. Najpierw oglądaliśmy premierę „Balladyny” w Teatrze Nowym w reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Osobliwy spektakl, efektowny scenicznie, nie jeżdżą na motocyklach jak kiedyś, lecz bardziej ekologicznie, na wrotkach. To jest „Balladyna” w stylu *science-fiction*, Kirkor i jego słudzy są przybyszami z kosmosu. Właściwie zabawne, ale co to ma wspólnego ze Słowackim? Wiele pięknych i efektownych scen, ale tekst gdzieś się w tym gubi. A może ja byłem tego dnia zagubiony? Nie wiem. Potem z fragmentami towarzystwa z teatru w klubie Casino w Pałacu Kultury, gdzie w wielkiej sali obraca się w żółtym tempie okrągły barek, a po bokach szybko kręcą się koła ruletek i kwitnie hazard wszelkiego typu. Barman jest nam znany, ale z innej sztuki. A Balladyna, Alina i Grabiec rozebrani ze swoich ról... Jedna z aktorek mówi mi coś tak prywatnego, że sztuczność romantycznego teatru ujawnia swoje zębra.

Mało kto zauważył, że wybiła północ, jakby ciężar Pałacu Kultury nad nami, oraz namiętność hazardu stłumiły upadek minionego roku.

Myślę o Adamie Hanuszkiewiczu... Należy do licznej grupy polskich artystów starszej generacji, którzy zupełnie pogubili się w nowej rzeczywistości. Nie potrafili znaleźć

Kraj

języka by opisać nowy świat, lub by interpretować stary tak, aby nas to interesowało. Dotyczy to wszystkich dziedzin sztuki i właściwie wszystkich wielkich nazwisk od Wajdy do Konwickiego. Podobno tak samo jest we wszystkich krajach wschodniego bloku. Czyli połączenie zmian cywilizacyjnych i ustrojowych dało już nie klus naszej rzeczywistości, a szalony galop i artyści wypadli z siodła.

Pod koniec roku 1996 zjrzałem do swoich notatek z roku 1976. Bo to jest 20 lat temu, bo wtedy miałem tyle lat ile ma ktoś, kogo teraz więcej niż lubię. I czuję, że ten pęczek lat leży nie dalej niż bukiet kwiatów rzuconych na mróz, nie wiem, przyjaźnie czy złośliwie. Okolice Wigilii, działacze KOR-u szczuci przez milicję, Halina Mikołajska próbuje popełnić samobójstwo; „ludzie uganiają się za ochłapem mięsa”. Czytam wycięty z *Trybuny Ludu* tekst o wydaleniu Władymira Bukowskiego z ZSSR (nie wiedziałem wtedy, że kiedyś będę nosił na grzbiecie nakład jego wspaniałej książki „I powraca wiatr”, wydanej przez nas w podziemiu, że spotkam go żywego w Kalifornii i w Sztokholmie). Czytam ten kawałek z *Trybuny Ludu* – co za fontanna podłych kłamstw! A kiedy natykam się na powłoki cielesne dziennikarzy, autorów takich artykułów, notuję ze zdziwieniem, że nie są aż tak potworni, jak to, co piszą. Tak, na tym też polegała upiorność tego systemu. Wyciskała z ludzi co najgorsze, nawet zwykłe zęby zmieniały się w jadowite kły. Trzeba czasami wracać do takich lektur. Gnój dzisiejszych sporów i małości zalewa nam pamięć.

Czytam, że na Wigilię mój mały synek, który teraz może mnie nosić na rękach, dostaje wysokiej gorączki z powodu nadmiaru prezentów jakie dostał. Kiedy rozmawiam teraz z nim, mówi, że on i jego pokolenie, to ostatnie ogniwo, które jeszcze łączy stare z nowym, że młodszy o rok, o dwa, którzy nie mają pamięci stanu wojennego i PRL-u, to generacja za otchłanią innego myślenia. Nic ich nie obchodzi przeszłość, nie wiedzą, bo nie chcą wiedzieć. Rzeczywiście, tak chyba jest?

Uczę teraz młodzież dziennikarstwa. Słyszeli, że był jakiś komunizm ale jaki on był, to nieważne. I nie przejmują się, że nie wiedzą. To jest brak zainteresowania korzeniem rzeczy

i stanu rzeczy, nie interesują ich źródła, a tylko to co teraz płynie. Są nastawieni na teraz, i w sensie bardzo praktycznym, na jutro. Czym będzie teraz i jutro bez wczoraj? Wydaje się, że będzie uboższe, ale kto wie? Nowe idzie. Tyle było i jest w Polsce złych tradycji, może więc częściowo amnezja jest lepsza niż pamięć zbyt dobra. Jeśli ktoś chce sobie obejrzeć skansen polskich upiórów przeszłości i skorupiaki myślenia, niech sobie poczyta tygodniki prawicowo-narodowe. A jednak szkoda mi nawet niektórych naszych wad narodowych, już nie mówiąc o pewnych zaletach, o gestach, o tylu ładnych odruchach. Może jakieś okruszki jednak ocaleją?

Wiele chłodu w Polsce. Przez otwarte okna i drzwi naszego kraju napłynęło tyle wolnego powietrza, ono wolne, ale chłodne. I jesteśmy na wielkim placu budowy i dorabiania się. Kiedyś było tyle przytulnych miejsc w tym naszym socjalistycznym baraku, płonęły małe płomyki, przy których można było się ogrzać. Zachodziło się w te ciepłe miejsca bez zapowiedzi. Często teraz spotykam ludzi, którzy twierdzą, że stracili młodość, a nawet całe życie stracili przez komunizm. A ja przecież pamiętam jak świetnie się bawili w zakamarkach naszego baraku. Zapomnieli o tym.

I spotykam znajomych, którzy jakby odmienieni. Moja przyjaciółka jeszcze z lat dzieciństwa A. popadła w dewocję. Zawsze była taka trzeźwa, a od niedawna biega nieustannie na religijne spotkania. Natomiast B., którą z czasu studiów pamiętam jako zacieklą komunistkę, wpadła w narodową prawicę, tam z kolei klepie swoje narodowe modlitwy. Natomiast M. wpadła w ramiona jakiegoś hinduskiego guru, który ma w Polsce swój przyczółek, jest coraz bardziej ogłupiała i coraz bardziej szczęśliwa. Tyleż jej współczuję co zazdroszczę. W Polsce wielki alarm bo liczba członków różnych sekt doszła do miliona. To nie jest oczywiście tylko nasz problem, u nas po prostu to jest nowe. I nowe tylko w takiej skali. Przypadek Mickiewicza, który wpadł w kociołek Towiańskiego, winien uczyć nas pokory, wobec takich podróży i ucieczek.

To wszystko są wyrafinowane formy gorączkowego szukania dla siebie miejsca, gdy formą popularną i najprostszą jest alkohol. Ci, którzy myśleli, że prawdziwy pieniądz i

prawdziwa praca szybko ograniczą polską plagę, nie wzięli pod uwagę siły tradycji i jak wiele chłodu przyniesie nam kapitalizm. Dlatego ludzie szukają ogniska, by przy nim wspólnie przycupnąć i ogrzać się, chociaż ten ogień ma często prymitywny płomień. Ten chłód to cena triumfu liberalizmu oraz indywidualizmu, a jednym z jego atrybutów jest telewizor, który niemal we wszystkich domach stoi z otwartą gębą od rana do nocy, przy jego kanałach przyjmuje się gości, spożywa posiłki i uprawia seks. Czyżby telewizor miał wypełnić dziurę naszej cywilizacji? Sam chwilami czuję, że wpadam w tę dziurę jak w przepaść, a wokół mnie wirują książki, ekran komputera, jakieś fragmenty damskiej garderoby i tenisowe piłki.

Mówi się o pomieszaniu wszelkich miar w Polsce. Kto temu winien? Nasza cywilizacja, nadmiar rzeczy i pragnień, przy niedoborze czasu. Ale też nasze złudzenia, niedołęstwo i błędy. PRL był to twór wyjątkowo niemoralny, który sprostował wielką ilość porządných ludzi, więc zgadzam się, że jakiś symboliczny i stanowczy wyrok na ten system był pożądanym. A to się jednak nie stało.

Wraca się do roku 1989 i „okrągłego stołu”, do rządów Mazowieckiego i słynnych słów, które byłemu premierowi pewnie śnił się po nocach, „gruba kreska”. Jak się może śnić gruba kreska? Czy nie przypomina we śnie węża o głowie prosiaka? Są środowiska polityczne, które „grubą kreskę” uznały za symbol, za grzech pierworodny. Oczywiście, lepiej byłoby oddzielić zło od dobra, a stare od nowego, ale naiwni, którzy widzą to jako zabieg chirurgiczny. A jednak kiedy słyszę, jak urzędnik w MSZ-ecie mówi – „przetrzymaliśmy ich”, to trafia mnie szlag. Bo przecież tam siedzą jak siedzieli tacy sami gębiąści osobnicy. Ale czy nie trafiał mnie szlag, gdy nowi urzędnicy, ci od nas, chociaż mieli twarze, okazali się często palantami? I przecież nawet dzisiaj spora część polskiej narodowej prawicy używa nowomowy komunistycznej, chociaż o tym nie wie. Czy nieprzejednany i nieugięty lustrator i antykomunista Antoni Macierewicz jako szef MSW wyczyścił ten urząd? Nie wyczyścił. W telewizji, w tylu urzędach państwowych widziałem wielkich wrogów „grubej kreski”, płomiennych antykomunistów, którzy nie potrafili

wyrzucić choćby jednej osoby z dawnej ekipy, wiktali się w sieci zależności od nomenklatury, bo byli bezradni wobec swojej niekompetencji. A dzisiaj już poza burtą grzmia, że nie czyszczono.

Wybitny psychoterapeuta Wojtek Eichelberger, kiedyś związany z opozycją, w telewizyjnym programie „Okna” robi publiczną psychoterapię Wojciechowi Jaruzelskiemu. Jakby ktoś przy pomocy ptasiego piórka próbował otworzyć puszkę sardynek. Eichelberger jest mistrzem w swoim fachu, używa delikatnych narzędzi, otworzył nimi niejedne stalowe drzwi. Ale z generałem nie za bardzo mu poszło. Pytany o dzieciństwo Jaruzelski opowiadał: „dzieciństwo miałem pogodne, dobre, miałem kucyka, na którym jeździłem”. Pytany czy był karany fizycznie, zaprzecza, był tylko karcony.

Eichelberger pyta: „a jak było w dzieciństwie z jedzeniem?” Generał uczciwie po żołniersku zameldował, że w dzieciństwie zmuszano go do jedzenia, a jako, że był dzieckiem bez apetytu, siedział czasami po kilkanaście minut. Wypychał policzek i... pod stół. Eichelberger wbił w generała oczy jak kobra i szepnął „o tak, miał pan dobre, pogodne dzieciństwo. Można powiedzieć, że miał Pan szczęście”.

Tu się generał zakołysał, jakby obok głowy przeszedł mu pocisk, zakołysał się, ale się nie ugiął.

Tak oto można teraz domniemywać, że stan wojenny był z powodu tego wypchanego policzka. W sumie jednak wyszedł generał na porządnego chłopca, usztyniony jak diabli, ale porządny.

Już kiedyś o tym chyba pisałem, ale nie boję się powtórzeń w tej sprawie. Oglądając sumienie komunisty, błędem jest skupianie się na stanie wojennym. Tu zawsze jest możliwość użycia motywu racji stanu, groźby inwazji. Jakby nie było przedtem roku 1968 i rasowej czystki w armii, inwazji na Czechosłowację, w roku 1970 armia strzelała do robotników na ulicach Gdańska i Szczecina. W kilka miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego, można było szukać kompromisu z „Solidarnością”, a pozwolono temu krajowi dognić.

Jaruzelski jest porządnym człowiekiem, jak porządni bywali carscy namiestnicy Królestwa Polskiego. I generałowie Wehrmachtu. A byli wśród nich ludzie dosyć przyzwoici na

poziomie podstawowym. Ale znaleźli się z własnej woli w złym miejscu i w złym czasie. Zbrodnicze systemy opierają się właśnie na takich rzetelnych urzędnikach, którzy przyjmują zbrodnicze reguły gry, bo uznali, że inne są niemożliwe.

Generał jako człowiek robi wrażenie chorobliwie usztynionego, lecz nie chorobliwie nieuczciwego. Ale jako generał, urzędnik, był wykonawcą poleceń imperium i działał w ramach jego praw i dla jego dobra. Im więcej wiemy o ludzkiej psychice, tym łatwiej zrozumieć największe podłości. Ale zrozumieć, to nie znaczy usprawiedliwić. Tu właśnie wkraczamy w miejsce, które w Polsce wspólnie zbudowaliśmy, gdzie w ocenie historii znikają wszelkie miary moralne. Pracowały na to pewne konieczności, jedwabne przejście władzy, powszechna niekompetencja, niepotrzebne, kabotyńskie gesty pojednania ofiar z oprawcami. A też chorobliwe bajdurzenie prawicy narodowej, ton ich pism, ich rzeczników, ich zapiekłość. Dopominają się moralności używając niemoralnego tonu.

Tak więc obie strony nabroiły, ci co mają za bardzo otwarte głowy i za bardzo zamknięte. Ciężko u nas o środek, niekoniecznie od razu złoty.

A generała spotykam na pewnym pogrzebie. Stoi pomięty przez czas, ale prosty. „Chodzę tylko na pogrzeby premierów i prezydentów” – słyszę jak mówi do kogoś. Toż to jest ten sam głos, który zmroził mnie o świcie, zmroził całą Polskę. I po co było się tak przejmować?

Świecki pogrzeb jest karykaturą pogrzebu religijnego. Niby-ksiądz klepie jakieś szlachetne banały na temat życia i śmierci. Obrządek katolicki czyni, że powtórzenie formuły, modlitwy nie razi, bo odnosi do tradycji i metafizyki, jakby krople spadały do kamiennego dzbana. Powtarzanie bez metafizyki obnaża tępe biurko urzędu. A zwłoki są nagie.

Na szczęście są żołnierze, kompania honorowa zapewni nam trochę teatru. Oto oficer kompanię postawił na baczność. Oddział zazgrzytał jak repetowany zamek karabinu, patrząc oczom nie wierząc, generał się podwoił. Jego organizm reaguje odruchowo na wojskowy szczeł, jak kot się pręży i podwaja na widok psa. A gdy potem kompania trzykrotnie wystrzeliła, za ciemnymi szklami okularów generała rozgorzał trzykrotny płomień.

Patrzę na zgięte starce, których tyle przybyło, to są nasi dawni prześladowcy, ministrowie kretyńskich ministerstw, cenzorzy naszej myśli, rzeźnicy gospodarki i zdrowego rozsądku, przezuwacze komunistycznej nowomowy, a dzisiaj poszarzali przechodnie, jak duchy na polach elizejskich w tej części pól, które są przeznaczone dla urzędników.

Marian Krzaklewski nie daje już nadziei, że Akcja Wyborcza „Solidarność” może być sensowną alternatywą dla obecnego układu. Umysłowo ograniczony, nadmuchiwany przez okoliczności, na dodatek narcyz. Dla niego kosmopolityzm i nihilizm, to obelga. Nie wie bidak, że to też była obelga używana przez komunistów wobec wrogów. Najważniejszy jest naród, tradycyjne wartości, Polak to tylko katolik, aborcja to komory gazowe i nowy Oświęcim. Jego poglądy na gospodarkę są labilne, ale sterują w stronę socjalistyczną. I jest jakaś zapiekłość, jakby mózg był co jakiś czas brany w urządzenie do smażenia gofrów. Mówi: „Dlatego w deklaracji programowej AW „S” podkreślamy wyższość prawa naturalnego nad stanowionym. Takim jesteśmy krajem od 1000 lat. (...) Ktoś kto stawia na obraz Polski nihilistyczny, kosmopolityczny, ten przegra.” Krzaklewski otarł się o politykę, wie, że Wrzodak, którego uważa za prostego, uczciwego robotnika, niepotrzebnie publicznie mówi, co należy mówić szeptem. Publicznie należy mówić dyplomatycznie. Krzaklewski wie, że w świecie jest wiele spisków. Spiskuje międzynarodowa finansjera. Mówi, są groźne: „struktury szkodliwe dla Polski i chcące coś Polsce narzucić”.

„Jakie struktury?” – pyta dziennikarz.

„Np. lewicy światowej i masonskie. One się nie zgadzają z wizją ‘Solidarności’, są kosmopolityczne, popierają globalizację, władzę struktur międzynarodowych”.

Oto polityczna głowa Krzaklewskiego powie „masonów”, ale już nie powie „żydokomuna”, tak mówi prosty robotnik Wrzodak i wielu działaczy ROP. Krzaklewski wiele się nauczył przez te lata jako polityk i ujmuje rzecz dyplomatycznie, „lewica światowa”. Jego spiskowe myślenie zatrzymuje się na przystanku „nie przesadzajmy”. Mówi, że nie owe tajne struktury są najgroźniejsze dla Polski, bo u nas one jeszcze nie są takie mocne, mówi: „chyba jeszcze nie”. Biedny

Krzaklewski, mówi „chyba”, ale pewien nie jest, jak to jest z tymi masonami w Polsce, może nie wszystkim rządzą? Uważa, że: „Groźniejsza jest nasza własna słabość, kłótniowość, zawiść”. I głupota panie Krzaklewski, głupota.

Polska posiada oto nowego kandydata na wielkiego męża stanu. Utraciliśmy Wałęsę, co za ulga, a w miejscu po Wałęsie rodzi się wicewałęsa. Krzaklewski wydaje się posiadać liczne wady Wałęsy, ale bez jego chłopskiego zdrowego rozsądku i umiejętności przymrużenia jednego oka, o w tym Wałęsa był mocny. Pisałem o dwóch planetach w Polsce. Planeta prowincjonalizmu i myślenia zamkniętego musi mieć swoich mężów stanu, bo jak nie ma, to się jeszcze bardziej zamyka.

Na razie nie daje się połączyć ROP-u z Akcją Wyborczą, bo chociaż jest tyle zbieżności, nadal uwierają ambicje. PSL też jest bardzo blisko, ale na razie konfitury są gdzie indziej. Słyszę pytania, czy w razie fuzji Akcji Wyborczej i ROP, to pierwsze ciało przy zbliżeniu ucywilizuje owe drugie? I może da się ucywilizować przy okazji PSL, jak się do tego weźmie ROP na spółkę z Akcją, to wymyją PSL z komunizmu, a biskupi z pewnością zaangażują się w te czynności, pokropią i odkadzą. W końcu PSL ostatnio sporo się nakłęczał w kościołach.

Wałęsa pytany czy ROP się ucywilizuje, powiedział zabawnie, a w swoim stylu: „poza kadrem to mogę powiedzieć, że na to nie liczę”. Wałęsa bez władzy bardzo zyskuje, a pycha odłożona na bok nie przykrywa jego zdrowego rozsądku, który nagle błyszczy na tle prawicowych sztywniaków i populistów. Gdy Wałęsa potrafił trzymać się z boku, czasami zabierając głos, albo nawet wałąc pięścią w stół, mógłby spełniać pożyteczną rolę. Bo on jednak wie, jak bardzo Polsce potrzebny jest polityczny środek i zdrowy rozsądek. Niestety sam traci środek i rozsądek, gdy jest na górze. A jednak... kiedy słucham w radiu wywiadu z nim, to nie słyszę głosu męża stanu, a działacza związku zawodowego raczej dosyć niskiego szczebla.

Z Unii Wolności oderwała się grupa parlamentarzystów i buch, wskoczyli do Akcji Wyborczej „Solidarność”. Unia

swoją amorfia i atrofią drażni nawet swoich członków, a perspektywa władzy kusi wygłodniałych, inteligentnych arogantów jak Jan Rokita. Oto znowu pytanie cywilizacyjne. Czy niewielka grupa ludzi o bardziej otwartych głowach jak Czesław Bielecki, politycy z „Ruchu Stu”, Aleksander Hall i jego maleńka partia, czy w końcu oderwani od Unii, którzy zrodzili kolejny niby-byt polityczny, czy oni uszlachetnią i ucywilizują Akcję Wyborczą „Solidarność”? Czy raczej nie jest tak, że jak każdy przyzwoity antysemita ma swojego przyzwoitego Żyda, tak narodowo-katolicka prawica ma swoich liberałów. Są liberalną ozdobą ruchu, który jest głównie zachowawczy i konserwatywny. Drastyczny brak ludzi z głową na prawicy, może jednak pozwolić odegrać właścicielom głów pewną rolę, ale pewne to nie jest. W sprawach gospodarczych, gdzie dominuje związek zawodowy, trudno ustalić jakiś spójny program, ale co słysząc napawa niepokojem. Faktem jest jednak, że nie ma dla Polski innej drogi, niż ta do zachodniej Europy, więc jeśli prawica narodowa przejmie władzę, będzie musiała się zliberalizować, bo jak nie, to już zostają tylko ramiona Białorusi. I oto prawica narodowa zgrzytając zębami poprowadzi nas do Europy zatrutej liberalnym jadem.

Będziemy oto wymieniać postkomunistów, a beczelni są oni coraz bardziej, na beczelną prawicę narodową. Zaczyna się o nich mówić endecja. To jest zaskakująco trafne określenie. Tyle lat minęło, tyle się zmieniło w Polsce i w świecie, a ta formacja umysłowa wyjęta z zamrażarki wygląda świeżo, jakby ją mrożono wczoraj. Kiedy zdychał komunizm wiedzieliśmy, że ta polska anachroniczna formacja odżyje, ale kto by się spodziewał, że zakwitnie tyloma kwiatami?

Mimo tak różnej chemii psychicznej, stosunek do PRL-u i stosunek do aborcji, to dwie zasadnicze kolumny politycznych różnic. Biedna nasza polityka, jeśli tożsamość partii buduje się wokół ciężkiej, ale nieuchwytniej mgły przeszłości, a między ostrością przyrządów ginekologicznych.

Widzę Polskę za rok w trakcie wyborów i miliony Polaków, którzy nie będą chcieli dokonywać wyboru między postkomunistami a postendecją, czyli między jedną a drugą przeszłością. Ciekawe co zrobią?

Mój kolega Jacek Santorski, psychoterapeuta, ogląda

naszą scenę pod kątem psychologicznym a też psychiatrycznym. Mówi, że wedle niego społeczeństwo nasze zostało skazane na wybór między naiwnością a wrogością. Bo postkomuniści budują swój elektorat na naiwności, a postendecja na wrogości. Coś w tym jest. Widywałem gorsze bieguny. Problem, że ten układ nie ma środka, tylko zabiedzoną Unię. Ja będę na nią głosował, jakbym dawał datek na żyjącego w biedzie emerytowanego profesora. Nad naszą polityczną sceną unosi się duszący zapach starej szafy z ubraniami z ubiegłego wieku i garniturów Polski międzywojennej.

Prawica majaczy o rozliczeniach, o ochronie polskiego przemysłu, o zagrożeniu przez obcych, o spiskach, trochę w to wierzą, ale nie na tyle by nie zrezygnować z tych majaków kiedy przejmą władzę. Mam więc nadzieję, że nie rozpirzą gospodarki, że nie postawią na głowie obecnego porządku, czy nieporządku rzeczy. Pewne tylko, że kobiety będą przeływały ciężę za większe pieniądze i pokątnie. Więcej będzie narodowych sloganów fruwać w powietrzu. Potem w ramach prawicy rozgorzeje wewnętrzna wojna, ciekawe czy w ogóle dotrwią w zgodzie do wyborów, chociaż zapach władzy jest coraz bardziej obezwładniający. Im bardziej uda się prawicy dotrzeć do wyborów, tym silniejszy będzie potem wybuch tłumionych konfliktów.

Kiedy wielu pijanych od gniewu i sloganów zasiądzie na stołkach władzy, szybko otrzeźwieją. Zostanie tylko nadal pijana niekompetencja. Ale z tym sobie jakoś Polska radzi od lat. I posuwa się do przodu. Mogłaby szybciej, ale skoro nie posuwa się szybciej, to znaczy, że nie może.

Nie jestem do końca w stanie zgłębić zalet i wad kompromisowej wersji projektu konstytucji. Wydaje mi się ona niezła. I sensowny jest kompromisowy zwrot: „(...) My obywatele polscy zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak nie podzielający tej wiary, a uznawane przez siebie wartości wywodzący z innych źródeł, równi w prawach i w powinnościach wobec wspólnego dobra Polski, wdzięczni naszym przodkom za ich pracę, za walkę o niepodległość, za kulturę, którą zbudowali, zobowiązani by przekazać przyszłym pokoleniom wszystko co najlepsze z tysiącletniego dorobku, świadomi potrzeby współ-

pracy ze wszystkimi krajami dla dobra Rodziny Ludzkiej... (...)"

Ten fragment bułkowato zwany preambułą budzi bodaj najwięcej emocji. Zespół Episkopatu Polski ds. Konstytucji ostro skrytykował ten projekt wypracowany przez Komisję Konstytucyjną Zgromadzenia Narodowego. Arcybiskup Józef Michalik mówi: „Projekt nie deklaruje szacunku dla praw człowieka, przede wszystkim praw przyrodzonych człowiekowi. (...) Stwierdza, że najwyższym prawem w Polsce jest konstytucja, co jest nieprawdą, bo najwyższe jest prawo Boże, naturalne, i do niego musi być dostosowane każde inne prawo. (...) Ukazanie Boga w preambule jest niewłaściwe: Bóg to nie jest idea filozoficzna, masońska czy koncepcja rozmazanego Boga New Age”.

Marian Krzaklewski w imieniu swoim i Akcji Wyborczej „Solidarność” mówi tym samym głosem.

Mamy więc Kościół, postkomunistów i postendecję. W środku podobno jest Unia Wolności, która nawet miała kongres. Stworzono znowu jakieś nowe ciało, super radę intelektualistów, gdzie świecą wielkie i mniejsze nazwiska. Tyle świecenia, a tak niewiele z tego wynika.

Unia kruszy się, a jest przecież coraz bardziej potrzebna. Jest tak potrzebna, że trzeba jej wybaczyc różne słabości. Niechć do niej wśród różnych polityków i środowisk ma jakąś dziwnie chorobliwie zawziętą postać. Tak się złością nie wpuszczeni do salonu, obrażeni. Jak Unii udało się obrażać tyle ludzi? A może to nie tylko ich wina, może program Unii jest powyżej polskiego myślenia? Nawet jeśli tak jest, nie można tego „powyżej” okazywać, a to widnieje na obliczu Unii. Polska ma bardzo małą, wąską, chociaż aktywną grupę inteligentną, jest ona tak wyraźna, że sugeruje, że jest większa niż jest. Wielu cudzoziemców, gdy trochę pobędą w Polsce to ze zdumieniem odkryją, że ten kraj ma w sobie dwie planety, osobne, chociaż mówią tym samym językiem, słowa jednak niekoniecznie znaczą to samo. Unia jest esencją polskiej elity intelektualnej, skupia więc na sobie powszechne urazy i kompleksy, które zawsze szukają u nas kozła ofiarnego, a znajdują go w Unii.

Unia Wolności powinna pozbyć się wyrostka robacz-

kowego swojej arogancji, od lat się o tym mówi, i nic. A więc ten wyrostek jest nie w brzuchu a w mózgu, jak tętniak, więc strach ciąć. Ja ich rozumiem, myślę podobnie. Mdli mnie jak widzę wokół tyle kretynstwa. Też mam ochotę powiedzieć, w czym celuje przewodniczący Balcerowicz: „ja na tym poziomie dyskutować nie będę”. Ale kretynizm wyznaje tak liczna grupa ludzi, co dotyczy bynajmniej nie tylko Polski, że polityk musi przewijać i karmić te okropne niemowlęta, wbrew swoim odruchom obrzydzenia, a nawet to polubić.

Jeśli Unia nie nauczy się powstrzymywać odruchów wymiotnych na widok brudnych pieluch i dookolnej głupoty, jeśli nie potrafi dogadać się ze swoim lewym i prawym skrzydłem, lub jeśli ich sobie zręcznie nie podetnie, to jej kurczenie się będzie postępować, a nikłe są szanse na łączenie się z Unią innych ugrupowań.

Opublikowanie „Białej Księgi”, gdzie jest ogromny materiał mniej lub bardziej surowy, dotyczący sprawy Oleksego, wyjaśniło, że nic nie jest jasne. Trudno tam znaleźć fakty potwierdzające podejrzenie, że Oleksy był agentem, jak również mieć pewność, że nie był. „Pismo Święte mówi: szukajcie a znajdziecie” – tłumaczy się minister Milczanowski. I jak z Pismem świętym, każdy tam może znaleźć co chce, i wierzyć lub nie wierzyć. Mówi się, że służby specjalne zostały zdekonspirowane i skompromitowane. Inni mówią, że nie było czego kompromitować, bo to niemoralni partacze.

SLD zamierza się teraz mścić, chce Milczanowskiego postawić przed Trybunałem Stanu, mówi się o odpowiedniku „Białej Księgi” na temat różnych grzechów opozycji. Ta cała sprawa i jej dalszy ciąg jeszcze nie zakończony, to jest „wrzucenie granatu w szambo”, trafne słowa Prezydenta, nie jest jednak pewne co tak naprawdę jest w tym szambie. A jeśli już jesteśmy przy Prezydencie, jest On coraz bardziej mdły, a oblicze mu się rozmywa, dosłownie i metaforycznie. A jednak gdybym miał siedzieć przez rok w jednej celi, to wybrałbym Kwaśniewskiego zamiast Krzaklewskiego, Olszewskiego, czy Wałęsy. Bez wahania. Tu jest jakiś pies pogrzebany, ale jaki, na Boga nie wiem, a może wiedzieć nie chcę!?

Czy politycy z SLD są aż tak obrzydliwi? Antykomuniści

wygadują na nich niestworzone rzeczy, ale nie widziałem zbyt wielu dowodów. To straszne, ale inteligentny człowiek, który chciałby, by Polska była podobna do Francji czy Szwajcarii, znajdzie w ich słowach więcej sensu i oparcia niż w gadaniu naszej prawicy. Słowa to w polityce wiele, ale nie wszystko. Chciałbym uwierzyć, że nasza prawica gada głupio, ale jest mądra i pocziwa. Jak to zrobić? Prawicowa prasa opluwa SLD, ale nie mogę przeczytać reportaży gdzie są fakty i dowody. Na pewno nie są to baranki, ich korzeń pachnie gnilnym komunizmem, nie są to ani moralisci, ani profesjonaliści. Mówi się, że są cyniczni, to akurat jestem skłonny uznać za zaletę, szczególnie jak sobie posłucham ideowców z naszego politycznego ogrodu zoologicznego.

Nie ma jednak wątpliwości, że ekipa rządząca powinna być wymieniona jak najszybciej, czyli przy wyborach parlamentarnych, które zbliżają się jak ciemna gęsta chmura, z której będzie nam lać się na głowę paskudztwo. A kto na miejsce postkomunistów? Trudno się pogodzić z myślą, że jest tylko wybór między postkomunistami i postendecją, która ma kilka liberalnych zeber.

Na przyjęciu spotykam ludzi z okolic miasteczka W. To na ogół lekarze, jest szef ZOZ-u, chirurdzy, interniści. Opowiadają dosyć okropne rzeczy o tym co na prowincji robi PSL. Jest wielka pazerność i powszechne poczucie, że prowincja od nich już się nie uwolni. Podobno ludzie z SLD też co mogą obsadzają, ale zachowują pozory.

Wiele osób opowiada mi o stagnacji i braku perspektyw w tym regionie, nie było tu wiele przemysłu, a jak był to padł. Szef firmy budowlanej radzi sobie bardzo dobrze, ale robi interesy poza województwem. Jego żona wylosowała zieloną kartę do USA, ale za Boga nie zgodził się na wyjazd, lepsze perspektywy są jednak w kraju. Największym problemem jest brak inicjatywy, bierność ludzi. Nie ma za grosz solidarności, poczucia dobra wspólnego i patriotyzmu lokalnego.

Zaskakująco wielu moich rozmówców niezwykle ostro reaguje na klerykalizm, na bajdurzenia Krzaklewskiego, oni chcą jednak Polski liberalnej i europejskiej.

Rozmawiając znowu słyszę, co już słyszałem tyle razy. Polacy są niezwykle krytyczni wobec samych siebie, ale każdy

bije się w cudze piersi, więc łatwo jest uzyskać takie sądy: „polskie społeczeństwo jest okropne”. Jeśli jednak coś takiego powie cudzoziemiec, ci sami ludzie zareagują agresją. I każdy jednak po chwili zastanowienia przyzna, że w tej magmie jest trochę pereł.

Wsiadam do tramwaju nr 2 na swoim przystanku na skrzyżowaniu Puławskiej i Marszałkowskiej. Na tym skrzyżowaniu w niebywałym tempie rośnie wielki bank, obok dziura gdzie było kino Moskwa. Miał tu powstać budynek, który reklamowano jako centrum kultury, co było kamuflażem dla zbudowania komercyjnego kolosa. Dowiedziałem się o tym od ludzi z władz miasta, oburzonych i zgorszonych, dlaczego więc milczeli? Ale budynek nie powstaje. Zabrakło pieniędzy, albo zabrakło czegoś innego, kina nie ma, jest dziura.

W tym tramwaju ujrzałem karykaturalną scenę, ale która wiele mówi o pewnych polskich cechach, już w zaniku, lecz żywych. Do tramwaju wtoczył się człowiek w strasznym stanie. Był pijany, dziko i agresywnie. Miotał się po wagonie tocząc pianę i przekleństwa. Poczułem, że mam wielką ochotę palnąć go w łeb, ale wiedziałem, że jeśli uderzę mocno, to moja ręka wejdzie w bagno jego głowy po łokieć. Pijany sam z siebie zwał się na siedzenie i zawył. Zrobiło się pusto wokół niego. Kiedy tramwaj stanął na przystanku, weszła starsza kobieta. Pijany zerwał się na miękkie nogi, z trudem odzyskał równowagę i obszernym gestem wskazał na wolny fotel. Kobieta podziękowała i usiadła. Pijak zakołysał się nad nią, widać było, że zbiera mu się na wymioty, ale się wstrzymał. Potem zatoczył się w drugi koniec wagonu. Tam stanął nad inną staruszką i spojrzał na nią okiem pełnym krwi. Ta opuściła swój fotel nadzwyczaj chyżo, a pijak zwał się na siedzenie jak worek kartofli. I zastygł w postaci bardzo z siebie zadowolonej.

Oto jak głęboko i pokracznie są zakorzenione pewne szlacheckie odruchy. Ale to się kończy, wypala, przeistacza. I wielkie jest u nas przemieszczenie materii gnilnej i czegoś nowego, młodego, ładnego. W jakich proporcjach to się miesza, jaką sumę to da?

Nic nie jest przesądzone

1.

Gdzieś w połowie stycznia, kiedy na redakcyjnych biurkach pojawiały się jeden po drugim, biuletyny głównych agencji badania opinii publicznej z co miesięcznymi ocenami intencji głosowania we wrześniowych wyborach, reakcją w sferach politycznych była euforia bądź depresja, czy nawet panika. Agencje na podstawie swoich sondaży sporządzały grafiki „przypuszczalnego” podziału mandatów. Gazety je drukowały, wyświetlały ekrany telewizyjne. Obecna ordynacja wyborcza premiuje pierwsze dwie zwycięskie listy wyborcze, a w okręgach małomandatowych pozbawia mniejsze partie jakichkolwiek szans na mandat. Z tego względu to, co w sondażach było stosunkowo niewielkim przesunięciem intencji głosowania, w grafiku okazywało się rewolucją. A grafiki wskazywały, że główne ugrupowania prawicy – Akcja Wyborcza „Solidarność” (AWS) i Ruch Odbudowy Polski (ROP) uzyskają w Sejmie większość. A ponieważ – komentowali dziennikarze – PSL idzie za silniejszym, prawica plus PSL będzie miała dość sił, żeby zrobić wszystko, co zechce: na śmietnik historii powędruje – przynajmniej na cztery lata – i SLD, i parlamentarna opozycja, i UW, i UP. A „przynajmniej na cztery lata” było tylko formalnym zastrzeżeniem, w istocie prawica miała objąć władzę na dobre i na długo: przecież zasadniczym punktem jej programu jest dokładne oczyszczenie areny publicznej z czerwonych i różowych, lustracja i dekomunizacja.

Ta rewolucyjna prognoza była w dużej mierze efektem wadliwej prezentacji (pomijam często wyrażane wątpliwości co do jakości badań, opierające się na zdumiewająco dużych rozbieżnościach wyników różnych agencji). Na osiem miesięcy przed głosowaniem sondaże nie mają żadnej niemal mocy prognostycznej. Nie mówią nawet, wbrew utartej formule prezenterów, „jak głosowałiby Polacy, gdyby wybory były jutro”. Pokazują jedynie, co Polacy o tym twierdzą dziś. Otóż

Polacy często sami tego nie wiedzą: połowa respondentów nie zamierzała głosować, nie wiedziała czy pójdzie głosować. Jeszcze inni nie przyznają się do zamiarów, które ich zdaniem są niepopularne lub wstydlive: tak w sondażach z lat 1990-1993 nie doszacowano Tymińskiego i SLD. W styczniu 1997, po kilku miesiącach wzrostu popularności AWS respondenci mogli przeceniać własne inklinacje na rzecz tego ugrupowania.

Efekt styczniowych sondaży nie był długotrwały, niemniej okazał się dość znamieny. W Unii Wolności, której sondaż CBOS przyznał zaledwie 4% intencji głosowania, a zatem po raz pierwszy w dziejach tej formacji spadła ona poniżej progu, zapanowało autentyczne przygnębienie. Sześciu deputowanych z Janem Marią Rokitą i Bronisławem Komorowskim, uznało, że nie ma na co czekać i porzuciło tonący statek, aby wraz z kanapowymi ugrupowaniami Aleksandra Halla i Artura Balacza powołać Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe w łonie AWS. Nerwy bądź rozsądek straciło też 38 intelektualistów z Krakowa i okolic, wiernie dotąd kibicujących Unii Wolności, z Jerzym Turowiczem i ks. Józefem Tischnerem, by wymienić najbardziej znanych. Intelektualiści zaapelowali o odbudowę jedności formacji solidarnościowych w imię nadrzędnego celu, jakim jest odsunięcie od władzy postkomunistów; istotną nowością apelu było wezwanie szeregowych członków i nawet wyborców, by wywarli odpowiedni nacisk na swych przywódców. W tak elitarnym gronie ta inwokacja mas przeciw przywódcom ilustrowała rozmiar pomieszania. Nie jest przecież tajemnicą, że prawica posolidarnościowa uważa Unię Wolności za grubą kreskę Mazowieckiego, a plan Balcerowicza za źródło wszelkiego zła, a prawicowe „masy” mają w tym względzie jeszcze bardziej emocjonalne nastawienie niż przywódcy. Innymi słowy, „jedność” z Unią Wolności wymagałaby przynajmniej upokorzenia i wyeliminowania obu historycznych postaci.

W AWS, zwłaszcza u Mariana Krzaklewskiego, umysł opanowała euforia: smakowano przyszłe zwycięstwo i w poczuciu własnej siły popełniono pierwszy gruby błąd w rozgrywce wyborczej. Wbrew ostrzeżeniom Jana Olszewskiego (który, co prawda, nie miał powodu do takiej euforii), Krzak-

lewski wdał się w kampanię aktywnego blokowania procesu konstytucyjnego. W Komisji Zgromadzenia Narodowego cztery partie (SLD, PSL, UW i UP) uzgodniły były w końcu, po trzech latach już to kłótni, już to zastoju, wspólny tekst projektu konstytucji, kierując się w dążeniu do kompromisu rozsądnym spostrzeżeniem, że nigdy już nie będą miały we czwórkę takiej przemożnej większości (około 90%!), a więc takiego wpływu na kształt konstytucji. Krzaklewski umyślił sobie, że uda się powstrzymać ostatnie stadia procesu ustawodawczego, prowadząc ultymatywne w tonie rokowania o takie zmiany w tekście Zgromadzenia, które byłyby nie do przyjęcia dla SLD i UP oraz domagając się nowelizacji ustawy o trybie uchwalania konstytucji. Do pierwszej kategorii należał postulat „wyrażnego ustalenia ciągłości” od II do III Rzeczypospolitej (a nawet od Konstytucji 3 maja) tzn. wyłączenia PRL z dziejów państwowości polskiej oraz żądanie, by konstytucja stwierdzała *explicite* „prymat prawa naturalnego przed stanowionym”. Ponieważ trzeba by w takim razie wiedzieć, co prawo naturalne zawiera oraz/lub wskazać instancję, która prawo to interpretuje, żądanie Krzaklewskiego, z pozoru czysto deklaratywne, wiodło wprost do jurysdykcyjnej teokracji. „Trybunałem Konstytucyjnym prawa naturalnego” byłby episkopat i bulle papieskie.

Jan Olszewski z ROP zalecał raczej zabiegi z drugiej grupy. Wdawszy się w konstytucyjną obstrukcję należało, jego zdaniem, obstawać raczej przy żądaniu, by pod referendum poddane zostały oba projekty konstytucji: parlamentarny, przyjęty przez Zgromadzenie Narodowe i tzw. społeczny (AWS-ROP). Takiej procedury nie przewidziano w ustawie, zresztą byłoby zdumiewające, gdyby legalnie wybrany parlament zgodził się traktować projekty opracowane przez grupy obywateli na równi z własnym. Na koniec więc pozostawał jeszcze postulat, by w referendum konstytucyjnym potrzebne było kworum 50% uprawnionych. Warto wspomnieć, że ustawę o trybie uchwalania konstytucji Sejm przyjął w kwietniu 1992 decydującą większością głosów, z głosami prawicy łącznie (premierem był wtedy Jan Olszewski). Sprawozdawczyni komisji ustawodawczej, Hanna Suchocka, stwierdziła wówczas, że referendum konstytucyjne nie powinno przewidywać kworum, aby nie oddawać losu konstytucji w ręce

ludzi bez poczucia obywatelskiego, które w takiej sprawie każe bezwzględnie oddać głos. Izba, mając w pamięci nikłe frekwencje wyborcze w III Rzeczypospolitej oraz fatalne doświadczenie z lokalnymi referendum, gdzie z reguły nie udawało się zgromadzić nawet niskiego kworum 30%, podzieliła zgodnie opinię sprawozdawczyni. Ale też nikt wtedy (z Janem Olszewskim łącznie) nie przewidywał blokowania konstytucji za pomocą kworum referendalnego.

Jeśli nie będzie nowej konstytucji, to prezydent zachowa mocne veto (2/3 głosów trzeba, by takie veto uchylić), podczas gdy w projekcie Zgromadzenia Narodowego jest tylko veto słabsze (3/5) – oraz resorty prezydenckie.

Nowemu rządowi prawicy nie byłoby lekko.

Jeśli zaś Polacy konstytucję Zgromadzenia uchwalą – jak zresztą poufnie poinformowali Krzaklewskiego socjologowie – to im więcej AWS będzie z tym projektem wojował, tym gorszą poniesie porażkę.

Można zatem mniemać, że wódz AWS sam zastawił na siebie pułapkę. Przypuszczam, że sprawa konstytucji wydała mu się tak atrakcyjna, ponieważ rozgrywka wokół projektu ustawy zasadniczej miała sprawnie jednoczyć prawicę przeciw czerwonym i różowym, zwalniając działaczy od trudu prezentowania programów. Ponadto, Krzaklewski po swoich rozmowach z Pawlakiem liczył zapewne, że PSL pod naciskiem zmieni front właśnie w sprawie konstytucji. Ale w chwili, kiedy piszę niniejsze, nic na to nie wskazuje.

Mimo, że na konferencji prasowej w Sejmie, w piątek 14 lutego, marszałek Józef Zych wyglądał przy Marianie Krzaklewskim jak masło na patelni przy żelaznym trzonku, termin rozpoczęcia drugiego czytania projektu konstytucji w Zgromadzeniu Narodowym, 24 lutego, został utrzymany. Wszystkie cztery partie – projektodawcy zamierzają zgłosić raz jeszcze swoje poprawki, odrzucone w komisji: PSL, Unia Wolności i Unia Pracy, aby pokazać swym wyborcom, że walczyły do końca, a SLD, żeby nikt nie pomyślał, że jest jedynym, w pełni zadowolonym. Wiadomo było, że cała ta debata miała mieć charakter honorowego skrzyżowania szpad i że żadna z partii nie chciała głosować przeciw całości projektu w razie ponownego odrzucenia jej poprawki. Niemniej, drugie czytanie otwierało przed Marianem Krzak-

lewskim dodatkowe pole manewru. Ryszard Bugaj w imieniu Unii Pracy nie ukrywał np., że podobają mu się postulaty socjalne z projektu solidarnościowego, sam zaś Krzaklewski otwarcie czynił awanse PSL proponując zaraz po „wycięciu” przez Pawłaka wicepremiera Jagielińskiego (p. niżej), by konstytucja wyraźniej chroniła biedotę wiejską...

W sukurs Marianowi Krzaklewskiemu pospieszył też Episkopat. Jeszcze 24 stycznia (w wywiadzie dla *Życia*) sekretarz Episkopatu bp Pieronek wypowiadał się na tematy konstytucyjne w sposób dość wyważony: kwitował z zadowoleniem ustępstwa na rzecz stanowiska Kościoła już poczynione i postulował dalsze, ale w dość ugodowym tonie. W szczególności stwierdził, że „to nie jest projekt całkowicie nieudany” i odmówił „poparcia bez wahania” projektu solidarnościowego, o którym – przypomniał – „episkopat wypowiadał się z rezerwą”. To umiarkowanie wyparowało z „Oświadczenia” Rady Episkopatu, opublikowanego przez Katolicką Agencję Informacyjną 14 lutego. Biskupi bardzo stanowczo zażądali raz jeszcze kompletnej *invocatio Dei* (jako symbolu wyższości prawa naturalnego), gwarancji ochrony przez państwo „życia od poczęcia”, ale przede wszystkim skoncentrowali swą wypowiedź na rozpoczynających się konsultacjach: „Można się obawiać, że jeśli strony konfliktu nie znajdą wspólnego języka, dojdzie do Referendum Konstytucyjnego, którego rezultatem będzie utrwalenie głębokiego podziału społeczeństwa, niezależnie od tego, czy Konstytucja zostanie w nim przyjęta czy też odrzucona znikomą większością głosów (...) Konstytucja (...) nie wróży Polsce dobrej przyszłości, jeżeli będzie dokumentem narzucenym Narodowi Polskiemu przez mniejszość, wprawdzie formalnie do tego uprawnioną, ale nie uwzględniającą interesów większości”.

Biskupi są najwyraźniej pewni, gdzie jest mniejszość, a gdzie większość. Oni też przesadzili już o wyniku wyborów. Lub przynajmniej tak udają dla pokrzepienia serc.

2.

Na temat przyszłego układu politycznego w Polsce można w tej chwili powiedzieć tyle tylko, że jedną w nim kwestią będzie, kto – AWS czy SLD – zdoła uformować

rządzającą koalicję. Nie oznacza to jednak, iżby pokonany konkurent miał się w opozycji znaleźć osamotniony. Innymi słowy, przysła większość rządowa nie będzie ani tak masywna jak obecna, ani może nawet bardzo znaczna (stąd rola prezydenta znów najpewniej wzrośnie).

Przed wyborami wszyscy ich uczestnicy sprawują szyki, biorą się pod łokcie w szeregach... Jedność i dyscyplina. Ale po wyborach może być całkiem inaczej.

Krótki przegląd zaczniemy od AWS, która ma teraz wiatr w żaglach.

O tym, że spoistość tej formacji ma charakter zasadniczo negatywny (odsunąć komunistów od władzy raz na zawsze) wiadomo od początku. Teraz jednak trwa krystalizowanie się wewnątrz AWS rozmaitych biegunów. Z jednej strony działacze centroprawicy, jak twórcy Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego czy Ruchu Stu plasują się w wewnętrznej opozycji wobec radykalnego skrzydła związkowego. SKL pragnie zwłaszcza utrzymania kontaktu z Unią Wolności i nie kryje, że „po zwycięstwie” będzie nalegało, żeby związek był związkiem a partie partiami. Ruch Stu orientuje się na środowiska liberalnej inteligencji i *businessu* i ponadto dystansuje się od Kościoła politycznego, czym różni się bardzo zdecydowanie od większości AWS. Obie te formacje nie zamierzają rezygnować ze swej partyjnej tożsamości; Czesław Bielecki, prezes „Stu”, oświadczył że AWS powinna się określić jako wielopartyjny blok – i zrobił to w dzień potem, jak Marian Krzaklewski zapowiedział, że AWS jeszcze przed wyborami przekształci się w partię.

Odsrodkowość centroprawicy to nie jest jedyny kłopot przewodniczącego AWS. Na obrzeżach AWS uplasowała się cała plejada prawicowych partyjek, w tym również faszyzujących, jak Prawica Narodowa, wchodząca przedtem w skład KPN (jeszcze jednolitej, sprzed rozłamu). Jest to w istocie zaplecze takich działaczy związkowych jak Zygmunt Wrzodak, członek kierownictwa ROP. W AWS będą one w odpowiednich okolicznościach jego piątą kolumną.

Ważniejszym niż politycy problemem AWS będzie sam związek. Zwraca od dawna uwagę, jak trudno jest teraz mobilizować szeregi związkowe: jedynymi udanymi zbiorowymi manifestacjami w ubiegłym roku były: marsz przeciw

aborcji, organizowany przez „Radio Maryja” i najbardziej bojowych wikarych, oraz manifestacje delegacji górniczych i Ursusa. Innymi słowy, związek jest zdolny mobilizować tylko załogi wielkich posocjalistycznych zakładów i tylko wtedy, kiedy się czują bezpośrednio zagrożone ekonomicznie. A takich przeciwników rząd często potrafi przekupić i uspokoić. Wiele wskazuje, że Lech Wałęsa był ostatnim przywódcą związkowym, który potrafił pociągnąć za sobą masy związkowe do urny... Tym razem Lecha Wałęsę nie będzie w akcji (jeśli wykluczyć zupełnie nieprawdopodobne zwroty), zachowa dystans, ale w AWS i obok AWS są jeszcze jego ludzie (a np. Mieczysław Wachowski zamierza ponoć kandydować we Włocławku z niezależnej listy „Partii Wolności”). Jeśli Krzaklewskiemu nie uda się zwyciężyć...

To wszystko są, w gruncie rzeczy, kłopoty na czas po wyborach: rywalizacje przy obsadzie list wyborczych będą zaciekle, ale AWS się od tego nie rozsypie.

Ruch Odbudowy Polski też ma skrzydła: narodowe (Antoni Macierewicz, Zygmunt Wrzodak, Jacek Kurski) i umiarkowane (Wojciech Włodarczyk, Jan Parys, Andrzej Kieryło, Adam Glapiński), które różnią się przede wszystkim stosunkiem do integracji z Zachodem i NATO*. Jan Olszewski ma w swojej formacji większy autorytet niż Krzaklewski w swojej i przed wyborami on również nie musi się obawiać rozłamu czy rokoszu ROP, ma jednak problem z elektoratem, w którym bardzo dużą rolę odgrywają ludzie starzy i podstarzali, poszukujący w polityce przede wszystkim zemsty za poniesione krzywdy i odpłaty za zmarnowane życie. Dla nich nikt nie jest dość radykalny i Jan Olszewski nie ma z nimi żadnej swobody ruchu. Ten elektorat chce wygrać, ale nie byle jak i z byle kim. Nieraz już w ciągu minionych 7 lat odchodził bez żalu od formacji i przywódców, którzy nie sprostali pryncypiom.

Idźmy dalej.

Unia Wolności wraz z odejściem Rokity i towarzyszy dopiła już chyba swój kielich goryczy. Teraz walczy o życie i

* Wrzodak prowadzi całą kampanię przeciw „pośpiechowi do NATO” i, przy tej okazji, wojnę z *Gazetą Polską* Piotra Wierzbickiego, przyjaciela ROP. Pisuje w *Naszej Polsce*, organie narodowców.

wydać się, że jej to dobrze robi. Trudno w tej chwili ocenić walor mobilizacyjny takich inicjatyw jak nowo powołana Rada Samorządów (z 28 „unickich” miast), która miałaby podreperować wpływy UW na forum samorządu terytorialnego potem, gdy w Krajowym Sejmiku tuż z unijnego frontu, jak Michał Kulesza i Zyta Gilowska cichcem zdezerterowały na prawo. Ale istotne dla perspektyw UW jest przede wszystkim zawieszenie aż do wyborów walk frakcyjnych o strategię sojuszy. Wszyscy deklarują zgodnie, że „najbliższym partnerem UW powinna być AWS”, choć „nie jest to, jak się zdaje, przekonanie działaczy AWS” oraz „Unia zawsze odmawiała sojuszu z SLD, i dziś jest od tej formacji dalej niż przed kilku laty” – to Aleksander Smolar w wywiadzie dla *Tygodnika Powszechnego*. Smolar mówi też za wszystkich unitów, gdy deklaruje, że partia „dopiero po wyborach podejmie decyzję, biorąc pod uwagę układ sił, rzeczywiste cele różnych formacji, interes państwa”. Kiedy zaś polityk ten dodaje, że „Unia nigdy nie powiedziała ‘nigdy’ o możliwości porozumienia z SLD i nie widzę powodu, aby z tego miała się tłumaczyć. Unia nie wyklucza sojuszu z żadną partią, o ile to może służyć państwu” – to w Unii nie słychać sprzeciwu, inaczej niż jeszcze przed kilku tygodniami.

Unijne ataki na SLD i jego politykę mają dwójaki charakter. Jedne z nich są wymierzone przeciw łapczywości postkomunistów i zawłaszczaniu państwa oraz złej woli w rozliczaniu przeszłości (te ostatnie koncentrują się obecnie wokół sprzeciwu SLD wobec projektu ustawy lustracyjnej opracowanego przez UW, UP i PSL). W odróżnieniu od histerii na prawicy w tych sprawach, unicy zachowują się racjonalnie. Druga seria pretensji do SLD i koalicji – i na nich koncentrował się Balcerowicz w spotkaniu telewizyjnym z Oleksym, 13 lutego – dotyczy opóźniania i wypaczania procesu reform. Niezależnie od zasadności tych zarzutów, bo można kwestionować ważność standardów, jakie stosuje przewodniczący UW, wymaga podkreślenia, że w tej dziedzinie Unia jest opozycją więcej niż konstruktywną: kiedy tylko może, pomaga SLD utrzymywać się na „słusznej drodze”. Tak było z podatkami Kołodki, tak było z prywatyzacjami Kaczmarka... Mimo wszystko zatem, SLD w dziedzinie gospodarki jest dziś bliższy Unii niż jakakolwiek inna formacja (nie licząc

wspomnianej centroprawicy wewnątrz AWS, ale ta musiałaby się dopiero usamodzielnic. Potwierdza tę bliskość osoba nowego ministra finansów, Marka Belki, którego sam Balcerowicz polecił w swoim czasie Kwaśniewskiemu jako doradcę.

Unia Pracy również walczy o życie, lecz robi to znacznie spokojniej. Z 41 posłów na początku kadencji zostało 34, ale są to głównie ubytki stare, ostatnio odszedł do SLD tylko Janusz Szymański, obdarowany, podobnie jak posłanka Katarzyna Piekarska z UW, posadą podsekretarza stanu w superresorcie spraw wewnętrznych i administracji Leszka Millera. Unii Pracy nie porzucił żaden z liczących się polityków, a Marek Pol, który był za zgodą partii ministrem do spraw reformy centrum rządowego, powrócił do aktywnego członkostwa i będzie kandydował z listy UP. Podobnie jak UW partia idzie do wyborów sama, ale po wyborach nie wyklucza udziału w koalicji rządowej również z SLD.

PSL nie walczy o życie, ale kłopotów ma niemało. Partia ta jest bardziej rozdarta wewnętrznie niż formacje, w których toczą się boje ideowe. Wydaje się to paradoksalne, ale jest logiczne: PSL jest ze względu na swój elektorat partią, ściśle klasową, toteż kiedy różnicują się interesy przez nią reprezentowane, traci spójność. Ewolucja gospodarki sprawia, że elektorat PSL dzieli się coraz wyraźniej na chłopstwo biedne, przeznaczone oficjalnie do zmiany zawodu – 1,3 miliona gospodarstw z 2 milionów – i gospodarstwa, które dają sobie radę na rynku i przeradzają w firmy naprawdę kapitalistyczne. W systemie, w który Polska wrasta i wobec projektowanej integracji z UE jest to jedyna realna perspektywa. Ale podnosi się bariera czasu. Dla znacznej większości aktualnych gospodarzy „zmiana zawodu” oznacza po prostu zatrąć. Transformacja wsi w miarę bezbolesna, musi trwać długo, gdy tymczasem strach rośnie już teraz. Kiedy na tło braku perspektyw i świadomości zmierzchu rzutują trudności zbytu, jak aktualnie ze zbożem i trzodą chlewną, następuje eksplozja niezadowolenia. Minister rolnictwa i wicepremier Roman Jagieliński tym lepiej nadaje się na odstrasza, że drażni chłopów i swymi pozami na ziemianina kapitalistę, i swoimi wąsami *à la* Witos. Waldemar Pawlak, który podobno nie zapomina komarowi, że go uciął nad stawem i jeszcze po roku go tam szuka, nie zapomniał Jagielińskiemu, że ośmielił się być jego kontrkandydatem do

prezesury. Kiedy Zych, PSL-owski rabin-rozjemca (ty masz rację i ty masz rację), wyjechał na cztery dni do USA, Pawlak szast prast zwołał NKW i „cofnął Jagielińskiemu rekomendację ministerialną. Na jego miejsce NKW PSL proponował Jarosława Kalinowskiego z Ostrołęki, wiernego zwolennika prezesa i „obroncy chłopów”. Kalinowski obwieścił z miejsca, że rynek zbóż jest zdestabilizowany przez import (Jagieliński? w ostatniej chwili uzyskał przywrócenie 10% cła na zboża poza granicą twardą), a hodowla świń nieopłacalna, mimo że jest ich mało (18 mln sztuk). Trzeba temu natychmiast zaradzić... Nie wiadać możliwości, aby Rada Naczelna PSL chciała cofnąć decyzję NKW i tym bardziej, by mógł ją odrzucić Cimoszewicz. Ale przyjąć nowego ministra to zupełnie co innego niż dać mu pieniądze. Budżet jest już uchwalony.

Chłopi i ich stronnictwo mają w tzw. sferach oświeconych – w kraju i na emigracji – opinię pijawek. Wypada więc zauważyć (ostatni raport Instytutu Ekonomiki Rolnictwa dla OECD), że subsydia z budżetu na 1 ha użytków rolnych wynoszą w dolarach 949 w UE i 290 w Polsce (1996, pamiętajmy wszakże o różnicy poziomów gospodarczych). Zaznacza się szybki spadek udziału subsydiów dla rolnictwa w polskim budżecie: 7% w 1986, 3,2% w 1990, 1,9% w 1994 i 1,8% w 1996. Pomiędzy subsydiami rolniczymi w Polsce i w UE jest ta zasadnicza różnica, że tam służą one głównie hamowaniu, a u nas rozwojowi produkcji.

Ponieważ nie ma szans, żeby Kalinowski dostał więcej pieniędzy niż Jagieliński, i żeby pozwolono mu wprowadzić dodatkowe cła, operacja okaże się dla Pawlaka na dalszą metę nieopłacalna: Jagieliński zebrał był jednak prawie 3/4 głosów na Kongresie i ma wielu zwolenników, zwłaszcza w najbogatszej części stronnictwa.

O życie, choć w innym sensie niż obie Unie, walczyć będzie w wyborach również SLD. Nie grozi mu wprawdzie próg 5% i w istocie nawet utrata głosów. Jeśliby jednak twarzą prawica uzyskała większość, to jej rząd dobrałby się SLD do skóry w sposób zapewne nie zabójczy ale dostatecznie dokuczliwy. Co wszakże najważniejsze, dla znacznej części SLD izolacja od władzy (a nie tylko zwykła jej utrata) byłaby nie do zniesienia. Mimo, że ci są najbardziej na widoku, w SLD i wokół SLD nie ma wcale tak wielu samodzielnych kapi-

talistów, którzy mogą przeboleć utratę rządowych pozycji i znajomości. Większość wisi na informacjach, zamówieniach, gwarancjach i po prostu na posadach, a to wszystko może za jednym zamachem stracić.

Ponieważ zagrożenie jest poważne, nie dziwią rozbieżności w doborze strategii walki. Do opinii publicznej wiadomości o tych dyskusjach docierają z trudem i poprzez przesłone informacyjnego szumu. Ale niezależnie od tych sporów wszyscy w SLD zgodzili się, że trzeba się mocno trzymać razem i dlatego też nowy program SdRP zaproponowany przez I Krajową Konferencję Programową zostanie przedłożony zjazdowi SdRP dopiero po wyborach. W projekcie twierdzi się, że SdRP stworzyli ludzie, którzy zrezygnowali z poprawiania realnego socjalizmu i zdobyli się na radykalny zwrot w kierunku społeczeństwa otwartego, rynkowego i nastawionego na Europę. Autorzy projektu bardzo stanowczo odłączają się od stalinizmu, ale nie odnoszą się krytycznie do całej historii PRL. „To program, a nie podręcznik – powiada Józef Oleksy (w wywiadzie dla *Gazety Wyborczej*) – wymieniliśmy tylko stalinizm, bo on był największą zbrodnią PRL”. W sumie projekt programu SdRP spełnia z pewnością kryteria Międzynarodówki Socjalistycznej. W kampanii wyborczej będzie on ważny tylko o tyle, o ile za pomocą cytatów można odpiierać zarzuty o fakty...

Przewodniczącym Komitetu Wyborczego SLD ma być premier Włodzimierz Cimoszewicz, funkcja tyleż honorowa co symboliczna. Wszyscy ministrowie z ZSL będą zobowiązani aktywnie uczestniczyć w kampanii – i oczywiście nie pozwalać sobie na własne zdanie. Kołodko, który mimo autoreklamy odpowiadał za wiele poważnych błędów w resorcie, podał się do dymisji. Kierownictwo SLD i prezydent Kwaśniewski zastanawiają się, czy lepiej będzie bronić solidarnie całego rządu, czy też pozbyć się już teraz najbardziej narażonych na krytykę wyborców (Żochowski w zdrowiu, Liberadzki w transporcie, Blida w urzędzie budownictwa). Minister Miller „zabezpiecza” tymczasem kadrowo administrację państwową, rozdając nominacje na dyrektorów generalnych urzędów wojewódzkich. Opozycja krzyczy, że Miller ustawia swoich, Miller odpowiada, że „na ogół” potwierdza tylko stan obecny. Rzecz w tym, że wszyscy

nominowani przed terminem 31 marca będą potem mieli dwa lata na zdawanie egzaminów konkursowych służby cywilnej. Jak się zdaje, *mot d'ordre* kampanii SLD i rządu będzie – dynamizm. Już dobiega końca praca nad ustawą o ubezpieczeniach zdrowotnych, a Cimoszewicz zapowiada, że w kwietniu rząd przedstawi projekt reformy ubezpieczeń tak, aby parlament mógł ją zatwierdzić jeszcze przed wakacjami. W połączeniu z niewątpliwie dobrą koniunkturą gospodarczą, której w tym roku nic raczej nie grozi, SLD może racjonalnie liczyć na dobry efekt. Tym bardziej, że z wypłatami zaległych należności emerytom, wyegzekwowanych przez Trybunał Konstytucyjny, utracono tak celnie, że część będzie wypłacona w marcu, a część w lipcu (a właściwa tegoroczna waloryzacja – we wrześniu). W budżecie też są zaskórniaki, które nowy minister finansów, Marek Belka, będzie mógł uruchomić w razie koniecznej potrzeby... politycznej.

W porównaniu z takim rozmachem w makroskali, opozycji grozi, że pograży się krytykując rząd, w detalach i drobiazgach z jednej strony i w grzechach przeszłości z drugiej. W ten sposób może się okazać Ciocią Fluksją, która siedzi na kanapie i ma za złe. Taki efekt zagraża nawet najsprawniejszym propagandystom prawicy, zgrupowanym wokół dziennika *Życie* Tomasza Wołka. Zresztą i to jest, zdaje się, druga wytyczna kampanii SLD i rządu, będą się oni starali wyprzedzać atak. W ten sposób w *Rzeczpospolitej* z 15-16 lutego minister Zygmunt Siemiątkowski, z ramienia premiera nadzorujący Urząd Ochrony Państwa, ogłosił nagle, że wywiad rosyjski rozwija w Polsce szeroką działalność, aby stworzyć front przeciw rozszerzeniu NATO, i kontaktuje się w tym celu zarówno z ludźmi koalicji jak i opozycji. Grożą prowokacje. Wysiłki te obejmują również gospodarkę; wspomniano paliwa płynne i bankowość. Wystąpienie Siemiątkowskiego podziałało jak bomba i zupełnie zaskoczyło opozycję, czego pierwszym dowodem były sprzeczne reakcje w ROP: Piotr Naimski uznał, że Siemiątkowski nic nowego nie powiedział, a Jan Olszewski, że była to ważna deklaracja i że teraz potrzebne są konsekwencje (ROP domaga się zerwania kontraktu na dostawy gazu rurociągiem jamalskim). A dziennikarze spisują już nazwiska tych polityków, którzy wypowiadali się przeciw rozszerzaniu NATO...

Na koniec powrócę do zanotowanego na wstępie styczniowego efektu euforii wśród prawicowej opozycji. Tzw. grupa Windsor, uważająca się za trust mózgów prawicy, zorganizowała w tym czasie konferencję poświęconą reformie państwa po zwycięstwie prawicy. Z referatem wystąpił m.in. Ludwik Dorn, wiceprezes Porozumienia Centrum, dziś afiliowanego do AWS, który zajął się „reformą jako stanem wyjątkowym” za wytyczną biorąc sobie Machiawela o potrzebie stosowania przymusu przez nowatorów. Zdaniem Dorna, „Rzeczpospolita jest chora na granicy śmierci” a „reforma chorego państwa może być jedynie dziełem elity przywódczej”. Zakładając, że powstanie „trwała i stabilna większość parlamentarna” dla takiej reformy i odpowiednio zdecydowany rząd, trzeba jeszcze „wyrwać się z wszystkich uwarunkowań (...) funkcjonującej w Polsce zwulgaryzowanej ideologii demokratycznego państwa prawa”. Tutaj Dornowi przychodzi w sukurs Hegel, jak niegdyś rewolucjonistom: „Akt tworzenia państwa lub jego radykalnej naprawy w porządkach czasowym, logicznym i przyczynowym leży przed aktami stanowienia prawa”. Obiecujące uzasadnienie służy następnie dość marzycielskiej koncepcji 400 nieprzekupnych („grupy specjalnej”). Ci nowi *missi dominici* rozjadą się po kraju żeby zreformować od podstaw cały aparat urzędniczy, z tym jednak, że równolegle nastąpi reforma samorządowa, zwiększająca zasięg samorządów do ponad 30% funduszy publicznych. Władze polityczne, ministrowie i parlamentarzyści nie wchodzi w skład „grupy specjalnej” – „oni mają tworzyć wolę polityczną, zapewniać warunki jej realizacji, legitymizować dzieło naprawy w wymiarze symbolicznym, a także zapewniać możliwość legalnego użycia przymusu”.

Missi dominici, Komisarze Republiki czy może delegaci KC?

Piotr Skwieceński (bliski ROP dziennikarz *Życia*) ogłosił w swojej gazecie (1-2 lutego) sążnisty tekst pt. „Polska w mocy fantoma”. Fantomem jest państwo prawa. Fantom ten ma „własności hipnotyczne”. Tymczasem konieczne jest po zwycięstwie wyborczym zniszczenie pozycji ekonomicznych nomenklatury, to zaś nie kampanijnie i punktowo, ale „systemowo, o czym w prywatnych rozmowach mówi część polityków prawicy”. Ale gadu, gadu, a rozmaite strachy przed

fantomem „owocują tym, że antykomuniści drepą w miejscu, a nawet najradykalniejsi z nich nie proponują działań, które mogłyby przynieść rzeczywistą zmianę. Nikt nie przygotowuje radykalnej repriwatyzacji, która (...) stworzyłaby przecież szybko grupę drobnych i średnich posiadaczy, w swej masie nie związanych z dawnym reżimem. Nikt – nawet działacze ROP – nie proponuje rzeczywistego wyłączenia nomenklatury. Nikt nie proponuje przyjęcia nadzwyczajnych praw, pozbawiających własności określone kategorie osób. Wszyscy natomiast śmiertelnie boją się zarzutu zerwania z państwem prawa. Choć przecież państwo prawa nie jest ani wartością najwyższą ani abstrakcją – powstało po to, by chronić pewne minimum wartości, którym obecna polska rzeczywistość zaprzecza w sposób dramatyczny. Choć zdaję sobie sprawę z tego, że w tej rzeczywistości pojęcie państwa prawa służy wyłącznie obronie komunistycznego układu, którego dalsze funkcjonowanie oznacza narodową katastrofę”.

Autor kończy kasandrycznie, że jeśli nie ubijemy fantoma, to po przegranej we wrześniu, komuchy za cztery lata wrócą jeszcze silniejsi i wtedy nie będzie innej rady, jeno „pogodzić się z myślą o prawdziwej, narodowej i społecznej rewolucji. I zacząć ją przygotowywać”.

Jak widać, Ludwik Dorn jest w swych propozycjach bezinteresowny, a przynajmniej unika deklarowania przeciw komu je wymierza. Zależy mu na państwie. Skwieceńskiemu zależy na władzy i jej owocach. Jest młody, niedoświadczony i mówi to otwarcie.

Myślę, że to on jest reprezentatywny dla swojej formacji.

Warszawa, 17 lutego 1997

Krzysztof WOLICKI

Kartki ze skażonej strefy

Przyjechali do Warszawy stocznioowcy z Gdańska i natychmiast, odpicowany na pastelowo, fronton Urzędu Rady Ministrów obrzucili słoikami z czerwoną okrętową farbą. Celowali wysoko, aż po ryty historyczny napis „Honor i Ojczyzna”. Jedna szyba poszła w drzazgi, nowo założona tablica upamiętniająca Powstanie Warszawskie (podobno, założona przewencyjnie, żeby nie bezczęścić ściany) – została jednak zbezczeszczona, czyli zachlastana na czerwono, jak i cała elewacja. Przechodnie przystawali, patrzyli, jak przed kilku laty na zdetonowanie pomnika Dzierżyńskiego... Widok frontonu URM-u był mniej więcej taki, jak ministra Wiatra, obrzuconego jajami w Krakowie przez studentów. Też stał bezwolnie, jak te mury. A ludzie patrzyli obojętnie.

Tego samego dnia (18 grudnia '96) stolica przeżyła jeszcze dwa najścia; ze Świdnika (fabryka śmigłowców) i zewsząd Polski, w sprawie elektryczności. Chodziło o to, żeby była w jednej cenie, a nie, jak projektuje rząd, taniej tam, gdzie bliżej elektrowni, a drożej tam, gdzie dalej. Nazajutrz zapowiedzieli się kolejarze, lekarze, defilujący od pewnego czasu w permanencji, „i górnicy, i hutnicy...”. Wszyscy pod sztandarem „Solidaruchy”. Piszę tak dla odróżnienia uczuć z okresu pierwszej Solidarności. Uczuć swoich i znakomitej większości ludu Warszawy. Tamta i obecna Solidarność postrzegane są jak dwa odrębne światy, których nie łączy nic prócz nazwy.

Przyjrzałam się manifestantom: idą niespiesznie, flegmatycznie skandując hasła, bez pomysłu i polotu. Naprzeciw Sejmu znajduje się na Wiejskiej stosowna parkingowa łączka, więc ją zdeptują, pogryzając frytki i hotdogi. Od przechodniów dzieli ich psychiczna ściana. Manifestanci wiedzą, że żadne „chodźcie z nami!” na nic się nie zda, więc nie zapraszają. Przechodnie mijają ich milcząc; czasem wyrwie się komuś: „do roboty!” i coś, że wożą się za nasze podatki – ale bez większego rezonansu. Złość rośnie dopiero w autobusach i tramwajach, kiedy pochody blokują miasto. Wtedy zdarza

się ludziom bluznąć, ale też bez specjalnej agresji, raczej z lekceważeniem, z zamyślnym pytaniem: „po co?!”

Bo już w nic się nie wierzy.

Ogień tli się jeszcze w manifestacjach przeciw aborcji; tu rzeczywiście poziom adrenaliny rośnie, ale te pochody grupują głównie stare, rozhisteryzowane kobiety, którym żadna aborcja nie grozi.

Ci tutaj, z wielkich nierentownych budów, to mężczyźni; bez gorączki entuzjazmu, od czasu do czasu pohukują, podemolują w miejscach wskazanych, poza tym rozglądają się po mieście jak turyści.

Nie ma to nic wspólnego z nastrojem pochodów w stanie wojennym odbywanych w tych samych murach i na podobnych trasach.

Opowiadał mi syn, który wtedy manifestował. Szli Marszałkowską od Alei Jerozolimskich do Placu Konstytucji i z powrotem. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, od rana do zmierzchu. Właściwie nie mieli odwrotu. Szli w tunelu zomowców oblegających murem chodniki. Szli zwarcie, ramię przy ramieniu, zrośnięci jak litery Solidarności, wymyślone tak właśnie na znak braterstwa. Krzyczeli hasła: „Won won za Don!”, „Wypuścić Lecha, zamknąć Wojciecha!”, no i oczywiście: „Chodźcie z nami!”. Nie bez odzewu. Przyłączano się masowo, machano z okien. Było wspaniale. Czuli się wolni. I mogliby tak iść bez końca, gdyby nie trudność z wymyślaniem wciąż nowych haseł (co wcale nie jest łatwe), a mieli tę ambicję. Jednakże, stan uniesienia ma to do siebie, że nie trwa wiecznie. Nie myślę o trwaniu w kategoriach historycznych, ale zwyczajnie, godzinowych. Trzeba było w odpowiednim momencie uskoczyć do upatrzonej bramy i nie dać się złapać. Trzeba było zastukać do drzwi, które by się uchyliły i wpuściły, do ludzi, którzy by nakarmili i przechowali, aż strażę zelżęją. Bo gdy złapały, dostawało się „cztery-osiem”, tak się wtedy mówiło (areszt 48-mio godzinny) i „ścieżkę zdrowia” na dokładkę.

A teraz? Manifestanci zaświntuszą spokojne miasto i rozjadą się autokarami do domów. Dniówka leci, więc w sumie ciekawiej niż w robocie... Tylko ironia historii, że wszystko odbywa się pod tymi samymi sztandarami. A może nie? Może wcale nie ironia? Może już wtedy zarodek tego, co

reprezentuje dzisiejsza Akcja Wyborcza „Solidarność” tkwił w tamtej idealnej Solidarności? Tylko że mieliśmy oczy i uszy zamknięte. Chcieliśmy ją idealizować.

Niewykluczone, że wybory wygra AW „S” właśnie, a premierem zostanie Marian Krzaklewski. Niezależnie od programów i głoszonych haseł, jest coś w tym człowieku, co nie pozwala go aprobować jako osoby, a zwłaszcza polityka. Nie ma przecież komicznej postury Wałęsy, karykaturalnej jajowatości Oleksego, nie zarasta tłuszczem jak Kwaśniewski – przeciwnie, przystojniak. A jednak budzi wewnętrzny sprzeciw. Może zbyt łatwym gadulstwem na każdy temat? Besserwiserstwem? Nie uznaje słowa „nie wiem”, namysłu, refleksji. O aborcji, składkach, podatkach, reformie zdrowia czy oświaty peroruje natychmiast płynnie, z jednakowym zapałem i w jednakowej tonacji. Zna wszystkie rozwiązania, co budzi nieufność. „Tylko dajcie mi władzę...” – zdają się mówić jego usta.

Mimo wszystko nie jest to niereformowalny typ w guście ministra Podkańskiego. Marian Krzaklewski wyrobił się przez te lata, nie można odmówić mu wiedzy detalicznej w pewnych dziedzinach. A jednak, gdy się go słucha, uderza brak. Brak syntezy i pointy. Brak celności. Brak zdziebełka poczucia humoru z za wiecznego uśmiechu. Przecięttniak o nieprzeciętnych ambicjach.

AW „S” plasuje się na wysokich pozycjach w sondażach na zasadzie: na bezrybiu i rak ryba. Ludzie już wszystkiego pokosztowali. Obecnej władzy, z jej cynicznym, metodycznym, gruntownym, bezbłędnym opanowywaniem pola za polem, mają serdecznie dość. Gładkim słówkom już nie wierzą. Więc co mają robić? Bez zbytnej wiary wezmą to, co wydaje im się być nieco świeższe.

Marian Krzaklewski premierem będzie takim, jak poprzednicy. Obietnic wyborczych nie spełni w tym samym stopniu.

Spytał mnie mąż dla zabawy, kogo wybrałabym w przypadku dyktatury: dyktatora Jana Olszewskiego czy dyktatora Leszka Millera (postać niewątpliwie numer jeden w

obozie SDRP). Bez wahania wskazałam na Millera, podczas gdy mąż postawił na Jana Olszewskiego.

Nasz wybór nie dotyczył różnic politycznych, ale osobowości delikwentów. Ja przedłożyłam cynika nad fanatyka. Bo wolę słuchać mowy beczelnie szczerej, acz w gruncie kłamliwej, nie pozbawionej dowcipnej skrótowości, niż nadęto-namaszczonych frazesów z absurdalnymi akcentami narodowego socjalizmu w treści.

Moich uczuć wobec komunizmu, w którym zagipsowana byłam przez całe swoje dojrzałe życie, nie da się porównać z platonicznymi uczuciami do endecji, której jednak też szczerze nie znoszę. A Jan Olszewski ze swoim ROP-em, niezależnie od mglistego programu, jaki głosi, ma w swojej mentalności coś z endeka. Ponadto brzydzi mnie obecność Zbigniewa Wrzodaka w zarządzie tego ugrupowania. Wrzodak dał swojej córce na imię „Ksymena”. „Ksymena Wrzodak”. Tego nie robi się dziecku.

A Leszek Miller, co mu zapamiętałam jeszcze z czasów komuny, jak był sekretarzem w KC do spraw młodzieży, zaprosił raz do telewizji studentów i urządził im wolną trybunę. Mogli wygarnąć. Dostali gwarancje i wygarnęli. Do tego stopnia, że oglądając ten program w szerszym gronie, w pensjonacie, wszyscy osłupieli. Myśleliśmy, że niemożliwe, że to opozycja opanowała nagle radiostację. A był to przemysłany chwyt komunistycznego liberała. Czasy szły ku temu, że trzeba się było przedstawić z innej strony. Zrobił to. Oczywiście Miller powtykał wówczas wśród studentów dla równowagi swoich mądrali, wśród których, jak pamiętam, brylował młody Wiatr, Sławomir. (Po Sejmie Kontraktowym zrezygnował z polityki dla biznesu).

No i co ja zrobię, kiedy na tle innych polityków wolę i dzisiejszego Millera! Millera-Kanclerza, jak okrzyknęła go Warszawa po objęciu przezeń Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Szalona władza! Skorzystał z niej natychmiast i wszystkich dawnych wyższych pracowników bez pardonu zaraz wykosił, nie fatygując się o podanie motywacji, i zastąpił swoimi ludźmi. Zapytany o plany, odpowiedział bez namysłu, że jego partię czeka w najbliższym czasie mordercza walka wyborcza i fakt ten będzie programem działania numer jeden. To się nazywa wygarnąć kawę na

ławę! Bez marudzenia o powinnościach, bez przynudzania o służbie i temu podobnych dyrdymałach, których wszyscy politycy pełne mają usta, ale nie umysły.

Moje pierwsze zgorszenie po roku 1989 wywołała bynajmniej nie gruba kreska, nie błędy polityczne nowej ekipy, ale pozostawienie sobie w stanie nienaruszalnym dawnych komunistycznych przywilejów. Ten szlachetny Mazowiecki, ten zapatrzonny w biednych Kuroń, nie dostrzegali niestosowności w leczeniu się po rządowych klinikach, w wakacjonowaniu się w spec-pensjonatach; w zakupie mieszkań na uprzywilejowanych warunkach, w przydziale luksusowych samochodów...

Nie mogłam wtedy wyjść ze zdziwienia: przecież proceder ten przez lata był znamieniem obcej władzy; tego, że mówiliśmy o niej ONI. A teraz „my” w jednej chwili przedzierzgnęliśmy się w „onych”. Okazało się, że w „okresie kontraktowym”, w okresie burzy i naporu, impetu wolnych mediów i fundamentalnych zmian ustrojowych, otóż w tym okresie, ministrowie ze starego komunistycznego rozdania stali się doskonałymi nauczycielami arcypojętnych solidarnościowych uczniów w lekcjach żonglerki dobrami materialnymi tak, żeby zagarnąć więcej dla siebie. Nasi, zamiast narobić huku, idealnie wpasowali się w sytuację. I tak już zostało.

Prasa natychmiast to wówczas podchwyciła. Pamiętam artykuł w *Gazecie Wyborczej* pod tytułem „Niech się panowie ministrowie wytłumaczą”. Chodziło o powiedzenie, jakie mieszkanie zamieniło się na jakie. Żaden z ministrów, niezależnie od proveniencji politycznej, nie chciał wyznać, ile metrów kwadratowych zamienił na ile. Bo był to skok niebotyczny.

Nawet najbardziej udokumentowane, krytyczne materiały prasowe z tego zakresu władza zbywała słowem „populizm”. Słowo „populizm” weszło do nas wraz z demokracją. Populizm oznaczał coś niegodnego, małodusznego, czeplanie się drobiazgów.

Widocznie drzemie we mnie stara populistka, bo z uporem maniaka odnotowuję na tych „Kartkach” kolejne

doniesienia o pazerności ludzi władzy. Co mną powoduje? Czy tylko małoduszność i bezwiednie wczepione w czasach komuny skłonności do urawniłowki? Czy efekt kabaretowy, który każdemu felietonowi przydaje barwy? Czy może chęć pozostawienia śladu w zapisie obyczaju w dobie kształtowania się naszej moralności państwowej w okresie postkomunistycznym? Po trosze to wszystko, ale poza tym kieruje mną intuicja, poczucie, że bezinteresowność materialna jest probierzem wartości polityka poważnie traktującego swoje państwo. Nie jedynym oczywiście, ale zgoła podstawowym.

Dlatego skaczę na krzesło, gdy dowiaduję się, że Kancelaria Prezydenta zamierza w roku bieżącym wydać o 34,5% więcej niż w roku 1996 z przeznaczeniem na dalsze remonty rezydencji i ośrodków, na podróże, etaty (50 nowych, pensje wyższe o 40%, wydatki na meble o – 235%).

Koszty Senatu też wzrosną. O jedną trzecią na podróże zagraniczne, 5 miliardów starych złotych pójdzie na podejmowanie gości przez marszałka Struzika (zakwaterowanie i prezenty). Jak wynika z planu budżetu, na same tylko ekspertyzy, m.in. prawne i budowlane, oraz na przemówienia i referaty marszałka, Kancelaria wyda w roku 1997 6 mld 760 mln starych złotych. W planach jest też wydawanie książek, bicie medali, znaczków pocztowych i kalendarzy związanych z Senatem (1 mld 700 mln starych zł); wznowienia i nowe wydania materiałów informacyjnych o Senacie (np. komiksów dla dzieci i folderów w sumie za niemal 2,5 mld starych zł), druk kopert i wizytówek dla senatorów (330 mln zł). Na dekoracje kwiatowe Kancelaria chce wydać 550 mln starych zł, a na wodę sodową – 420 mln zł.

Legitymacja poselska kosztuje dziś 1 milion starych zł. Pracuje się nad tym, żeby kosztu te zmniejszyć, tym bardziej że w związku ze zmianą parlamentu w bieżącym roku trzeba będzie wystawić kilkadziesiąt nowych legitymacji.

Były premier, Józef Oleksy korzysta z dwóch luksusowych mercedesów 280 E. Jeżdżą nimi na zmianę dwaj kierowcy i ochroniarze. Samochody należą do Biura Ochrony Rządu, którego Oleksy nie jest już członkiem. Hanna Suchocka i Jan Olszewski zrezygnowali z jazdy nazajutrz po odejściu z rządu. Jan Krzysztof Bielecki zwlekał dwa tygodnie, Tadeusz Mazowiecki – miesiąc, zaś Waldemar Pawlak – po-

nad pół roku. (Wszystkie dane przytaczam za bieżącą prasą).

I na koniec anons z tygodnika *Wprost* z rubryki pod tytułem „Absurdy”:

„Lekarz bez granic, Adam Struzik. Jako urzędujący cały czas dyrektor szpitala i praktykujący nieprzerwanie medyk, a w wolnych chwilach również marszałek Senatu RP, odwiedził więcej krajów niż papież. Obdarowuje gospodarzy strojami ludowymi (prostował oszczerstwa prasy, że cesarza Japonii ubrał w strój kurpiowski, podczas gdy był to komplet łowicki)... ‘Podróżuję dla Polski’ – powtarza i w pewnym sensie ma rację, jeśli zważyć, że w tym czasie nie ma go w kraju”.

Ja się nie śmieję, ja płaczę. Mnie to pierwsze zgorzsenie zachowaniem mojej władzy pozostało do dziś i będę podobne fakty odnotowywać na wieczną rzeczy pamiątkę. Może kiedyś badacz czasów dostrzeże w nich coś więcej niż tylko opis obyczaju? Oby nie był to złowróżbny sygnał nadciągającego upadku!

A co my, zwykli ludzie, którym w tym roku wypada pójść do urn wyborczych? Ano, powoli przywykliśmy, że każda władza bierze. Brali tamci, biorą ci, będą brali następni. I tak oto rozeszliśmy się – społeczeństwo w swoją stronę, a władza – w swoją. Łutu identyfikacji! Żdźbła szacunku i wiary! W czasie walk wyborczych obsiadziemy telewizory, a jakże, bo lubimy spektakle. Ale nie będzie to mecz ulubionych drużyn, a my nie będziemy gotowymi na wszystko kibicami.

Ewa BERBERYUSZ

PS. W poprzednich „Kartkach” pisałam o budynku na Saskiej Kępie, któremu odcięto gaz. Nie włączono go do dziś, natomiast pod drzwi każdego mieszkania wsunięto kartkę z wydrukiem: „Korzystaj z gazu! Gaz twoim paliwem!” Instytucja monopolowa musi wszak zużyć pieniądze przeznaczone na reklamę. (W innej kamienicy przestój w dopływie gazu trwał trzy lata; przez ten czas szukano dokumentacji. Gdy ją wreszcie znaleziono, naprawa trwała 30 minut, awaria była niewielka).

Warszawa, grudzień '96 – styczeń '97

Sprawy i troski

Polska polityka narodowościowa na kilku przykładach

Przełom roku skłania do podsumowań. Periodyki pełne są artykułów poświęconych sukcesom i porażkom roku minionego oraz prognozą na rok 1997. Ale, jak to w takich wypadkach bywa, refleksja dotyczy głównie wydarzeń pierwszoplanowych, które jak w soczewce skupiają najbardziej istotne zjawiska z życia politycznego, kulturalnego i społecznego. Przy okazji takich generalizacji umykają komentatorom rzeczy istotne, jednak mało efektowne.

Do takich kwestii należy niewątpliwie polityka narodowościowa i – szerzej – sytuacja mniejszości narodowych w Polsce w ostatnim roku. A rzecz sama w sobie jest ciekawa. W końcu był to kolejny rok rządów koalicji SLD-PSL oraz drugi z kolei rok, kiedy w administracji rządowej nie ma żadnej komórki, która koordynowałaby politykę narodowościową państwa. Rok 1996 był dla Białorusinów, Ukraińców czy Litwinów rokiem 40-lecia istnienia ich stowarzyszeń. A przy takim jubileuszu trudno nie mówić o przeszłości, teraźniejszości i perspektywach.

Jaki więc był to rok dla mniejszości narodowych? Trudno pisać o wszystkim i wszystkich, więc skoncentruję się na kilku przykładach.

Na początek przykład łżejszy, bo dotyczący jubileuszy. Jak zaznaczyłem w 1956 roku powstały organizacje mniejszości narodowych w Polsce. W tym roku powstało również Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne oraz został założony tygodnik w języku białoruskim *Niwa*. Obie instytu-

cje obchodziły więc 40-lecie istnienia. I tu podobieństwa się kończą.

W obchodach Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego wziął udział premier Włodzimierz Cimoszewicz, poza tym obecni byli m.in. minister kultury Zdzisław Podkański, wiceminister edukacji narodowej Kazimierz Dera, dyrektor Biura do Spraw Kultury Mniejszości Narodowych Jerzy Bisiak, wojewoda białostocki Andrzej Gajewski. Trud białoruskich działaczy został dostrzeżony przez Kancelarię Prezydenta i troje spośród nich – Walentyna Łaskiewicz, Tamara Rusaczyk i Mikołaj Prokopiuk – zostało odznaczonych przez premiera Srebrnym Krzyżem Zasługi. Kilkunastu innym osobom wręczono odznaki „Zasłużony działacz kultury”, dyplomy ministra kultury i sztuki, medale Komisji Edukacji Narodowej oraz odznaki „Zasłużony dla Białostoczczyzny”.

Jubileusz 40-letniej *Niwy*, która od kilku lat jest tygodnikiem niezależnym, wyglądał zupełnie inaczej. Nikt z Ministerstwa Kultury i Sztuki, które jest opiekunem pisma, nie pofatygował się do Białegostoku. Wiceminister kultury i sztuki Michał Jagiełło przesłał jedynie zdawkowy okolicznościowy list. Wojewoda białostocki również nie znalazł czasu by zaszczyścić jubileusz swoją osobą. List od niego przeczytał jego pełnomocnik do spraw mniejszości narodowych Sławomir Halicki. Jak się pewnie Czytelnicy już domyślają żaden z dziennikarzy *Niwy* nie otrzymał też żadnego wyróżnienia czy odznaczenia. Jak się okazuje ich zasługi dla kultury Białorusinów w Polsce nie były dostatecznie wielkie. Wstrzeźliwość władz w stosunku do redakcji najstarszego pisma białoruskiego w Polsce zaskoczyła szereg osób, które mogły pomyśleć, że wyróżnienia obecna koalicja zarezerwowała dla „swoich” Białorusinów.

Inna sprawa dotyczy powołania na początku 1996 r. pełnomocnika wojewody białostockiego do spraw mniejszości narodowych. Utworzenie takiej funkcji w województwie, w którym mieszkają Białorusini, Ukraińcy, Romowie, Tatarzy i Rosjanie, wydawało się decyzją sensowną. Okazało się jednak, że mianowanie na to stanowisko Sławomira Halickiego, człowieka, który nigdy nie zajmował się problemami narodowościowymi, było nieporozumieniem. Mimo to, liczono, że w

miarę „wchodzenia” w sprawy mniejszościowe, Halicki stanie się ważnym sojusznikiem w rozwiązywaniu problemów środowisk narodowościowych. Niestety, pełnomocnik niczego się nie nauczył, a bomba wybuchła, kiedy dał wywiad białostockiej gazecie *Kurier Poranny* (7.11.1996). Na pytanie dziennikarza, jak identyfikuje się grupy narodowościowe i czy nie wystarcza, że ktoś czuje się Białorusinem, p. Halicki bez wahania odpowiedział: „To kryterium subiektywne. Kryteria obiektywne to religia, pochodzenie, język, historia, tradycja. I nie zawsze ten, kto mówi, że jest Białorusinem lub Polakiem, jest nim w rzeczywistości”. Nie będę zastanawiał się, czy p. Halicki będzie zajmował się poświadczaniem polskości bądź białoruskości zainteresowanych. Pozwolę sobie jedynie zauważyć, że wypowiedź ta świadczy o zupełnej nieznajomości międzynarodowych dokumentów dotyczących praw mniejszości narodowych, a w szczególności Dokumentu Końcowego Spotkania Kopenhaskiego w sprawie ludzkiego wymiaru KBWE z czerwca 1990 r., w którym czytamy: „Przynależność do mniejszości narodowej jest sprawą indywidualnego wyboru osoby. Z dokonania takiego wyboru nie mogą wynikać żadne niekorzystne konsekwencje”.

Wywiad prasowy to rzecz jednorazowa, niemniej problemy, które ujawnia nie są bynajmniej błahe. Najważniejsze z nich to poziom kompetencji osób, które w aparacie państwowym mają zajmować się problematyką narodowościową (dość znamienitym przykładem jest zatrudnienie na stanowisku dyrektora Biura do Spraw Mniejszości Narodowych urzędnika, który całe życie zajmował się muzyką rozrywkową), kreatywność i stopień samodzielności pełnomocników wojewodów do spraw mniejszości narodowych. Z wyjątkiem Danuty Berlińskiej, która onegdaj z powodzeniem pełniła taką funkcję w Opolu, obecni pełnomocnicy wojewodów białostockiego, olsztyńskiego, nowosądeckiego i przemyskiego ograniczają się niemal wyłącznie do inwentaryzacji zaistniałych konfliktów.

Co mają o wypowiedzi p. Halickiego myśleć białostoczanie? Czy jest ona zapowiedzią jakiejś weryfikacji narodowościowej w regionie czy też nieszczęsnym „chłapięciem” nie najlepiej przygotowanego do swojej pracy urzędnika?

I znowu inny przykład z niwy białoruskiej. W styczniu 1995 r. Ministerstwo Edukacji Narodowej rozesłało do wszystkich organizacji białoruskich w Polsce pismo z prośbą, by wytypowały jednego przedstawiciela do polsko-białoruskiej wspólnej komisji konsultacyjnej do spraw szkolnictwa polskiej mniejszości na Białorusi i białoruskiej mniejszości w Polsce. Na pismo to odpowiedział jedynie Związek Białoruski w Polsce, który wytypował do komisji młodego historyka, nauczyciela liceum białoruskiego w Hajnówce, Eugeniusza Wappę, który wziął nawet udział w jednym czy dwóch posiedzeniach komisji. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale w listopadzie ub.r., po prawie dwóch latach istnienia polsko-białoruskiej wspólnej komisji, Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne zwróciło się z pismem do ministra Jerzego Wiatra, w którym wyraziło chęć wytypowania swojego przedstawiciela do komisji oświatowej. Rekomendację z ramienia BTS-K otrzymała p. Tamara Rusaczyk, wizytator szkół z nauczaniem języka białoruskiego. Merytorycznie kandydatura ta nie budzi, oczywiście, zastrzeżeń, niemniej powstał problem, co zrobić w sytuacji, kiedy dla mniejszości białoruskiej w komisji wspólnej przewidziano jedno miejsce, a Białoruskie Towarzystwo spóźniło się ze zgłoszeniem kandydatur co najmniej o półtora roku? Urzędnicy Ministerstwa Edukacji Narodowej zachowali się w sposób raczej dziwny. Otóż na początku grudnia rozesłali po raz kolejny pismo do wszystkich organizacji białoruskich, w którym czytamy m.in.:

„Ostatnio, tj. w dniu 6.12.1996 r. do Ministerstwa Edukacji Narodowej wpłynęło pismo Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego zawierające wniosek, by do prac Komisji zaprosić Panią Tamarę Rusaczyk jako przedstawiciela mniejszości białoruskiej.

Ponieważ w składzie sześciuosobowej Komisji jest przewidziane tylko jedno miejsce dla przedstawiciela mniejszości białoruskiej, Ministerstwo Edukacji Narodowej uprzednie prosi o decyzję odnośnie wniosku Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Sprawę prosimy traktować jako bardzo pilną, bowiem najbliższe posiedzenie Komisji jest zaplanowane na 16-18 grudnia br.

Brak odpowiedzi na nasze wystąpienie będziemy traktować jako akceptację wniosku Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego”.

Oczywiście nikt nie poinformował wcześniej pełnoprawnego w końcu, członka wspólnej komisji, pana Eugeniusza Wappę, że w związku z pismem Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego przestaje być członkiem komisji. Ale to mniej ważny aspekt sprawy. Znacznie ważniejszy jest fakt, że tego typu pisma z urzędów państwowych stawiają pod znakiem zapytania lojalność tychże urzędów względem obywateli: przecież były na pewno już wcześniej jakieś pisma, jakieś terminy, jakieś zobowiązania, które po jednym piśmie Białoruskiego Towarzystwa zostały wrzucone do kosza. I ta stylistyka: „Brak odpowiedzi na nasze wystąpienie będziemy traktować jako akceptację...” Na marginesie dodam, że w podanych przez Ministerstwo terminach odpowiedzieć nie było można, a to ze względu na fakt, że list z Warszawy do Białegostoku „idzie” około tygodnia.

Z czym mamy w tej sprawie do czynienia: z beztroską urzędników, bałaganem czy świadomym lekceważeniem wcześniej podjętych zobowiązań. Cokolwiek by to nie było, nie najlepiej świadczy o pracy Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Stan niemożności, chaosu instytucjonalnego jeszcze bardziej jest widoczny, kiedy popatrzeć na to, co się dzieje w sprawach ukraińskich. A rok 1997 będzie przecież dla mniejszości ukraińskiej w Polsce wyjątkowy, bowiem przypada w nim pięćdziesiąta rocznica akcji „Wisła”, w czasie której przesiedlono Ukraińców z Polski południowo-wschodniej na ziemie północne i zachodnie. Wysiedlenie z 1947 roku zdecydowanie miało historię ukraińskiej wspólnoty po wojnie. Magia okrągłych rocznic jest taka, że w tym roku Ukraińcy w sposób szczególny będą oczekiwać jakiejś reakcji na swoje od lat powtarzane postulaty dotyczące likwidacji skutków wysiedlenia. Niestety po stronie władzy, jak na razie, nie widać specjalnego entuzjazmu do zajęcia się tym problemem. Problem jest nadzwyczaj skomplikowany i trudny, niemniej dopóki nie zacznie się nad nim pracować, dopóty żadnych

efektów nie będzie. Wchodzą tu w grę kwestie majątkowe: zwrot w naturze lasów i ziemi, tam gdzie obecnie jest to jeszcze możliwe, tam gdzie jest to niemożliwe pojawia się problem rekompensat. Następną sprawą jest kwestia byłych więźniów Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie, gdzie w latach 1947-49 więziono ludność ukraińską, podejrzaną o kontakty z Ukraińską Powstańczą Armią, w wielkiej części bez wyroków sądowych. Prokuratura katowicka, która badała sprawę obozu skonstatowała, że w obozie tym dokonywano zbrodni przeciwko ludzkości na ukraińskiej ludności cywilnej. Orzeczenie to stało się podstawą do starań, które podjął Związek Ukraińców w Polsce, by więźniom Jaworzna nadać uprawnienia kombatanckie, zgodnie z ustawą o kombatanach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego z 24 stycznia 1991 roku (*Dziennik Ustaw*, nr 17, poz. 75). Sprawa utknęła gdzieś między Główną Komisją Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu a Ministerstwem Sprawiedliwości.

W kontekście tego generalnego problemu, jakim jest kwestia akcji „Wisła”, inne bolączki polskich Ukraińców schodzą na plan dalszy, co nie oznacza, że są to sprawy mało istotne. Na kompleksowe rozwiązanie oczekuje na przykład sprawa pomników ukraińskich w Polsce. Problem ten dotyczy nie tylko mogił i pomników żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii, ale również mogił ukraińskiej ludności cywilnej, która zginęła podczas walk z polską partyzantką bądź z oddziałami milicji, wojska czy Urzędu Bezpieczeństwa oraz kwestia cmentarzy żołnierzy Ukraińskiej Republiki Ludowej (do chwili obecnej odrestaurowano z pomocą władz lokalnych jedynie cmentarz w Aleksandrowie Kujawskim), którzy najpierw byli sojusznikami Marszałka Piłsudskiego, a po traktacie ryskim zostali w Polsce internowani.

Kiedy postronny obserwator przygląda się temu co działo się w ukraińskim środowisku w 1996 roku, to trudno oprzeć się wrażeniu, że niektórzy urzędnicy uważają, że ciągle tu za mało problemów, więc trzeba jeszcze przytoczyć kilka innych. Tak jest na przykład z tablicą pamiątkową Nikifora Krynickiego. Otóż działacze Zjednoczenia Łemków postanowili zafundować ku czci znanego malarza prymitywisty tablicę w języku polskim i ukraińskim z myślą, by zawisła na budynku,

gdzie mieści się muzeum Nikifora. Tablica zawiera podobiznę malarza, prawdziwe nazwisko i imię (Epifanij Drowniak), powszechnie znany pseudonim (Nikifor Krynicki) oraz daty urodzenia i śmierci. I tu zaczęły się problemy i korowody. Okazało się, że nic nie jest pewne: ani kiedy Nikifor się urodził, jak się naprawdę nazywał, ani, że Nikifor i Drowniak to jedna i ta sama osoba, a na domiar złego na tablicy napis po ukraińsku wyprzedzał ten w języku polskim. Pomimo, że przedstawiciele Zjednoczenia Łemków odbywali narady z przedstawicielami różnych instytucji i władz, dopiero po ponad rocznych staraniach stanęło na tym, że trzeba sądownie ustalić dane personalne krynickiego mistrza. Sprawę do sądu miał wnieść ukraiński poseł Mirosław Czech. Póki co, sprawa stoi w miejscu. A wszystkich tych problemów można by uniknąć, gdyby urzędnicy wykazali trochę dobrej woli, a w szczególności nie traktowali tablicy jako urzędowej, lecz zgodnie z zamysłem jako pamiątkową. Niemniej ktoś uznał, że jest to tablica urzędowa i nie ma odwołania.

Nie ma odwołania, jak się okazuje tylko w niektórych wypadkach, bowiem, pomimo, że kilkakrotnie zapewniano polskich Ukraińców (m.in. czynił to wiceminister kultury i sztuki Michał Jagiełło), że kopuła na byłej katedrze grekokatolickiej w Przemyślu (obecnie kościół św. Teresy) nie będzie zdemontowana, kopuła w ubiegłym roku zniknęła z pejzażu miasta. Przeciwko rozbiórce kopuły zaprotestowały stowarzyszenia historyków sztuki i konserwatorów zabytków (Towarzystwo Opieki nad Zabytkami, Polski Komitet Narodowy Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków, Stowarzyszenie Historyków Sztuki, Stowarzyszenie Konserwatorów Zabytków, Główna Komisja Ochrony Zabytków), niezwykle oburzony był również generalny konserwator zabytków, który mówił, że w tej sprawie złamano prawo i zapowiadał wyciągnięcie konsekwencji służbowych w stosunku do konserwatora przemyskiego, który wydał zgodę na demontaż kopuły. I co? I nic. Nic się nie stało. Konserwator przemyski Marek Gosztyła pełni do dziś swoją funkcję, zaś wiceminister kultury i sztuki Tadeusz Polak, w czasie swojego pobytu w Przemyślu stwierdził, że rozbiórki dokonano zgodnie z prawem.

I znów pytanie: zła wola, bałagan, chaos decyzyjny, z

czym w tym przypadku mamy do czynienia? Kto odpowiada za stan, w którym jeden wiceminister mówi jedno, a drugi – zresztą z tego samego resortu – co innego. Winnego w zaistniałej sytuacji nie widać. Zresztą jak może być inaczej jeżeli w rządzie tak naprawdę nikt nie koordynuje polityki państwa wobec mniejszości narodowych. Przez cały miniony rok trwały dyskusje, wywołane dezyderatem sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych (Komisja domagała się w nim powołania komisji rządowej, która koordynowałaby politykę narodowościową państwa), nad tym kto i w jaki sposób ma odpowiadać za politykę narodowościową: pełnomocnik rządu czy może jakaś rządowa komisja. Wydawało się, że sprawa ruszy z miejsca. Niestety nic takiego się nie stało. Żadne decyzje nie zapadły i wygląda na to, że wraz z nowym rokiem dyskusja zacznie się od nowa, pojawiły się bowiem pogłoski, że premier Cimoszewicz zamierza jednak powołać swojego pełnomocnika.

W tej sytuacji nie ma więc co marzyć, by w ogóle ktośkolwiek zajmował się działaniami edukacyjnymi i na rzecz tolerancji. A stan wiedzy społeczeństwa polskiego na temat mniejszości narodowych nie jest zbyt wielki, zaś sympatia Polaków do nich jest jeszcze mniejsza. Pokazały to wyrażście badania z 1994 roku (Stosunek Polaków do przedstawicieli mniejszości narodowych mieszkających w Polsce. Komunikat z badań. CBOS, Warszawa, listopad 1994). Nic więc dziwnego, że przy niewielkiej wiedzy naszego społeczeństwa o mniejszościach narodowych bardzo łatwo wywołać od czasu do czasu jakąś antymniejszościową histerię, strasząc nacjonalizmem, mniejszościowym zagrożeniem czy czymś podobnym.

Miniony rok był raczej dobry chyba tylko dla mniejszości niemieckiej na Opolszczyźnie. Zasluga to przede wszystkim urzędującego bodajże od siedmiu lat wojewody Ryszarda Zembażyńskiego, który po trudnych początkach prowadzi od kilku lat bardzo rozsądną i wyważoną politykę wobec Niemców mieszkających na Opolszczyźnie. Zresztą gwoili sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że Zembażyński jest w ogóle bardzo sprawnym urzędnikiem i menadżerem. Z punktu widzenia obecnej koalicji ma tylko jedną wadę: nie jest jej członkiem. Jesienią ubiegłego roku opolscy działacze Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej postanowili ten błąd

naprawić. Nie bacząc na ewidentne zasługi wojewody Zembażyńskiego dla rozwoju regionu oraz na jego wyjątkową rolę w utrzymaniu spokoju społecznego, złożyli wniosek do Urzędu Rady Ministrów o jego odwołanie. Czy działaczom SLD-owskim w tej sprawie chodziło tylko o otrzymanie jeszcze jednego stanowiska czy też miała tu swoje znaczenie otwarta polityka wojewody wobec mniejszości niemieckiej pozostaje kwestią otwartą. Niemniej niektórych obserwatorów życia politycznego Opolszczyzny zastanowił fakt, że właśnie wtedy, kiedy działacze Socjaldemokracji składali wniosek o odwołanie wojewody, w prasie regionalnej pojawiły się ataki na niego, w których oskarżano go o zbyt liberalne podejście do sprawy pomników niemieckich. Wtedy zamach na wojewodę się nie powiódł, ale czy w ramach przedwyborczych porządków wojewoda, zapewniający bardzo rozsądną politykę wobec mniejszości niemieckiej nie zostanie wyrzucony, pozostaje sprawą otwartą.

Jedynym właściwie miejscem, gdzie postulaty środowisk mniejszościowych mogą spotkać się z przychylnością, jest Sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych, która w związku z tym zajmuje się głównie działaniami interwencyjnymi. Sięgając do utartych metafor można ją określić mianem strażaka, który pędzi od pożaru do pożaru. Cierpi na tym jej działalność długofalowa, a w szczególności praca nad projektem ustawy o prawach osób należących do mniejszości narodowych. Przez pierwsze dwa lata funkcjonowania obecnego parlamentu podkomisja, która została powołana do przygotowania projektu takiej ustawy, niemal nie przejawiała żadnej aktywności i to pomimo, że jej przewodniczącym został reprezentant mniejszości niemieckiej, poseł Henryk Kroll. W miarę upływu czasu podkomisja ożywiła się, ale nie jest jasne czy przed końcem kadencji będzie wypracowany dobry projekt ustawy o prawach osób należących do mniejszości narodowych, a o jej ewentualnym uchwaleniu raczej nie ma mowy.

Obraz polityki narodowościowej ostatniego roku nie jest budujący, nie zmienia tego nawet fakt, że na potrzeby organizacji narodowościowych przyznano trochę więcej pieniędzy, bo tak czy owak pieniędzy zawsze będzie za mało, a bez długofalowej wizji (np. rozwoju mniejszościowej oświaty, kultu-

ry, działań na rzecz tolerancji) nie będzie można mówić w ogóle o istnieniu jakiegokolwiek polityki narodowościowej. Wkrótce Polska przeżyje kolejne wybory parlamentarne. Pozostaje wierzyć – chociaż jest to trudna wiara – że będzie on bardziej dla mniejszości narodowych sprzyjający.

Styczeń 1997

BORUTA

Los archiwum Jerzego Stempowskiego

Wertując katalog warszawskiego Domu Aukcyjnego UNICUM z 14 grudnia 1996 roku, w dziale Varia znajdujemy następującą pozycję: „Korespondencja Marii Dąbrowskiej z Jerzym Stempowskim z lat 1936-1964”. Zbiór, jak się dalej dowiadujemy, składa się z 15 listów Dąbrowskiej do Stempowskiego, „najczęściej odręcznych, przeważnie bardzo obszernych i 19 listów Stempowskiego do Dąbrowskiej, w maszynopisie lub odręcznych, różnej objętości (do 6 stron maszynopisu)”. Ponadto w zbiorze znajdują się listy adresowane do Stempowskiego od takich osób jak: Anna Kowalska (4 listy), Stanisław Lorentz, Wiktor Woroszyński, Kazimierz Wyka, ponadto telegram Jana Nowaka-Jeziorańskiego donoszący o śmierci Marii Dąbrowskiej. Lista cennych łupów wystawionych na sprzedaż na tym się nie kończy. Obejmuje jeszcze: notatkę odręczną Dąbrowskiej potwierdzającą przekazanie Stempowskiemu dzienników i określającą warunki depozytu i przyszłej publikacji. Zbiór uzupełnia 8 fotografii autorki „Nocy i dni”. Charakterystyka wystawionego na sprzedaż zespołu uzupełniona została notatką: „Oferowany do sprzedaży zbiór stanowi część archiwum dziejów życia umysłowego w Polsce XX w., o znaczeniu które trudno przecenić”. Przecenić trudno, ale wycenić trzeba. Cały zespół oszacowany został na 15 tysięcy zł, a więc ponad 4 tysiące dolarów (najwyższa suma w katalogu obejmującym blisko tysiąc książek, grafik i rysunków). Autor notatki ucieka się do

metaforycznego określenia „archiwum dziejów życia umysłowego”, ale milczy o proveniencji rękopisów wielkich pisarzy. Ktokolwiek bliżej interesował się Jerzym Stempowskim, nie może mieć wątpliwości, że ten duży zespół listów pochodzi z jego archiwum w Bernie. Jaką drogę odbył między berneńską Burgerbibliothek a Warszawą? O tym katalog Domu Aukcyjnego UNICUM nie mówi nic. Wątpię, abyśmy się kiedyś tego dowiedzieli.

Ponieważ jednak epistolografia wielkich pisarzy polskich XX wieku jest częścią ich artystycznej spuścizny, los listów Marii Dąbrowskiej i Jerzego Stempowskiego nie może nam być obojętny. Listy, których autografy zostaną sprzedane na licytacji, są ich jedynymi istniejącymi egzemplarzami. Sprzedane prywatnemu kolekcjonerowi, mogą zniknąć na dziesiątki lat. Przechowywana w Bibliotece warszawskiego Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza i w Burgerbibliothek korespondencja Dąbrowskiej i Stempowskiego niebawem być może zostanie wydana, ale zabraknie w niej kilkudziesięciu listów skradzionych przed laty w Bernie, a dziś wystawionych na sprzedaż.

Stempowski dbał o swoje archiwum. W ciągu prawie trzydziestoletniego pobytu w Bernie składał wszystkie listy adresowane do siebie, a także zachowywał bruliony niektórych własnych listów, choć systematycznie kopii, niestety, nie robił. W grudniu 1967 roku pisał do Jerzego Giedroycia: „Od 1940 co miesiąc składałem – dla uprzątnięcia stołu – moją korespondencję do koperty, którą umieszczałem w jednej z niezliczonych szaf ściennych starego domu. Latem, czując się bliski śmierci, postanowiłem przejrzeć te papiery, zniszczyć niepotrzebne i uporządkować pozostałe. [...] Wynikiem było koło 150 dossiers w 45 kartonowych pudełkach foliowego formatu, 10 cm wysokości”. Te pudełka kryją setki listów emigrantów: uczonych, polityków, pisarzy; znanych i nieznanych; wielkich epistolografów i autorów prostych świadectw emigranckiego losu.

Po śmierci pisarza archiwum, zgodnie z jego wolą, zostało przez wykonawców testamentu, państwa Dieneke i Henri Tzautów, zdeponowane w Burgerbibliothek w Bernie. Stempowski zastrzegł dwudziestoletni okres karencji. Trzeba tu podkreślić absolutną lojalność państwa Tzautów, wieloletnich przyjaciół pisarza, którzy w ostatnich latach jego życia udzielili mu schronienia we własnym domu. Archiwum – zgodnie z wolą eseisty – przekazali w całości berneńskiej bibliotece.

Wiele wskazuje na to, że listy, które dziś co kilka miesięcy wypływają na licytacjach bibliofilskich w Warszawie, zostały wykradzione z Burgerbibliothek po tym, jak w roku 1989 archiwum stało się dostępne dla zainteresowanych.

Straconych archiwaliów już nie odzyskamy. Dyrekcja Burgerbibliothek zapewne wie o kradzieżach listów z archiwum Stempowskiego i przedsięwzięła stosowne środki ostrożności. Nie rozwiązuje to jednak problemu spuścizny po Jerzym Stempowskim. Jego rękopisy znajdują się obecnie w kilku miejscach: największy zbiór posiada Burgerbibliothek; przedwojenne manuskrypty przechowuje Dział Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Uniknęły one zniszczenia w czasie wojny w mieszkaniu Marii Dąbrowskiej i Stanisława Stempowskiego na ul. Polnej 40 w Warszawie. Pokazny zbiór epistolografii eseisty znajduje się w Archiwum Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, w tym korespondencja z Dąbrowską. Listy Stempowskiego są wreszcie w posiadaniu licznych kolekcjonerów, którzy otrzymali je od adresatów. Jest wreszcie nieznannej wielkości partia archiwaliów ukradzionych z Burgerbibliothek, która krąży na rynku antykwarycznym. Nie ulega wątpliwości, że należy dążyć do sprowadzenia archiwum berneńskiego Stempowskiego do kraju i połączenia go ze zbiorami Działu Rękopisów BUW, gdzie pamiątki po rodzinie Stempowskich i manuskrypty eseisty otoczone są fachową i troskliwą opieką. Berneńska Burgerbibliothek nie ma pracowników przygotowanych do uporządkowania zbiorów. Prócz kilku języków słowiańskich konieczna jest bowiem orientacja w historii Polski i całej Europy Wschodniej, a także wiedza o dziejach emigracji powojennej, nie mówiąc już o biografii i twórczości samego Jerzego Stempowskiego. Takimi kompetencjami dysponują pracownicy Działu Rękopisów BUW.

Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego poczyniła już wstępne kroki, aby przejąć berneńskie archiwum Stempowskiego. Starania te winny być jednak poparte przez władze polskie. Los bezcennych manuskryptów najwybitniejszych pisarzy polskich XX wieku, manuskryptów do tej pory nie wydanych, zależy od szybkiej reakcji kompetentnych władz: Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Los listów Marii Dąbrowskiej i Jerzego Stempowskiego, poniewieranych dziś po licytacjach, powinien być dla nas przestrogą.

Andrzej Stanisław KOWALCZYK

O religii bez namaszczenia

Polskie błędne koło

(SPOJRZENIE Z WIECZNEGO MIASTA)

Upłynęło 25 lat od ukazania się na łamach *Kultury* mej pierwszej korespondencji z Rzymu i Watykanu. Obok blasków ta współpraca miała również i cienie, wynikające ze specyfiki problematyki watykańskiej, rzutującej na polskie realia, a której „przekładnia” jak się kiedyś wyraził w naszej rozmowie b. minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski – „do naszych kręgów politycznych nie funkcjonuje”. Doceniając zainteresowanie red. Giedroycia dla tej problematyki, po dłuższej przerwie powracając, mam dać odpowiedź na „zarzuty stawiane Kościołowi w Polsce w dziedzinie politycznej”.

Najpierw kilka uwag wstępnych. Uważam za wskazane sprecyzować, iż trzeba się wystrzegać utożsamiania – co zdarza się przedstawicielom środowisk polskiej inteligencji i czego echa znajduję na łamach *Kultury* – stanowiska Stolicy Apostolskiej z linią postępowania Kościoła instytucjonalnego w Polsce w sprawach społeczno-politycznych (dotyczy to oczywiście każdego Kościoła lokalnego). Dla prawidłowego stosunku do tej dziedziny jest ponadto rzeczą istotną unikanie tak często spotykanego zjawiska identyfikowania stanowiska Kościoła, jako takiego, z wystąpieniami poszczególnych biskupów czy kapłanów. Zdarzają się im przecież również rozmaite potknięcia, co należy sprowadzać do czysto ludzkich niedostatków, a czego nie potrafi rozeznaczyć opinia publiczna, padająca zresztą nieraz ofiarą dezinformacji lub manipulacji.

Jedynym sprawdzianem oceny działalności Kościoła są listy pasterskie i deklaracje Konferencji Episkopatu. Trzeba więc odróżniać spojrzenie na las od poszczególnych drzew. U podłoża zaś wszelkich braków i niedomagań – właśnie w „dziedzinie politycznej” od przełomu 1989 r. – tkwi tendencja do wykorzystywania Kościoła dla doraźnego, politycznego wyłącznie użytku. Tej pokusie ulegają różne ugrupowania a przyczyniają się do tego stanu rzeczy nieraz sami duchowni. Katolickie elity intelektualne nie mogą skądinąd pogodzić się z utratą swej wiodącej do niedawna roli w społeczeństwie i kwestionowanej dziś funkcji, ongiś uprzywilejowanej w życiu Kościoła.

Przechodząc do próby diagnozy aktualnej sytuacji na tzw. odcinku kościelnym, trudno mi wchodzić w szczegółową analizę najczęściej poruszanych, kontrowersyjnych epizodów. Red. Giedroyc wymienia często działalność Radia Maryja, spór o prawosławny klasztor w Supraśli i ponowne zgryzoty dotyczące grecko-katolickiej katedry w Przemyślu. W tych dwóch ostatnich przypadkach odpowiedzialność jest w prawdzie rozłożona pomiędzy rząd i trzy ośrodki wyznaniowe, ale tam gdzie chodzi o mniejszość etniczną lub wyznaniową ciąży ona przede wszystkim na stronie polskiej, niezależnie od historycznych zawikłań. Stroną w sporach są ponadto nie tyle biskupi, przejawiający dobrą wolę (jak wykazują fakty), ile odnośne zgromadzenia zakonne – bazylianów wzgl. karmelitów, zasklepione we własnych racjach i cieszące się dużą autonomią. Spór w Supraśli został nb. rozstrzygnięty zgodnie z rewindykacjami Kościoła prawosławnego w Polsce. Co się natomiast tyczy Radia Maryja, tak jak i innych, niektórych katolickich środków przekazu, budzi zastrzeżenia (wiadoma jest nb. otwarta krytyka niektórych kompetentnych przedstawicieli episkopatu) kwestia agresywnego języka, uprawianego w polemice nie tylko z postkomunistami, ale i krytycznie nastawionymi kręgami katolickiej społeczności. Zacie trzewienie na pewno nie licuje z chrześcijańskim stylem postępowania i po prostu z regułami demokratycznej kultury współżycia. Jeden z wybitnych biskupów-ordynariuszy, przyznając rację tym powtarzającym się zastrzeżeniom, powiedział mi: „kiedy zwracam im uwagę (tzn. redaktorom) na potrzebę zmiany stylu, odpowiedź brzmi, że chcą i oczę-

kują tego odbiorcy”. A gdzie podziała się głoszona funkcja wychowawcza prasy i środków audiowizualnych? Powinna chyba być wypełniana zwłaszcza przez media przynajmniej do katolicyzmu. Nie można jednak abstrahować od ujawnionych w tej materii, aczkolwiek w zasadzie trudnych do zaakceptowania, ludzkich oczekiwań. Tkwią w nich bowiem często bolesne doświadczenia i nagromadzone cierpienia, jakich doznał poważny odłam wiernych w czasach PRL-u. Istnieje zatem coś, co można określić jako nie-uświadomioną potrzebę kompensacji. Ta okoliczność łagodząca nie zwalnia oczywiście od odpowiedzialności za funkcję wychowawczą, jaką powinni sprawować duchowni i świeccy przedstawiciele elit. Tymczasem mamy do czynienia z ich nieprzygotowaniem do nowych zadań w zmienionych warunkach społecznych, wymagających w pierwszym rzędzie zerwania z dotychczasowym splotem religii i polityki, z fatalnym przemieszaniem tych dwóch wymiarów. Nie przeniknęło do tych elit (i do dużego odłamu społeczeństwa), a więc tym bardziej do szerokich mas, wezwanie papieskie wskazujące na „umiejętność różnienia się, co oznacza również wzajemne uzupełnianie się”. Upatrywanie natomiast wszelkiego zła u przeciwnika, zarówno ex-czerwonego jak różowego, stanowi w gruncie rzeczy uchylenie się od własnej odpowiedzialności wbrew nakazom wiary.

Bardziej niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie, właśnie w zakresie wychowania do samoedukacji i pluralizmu „jesteśmy w sposób widoczny opóźnieni” – przyznają prywatnie liczni biskupi. Przypominam sobie nb., że już w 1990 r., arcybiskup Bronisław Dąbrowski, zasłużony, emerytowany sekretarz episkopatu, powiedział mi, że wprowadzić warunki były trudne, ale Kościół powinien był zawczasu pomyśleć o działaniu na rzecz formowania kadr do życia publicznego w wolnym państwie (czynili to biskupi i kapłani we Włoszech w okresie faszystów). To opóźnienie daje się dziś we znaki na każdym kroku również w akcji duszpasterskiej, jak się wydaje nadmiernie akcentującej „religię narodu” a nie „religię dnia codziennego”. Nie bierze się dostatecznie pod uwagę, że wśród wiernych jest przecież tyle osób zdeorientowanych, wręcz zagubionych, do których trzeba umieć trafić, tzn. unikać pogłębiania ich rozterek i lęków, do czego pośrednio

przyczynia się właśnie agresywny język! Należałoby natomiast położyć większy nacisk na stwarzanie atmosfery wzajemnej życzliwości. Nie jest to bynajmniej równoznaczne – czego obawiają się dzisiejsi rzecznicy „twardej mowy” – z przechodzeniem do porządku dziennego nad historycznie zweryfikowaną prawdą. Niestety, w przeciwieństwie do Vaclava Havla i czeskich liberałów, nie dokonano u nas wyraźnego aksjologicznego rozdziału epok, tzn. odcięcia się od dawnego systemu – co niekoniecznie musi oznaczać lustrację w sensie personalnych rozliczeń.

Oprócz odłamów społeczeństwa, uczulonych na rany zadane w przeszłości, jest rzeczą ważną zwracanie uwagi na odmienne reakcje młodych pokoleń, pozbawionych pamięci zbiorowej i indywidualnej o czasach PRL-u (nie pamiętających nieraz nawet stanu wojennego), a odznaczających się raczej nastawieniem pragmatycznym. Nie dociera do nich w skuteczny sposób przekazywane nauczanie społeczne Kościoła, którego upolityczniony profil i przyglądanie się smutnemu widowisku skłóconych i pod szyldem katolickim działających środowisk, skłaniają tym bardziej do bezkrytycznego przyjmowania socjotechnicznie nienagannego zachowania się nowych kadr rządzących. Zachodzi ponadto groźne zjawisko odsuwania się tych pokoleń od czynnego udziału w życiu publicznym.

Podsumowując te z konieczności syntetyczne spostrzeżenia o sytuacji niewątpliwie kryzysowej, w jakiej się znalazł zarówno Kościół instytucjonalny, jak i inteligencja katolicka, trzeba stwierdzić, że mamy do czynienia z nieodpowiednim, ogołoconym z reguł etycznych, używaniem daru odzyskanej wolności. Wskazuje na to nieraz Jan Paweł II, niestety niedostatecznie rozumiany, znany, i selektywnie odbierany. Nie mała w tym, rzecz prosta, „zasługa” środków masowego przekazu, które na ogół powierzchownie i wybiórczo traktują papieskie nauczanie i wypowiedzi, ignorując potrzebę dostarczania odbiorcom elementów pozwalających na prawidłową interpretację tych wystąpień i działań. „Wiele się mówi o słabej wciąż recepcji papieskiego nauczania, a nawet słabej znajomości tego, co Jan Paweł II mówi i pisze” – czytamy w miesięczniku katolickim *Więź* (grudzień 1996 r.).

Przechodząc do drugiej strony medalu: nie ulega

wątpliwości, że w nowej postkomunistycznej formacji mamy do czynienia w dużym stopniu z aprioryczną postawą antyklerykalną, nie mającą nic wspólnego np. ze zdrowym i sympatycznym antyklerykalizmem włoskim, wypływającym z trzeźwego poglądu na ludzkie niedomagania czy skłonności. Współczesna, otwarta postawa laicka, związana ze świeckim profilem państwa, stanowi dziś zjawisko normalne – w Polsce jednak wciąż jeszcze wywołuje irracjonalne, chorobliwe wręcz reakcje. Kiedy Prezydent Republiki Włoskiej, O.L. Scalfaro, wybitny prawnik, gorliwy katolik (były działacz Akcji Katolickiej), w czasie swej zeszłorocznej wizyty w Polsce nawiązał do koncepcji państwa świeckiego jako „domu dla wszystkich”, wierzących i niewierzących, wywołał krytyczny oddźwięk w kręgach katolickich. Był bowiem źle rozumiany, co nie przynosi zaszczytu tym kręgom jako świadectwa demokratycznej dojrzałości. W Polsce obowiązuje, w praktyce, schemat zacierający różnicę między laickością a laicyzmem, oznaczającym postawę zmierzającą świadomie do budzenia niechęci do Kościoła i katolicyzmu. Laickość czyli świeckość państwa natomiast, w przeciwieństwie do laicyzmu, oznacza kategorię neutralną w wymiarze prawnym, a w praktyce życia publicznego respektującą wartości religijne, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi, tak jak w Polsce czy Italii, wielka spuścizna chrześcijańskich tradycji kulturalnych i narodowych. I nie potrzeba bynajmniej do tego gwarancji ustawowych, o ile oczywiście rządzący w praktyce to dziedzictwo respektują. Lekcja włoska przydałaby się w tej mierze polskiej, nowej klasie politycznej. Ociąganie się z ratyfikacją konkordatu, mimo osładzających tę pigułkę wypowiedzi – sprzyjającym tej ratyfikacji – prezydenta Kwaśniewskiego i ministra spraw zagr. Rosatiego, wynika bardziej z gry przetargowej, aniżeli z upowszechnianego zarzutu, że Kościół dąży rzekomo do klerykalizacji, czy wręcz państwa wyznaniowego. Takiego zamysłu nie było i nie ma (byłoby nb. sprzeczne z linią przewodnią pontyfikatu i zasadniczym stanowiskiem Stolicy Apostolskiej), aczkolwiek zdarzają się niestety, po stronie kościelnej, wypowiedzi nieprzemyślane lub niezręczne, wywołujące więc skutki odwrotne od zamierzonych, mogące takie pozory stwarzać.

Postkomunistyczna formacja wykorzystuje znakomicie

wszelkiego rodzaju uchybienia lub zaniedbania, zarówno przedstawiciele Kościoła, jak i elit solidarnościowych, które jej same nieroztropnie argumenty serwują. I błędne koło tym samym, zamyka się. Kiedy rozmyślam o tej istniejącej współzależności pomiędzy wadami i niedomaganiem po jednej i drugiej stronie medalu, przypominam sobie pewną myśliwską metaforę z lat dziecińczych. Otóż kiedy ojciec pouczał mnie w okresie dorastania, użył następującego porównania: „pamiętaj o tym, że jeśli przeciwnik strzela do ciebie ślepymi nabojami, to nie reaguj, ale nie czyni nic takiego by go sprowokować do strzelania prawdziwymi”. Wynikająca stąd lekcja jest jasna: trzeba się koncentrować na własnych niedostatkach i nie ułatwiać zadania przeciwnikowi. Inaczej z błędnego koła trudno będzie się wydostać. Należy nb. brać pod uwagę, że czarne barwy w jakich przeciwnik bywa notorycznie odmalowywany, posiadają także białe plamy, a ci natomiast, którzy obnoszą swoją rzekomo niepokalaną biel, jakże często nie odznaczają się nieskazitelnością. Skądinąd niewinnych całkowicie policzyć można na palcach.

Przedstawicielom katolickiej inteligencji i duchowieństwa potrzebne jest dziś przede wszystkim poczucie realizmu. Oznacza to przyznanie się do własnych niedostatków, do zakorzenionych w zbiorowej mentalności relikwów PRL-u, a tym samym oznacza konieczność rozpoczęcia naprawy od rachunku sumienia. Podkreślają to, z rzadko dzisiaj spotykana odwagą, uczestnicy debat w cytowanym już wyżej miesięczniku *Więź*. Jest tam mowa o kryzysie wiary i wymogu pogłębienia zwłaszcza katolickiej postawy inteligencji. „Formacja chrześcijańskich elit solidarnościowych okazała się płytką w publicznym odbiorze” – brzmi *mea culpa* – „skandalem jest fakt, że ci, którzy powinni być autorytetem moralnym nie potrafili pokazać, że Kościół jest czymś więcej niż tylko jedną z partii politycznych”. W tym miejscu potrzebne jest pewne uzupełnienie: nieraz na pewno dobrymi chęciami napędzani, lecz nie wyrobieni i nie przygotowani do nowych zadań, niektórzy przedstawiciele duchowieństwa, dokonywali w praktyce tego utożsamiania. Dzisiaj następuje zbawienne otrzeźwienie, zrozumienie, że funkcja Kościoła w życiu społeczno-politycznym mieści się w innym wymiarze. A ci, którzy odeszli w ostatnich czasach od Kościoła? W wielu

przypadkach, ci „praktykujący niewierzący” potraktowali Kościół instrumentalnie, „jako bramę, z której się wychodzi gdy przestanie padać deszcz”, wskazał trafnie Andrzej Łapicki. W gruncie rzeczy – jak słusznie zauważa ks. Wiesław Niewęgłowski, krajowy duszpasterz środowisk twórczych – trudno nawet przypuszczać, że „odeszli, bo nigdy nie zaistnieli w Kościele w jego wymiarze duchowym, sakramentalnym”. Z drugiej strony, jeżeli chodzi o polityczny użytek przynależności do Kościoła, analogicznie zachowują się obecnie przedstawiciele ultraprawicowych ugrupowań.

Postulowane tu poczucie realizmu nakłada obowiązek racjonalnego myślenia i rozwiązywania sporów oraz świadomość, że w czasach kryzysu wiary – zresztą w skali międzynarodowej – trzeba nie tylko głosić chrześcijańskie wartości (często jedynie deklamowane), ale dawać im konkretne świadectwo w całej postawie. Stąd konieczność upowszechniania kultury współżycia poprzez dawanie dobrego przykładu i stosowanie metody perswazji, przekonania do własnej opcji, a nie narzucania jej i pretendowania, w dodatku, do perfekcji. Do przeciwnych europejskim obyczajom, sprzecznych z kulturą współżycia, należy polski zwyczaj lekceważenia formy, separowania jej od treści. A przecież forma to część składowa treści wystąpień czy politycznych inicjatyw, która często rozstrzyga wręcz o powodzeniu określonego przedsięwzięcia względnie jego fiasku. Bez usunięcia tej luki w kulturze współżycia naszych elit – co odnosi się szczególnie do naszej inteligencji – nie ma mowy o postępach kultury politycznej w pluralistycznym społeczeństwie. Nadrobienie braków w osobistej kulturze powinno stanowić zadanie przedstawicieli elit deklarujących przywiązanie do światopoglądu chrześcijańskiego. Tymczasem tą kulturą osobistą odznaczają się raczej przedstawiciele klasy politycznej, która objęła rządy w 1993 r. Opowiadał mi arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz, administrator apostolski europejskiej części Federacji Rosyjskiej, że kiedy w grudniu ub. r. prezydent Kwaśniewski przebywał z wizytą w Moskwie, podczas spotkania w kościele Niepokalanego Poczęcia, przemawiając do zgromadzonych rodaków, podkreślił wagę naszych polskich chrześcijańskich korzeni kulturowych i mądrze nawoływał do pojednania pomiędzy obydwojma

narodami i wyznaniem. Nawiązał na samym wstępie do wizyty w tym kościele, jak się wyraził, „mojego wielkiego poprzednika”. Abp Kondrusiewicz skomentował te słowa: „a który to poprzednik nie chciał mu podać nawet nogi po swej klęsce, o którą może mieć pretensje jedynie do siebie samego”. Wiem już z góry, że na taki czy inny podobny przykład rzecznicy prawicowej orientacji, obnoszący swój nieokrzesany katolicyzm, odpowiedzą lekceważąco i nawet drwiąco, że chodzi jedynie o zwykłą zręczność i przebiegłość. Niestety ta z góry zakładana reakcja świadczy o tym, że mamy wciąż do czynienia z przejawami czysto emocjonalnego, urażonego i w konsekwencji niemądrego reagowania, co automatycznie sprowadza się do nietolerancji. A ponadto, czy proces przeciwko intencjom przeciwnika może przynieść spodziewane rezultaty? To zjawisko obniżania na siłę zalet przeciwnika (nieraz chodzi nb. również o rywala w ramach tej samej czy podobnej opcji) stanowi specyficzny polski syndrom, uniemożliwiający wyjście z błędnego koła. Potrzeba przewyciężenia tego i innych syndromów związanych z relikdami wciąż jeszcze nie przeżytej epoki – jak zdarza mi się słyszeć na wyżynach watykańskich – jest równoznaczna z widzeniem prawdziwego zagrożenia w sobie samych. Inaczej nie znikną ze sceny życia publicznego odrodzonej Rzeczypospolitej grzechy główne takie jak: małostkowość, prywata, zachłanność, zacierzwienie, hipokryzja i swoista cenzura wobec rzeczy niewygodnych. Dla katolickich elit to spojrzenie we własne niedomagania i luki oznacza otwarcie ku wymianie doświadczeń i odmiennym tradycjom, co prowadzi do wzajemnego, duchowego i kulturowego wzbogacenia. Stanowi to nieodzowny warunek obrony imponderabiliów wiary i własnej tożsamości. Tylko wtedy bowiem ta obrona może okazać się skuteczna.

Rzym, 15 lutego 1997 r.

Dominik MORAWSKI

Sąsiedzi

Litwa po wyborach

O wyborach na Litwie, które uważni obserwatorzy skłonni są traktować jako „prawybory” dla Europy Środkowej, wiadomo już wszystko. Wiadomo, że wygrała umiarkowana (jak na standardy litewskie! – o tym także warto pamiętać) prawica. Konserwatyści i chrześcijańscy demokraci będą łącznie mieć 86 mandatów w 141-osobowym Sejmie. Rządząca od 1993 postkomunistyczna Litewska Demokratyczna Partia Pracy, z której wywodzi się prezydent Brazauskas, a która do wyborów miała w parlamencie bezwzględną większość teraz musi zadowolić się zaledwie 12 mandatami i nie jest nawet najważniejszą siłą w opozycji.

Progu 5% nie przekroczyło wiele drobnych, hałaśliwych partyjek litewskiej radykalnej prawicy, które łączy nacjonalizm i ksenofobia w sferze ideologicznej, skrajnie aekonomiczny socjalizm w poglądach na gospodarkę, równa niechęć do Rosji jak i podejrzliwość wobec Zachodu, przy okazji, najdelikatniej mówiąc, nieufność wobec Polski. Dzieli natomiast, na szczęście skutecznie, ambicje liderów.

Nie dostały się do Sejmu także Partia Chłopska, która w ubiegłorocznych wyborach samorządowych osiągnęła pewien sukces, ani Partia Kobiet popularnej, mimo że oskarżonej o współpracę z KGB byłej premier Kazimierzy Prunskiene. Z list obu partii kandydowali także, choć bez powodzenia, Polacy. Znany działacz samorządowy z Solecznik S. Simonowicz z Partii Chłopskiej i ówczesny minister budownictwa i urbanistyki Aldona Baranauskienė z Partii Kobiet. Ta ostatnia wprawdzie aktywnego udziału w życiu polskiej społeczności nie brała, ale zawsze, szczególnie wyraźnie w kampanii

wyborczej, przyznawała się do polskiej narodowości, podkreślając, że w paszporcie ma na własne życzenie wpisaną narodowość polską, co jak widać w karierze politycznej jej nie przeszkodziło.

Obie te partie, brane były przez LDPP pod uwagę jako ewentualny koalicjant po wyborach. Obydwie zawiodły, wspomnianego 5% progu nie przekroczyły, i jedynie ich liderzy (Prunskiene i Vaižmušis), którzy weszli do Sejmu z okręgów jednomandatowych, zasilili szeregi lewicowej części opozycji. W opozycji jest jeszcze część prawicowa, w której najpoważniejszą siłą jest Związek Centrum (liderzy: popularny, bo wciąż mówiący o konieczności walki z przestępczością i korupcją E. Biczkauskas, oraz równie popularny R. Ozolas, niegdyś skrajnie antypolski, ostatnio zajmujący się raczej wojną w Czeczenii i tropieniem afer ex-premiera Szlezeviciusa).

Do Związku Centrum w Sejmie dołączą zapewne pojedynczy przedstawiciele partii radykalnej prawicy, którzy mandaty zdobyli w okręgach jednomandatowych.

W kilka miesięcy po wyborach (ich pierwsza tura odbyła się 20 października, druga 10 listopada), już bez emocji, można spokojnie zastanowić się nad przyczynami takiego ich wyniku.

Rodzi się pytanie, czy konserwatyści (i inne postsajudisowskie ugrupowania), którzy ponieśli taką klęskę w wyborach w 1992 roku zdołali czymś uwieść litewskich wyborców jesienią 1996 roku? Otóż jak pokazują litewskie prawybory, w tej części Europy można czasem wygrać nie tyle przez powiększenie i uwiedzenie własnego elektoratu, co przez uśpienie elektoratu przeciwnika. Frekwencja była niska. W pierwszej turze wyborów 52%, w drugiej 37%. Tak więc połowa uprawnionych w ogóle nie głosowała. Tym razem nie poszedł głosować elektorat rządzącej Litewskiej Demokratycznej Partii Pracy. Nie poszedł zdaje się z dwóch powodów. Po pierwsze, partia którą poparł w 1992 roku nie spełniła jego oczekiwań. Nie uzdrowiła kołchozów, nie dała zatrudnienia pracownikom dużych zakładów, które produkować mogły i potrafiły tylko na rynek sowiecki, a ten przestał przecież istnieć. Nadając reformom „bardziej prospołeczny charakter” na tyle je spowolniła, że po 4 latach żadnej nie doprowadziła do

końca. Prowadząc je, mimo wszystko i tak zraziła sobie swój elektorat, który raczej tęsknił do dobrych, stabilnych czasów breżniewowskich (bo te znał) niż do pełnego ryzyka, nieznanego świata gospodarki wolnorynkowej, który objawiał się w dodatku w formie dzikiego, bezwzględnego kapitalizmu. Zniechęceni do swej partii, nie poszli przecież głosować na obcych im pod każdym względem konserwatystów, których skłonni byli obwiniać za zapoczątkowanie całego tego zła. Pozostali więc w domach. Nie udało się LDPP wyciągnąć ich z domów ani kolejnymi obietnicami, ani zwabić wypłacając tuż przed wyborami zaległe emerytury. Ten elektorat LDPP z domów mogli wyciągnąć tylko... konserwatyści. Zrobiliby to niezawodnie, gdyby do wyborów szli pod hasłami rozliczeń za okres sowiecki, z hasłami dekomunizacji, lustracji etc. Wówczas elektorat LDPP pognałby do urn i zagłosował na swoją partię. Nie z miłości do niej, ale ze strachu przed konserwatystami. Konserwatyści jednak w kampanii nikogo nie straszili. I to jest powód drugi, dla którego ten olbrzymi elektorat pozostał w domu. Litewska umiarkowana prawica wyciągnęła zdaje się słuszną lekcję z przegranej w wyborach w 1992 roku, kiedy to gwałtownie ubożającemu społeczeństwu w niedogranych domach (nie było surowców energetycznych i sieć ciepłownicza była nieczynna) oferowali jedynie hasła hurrra-patriotyczne na rozgrzewkę. W ostatnich wyborach najpoważniejsze partie prawicy nie afiszowały się z nachalnym patriotyzmem, nie mówiąc już o nacjonalizmie. (Nie można wykluczyć, że do tego ulubionego arsenału sięgną w jakiś czas po wyborach, zwłaszcza, gdy nie będą sobie radzić z kryzysem). Dystansowały się nawet z pewnym zażenowaniem od partii radykalnej prawicy, która w kampanii wyborczej sprzeciwiała się zgodzie na sprzedaż ziemi cudzoziemcom, pod hasłem obrony ziemi litewskiej, nieufnie traktowała Unię Europejską, widząc w niej konkurencję dla litewskiego rolnictwa, domagała się rozliczeń za okres sowiecki. Nic takiego nie głosili konserwatyści ani chrześcijańscy demokraci. Landsbergis zapewniał przed wyborami, a po wyborach powtórzył, że jego partia „będzie rządziła bez mściwości”, będzie prowadziła „politykę zgodną z wymogami demokracji i praworządności”. Nie było też mowy o żadnej dekomunizacji ani o lustracji. Ta ostatnia prowadzona przed

poprzednimi wyborami „na wyrwyki” wyeliminowała kilku znaczących polityków. W tej kampanii nikt już teczkami nie straszył. Nikt też nie dramatyzował np. z tego powodu, że Kazimiera Prunskiene, uznana swego czasu przez sąd za agenta KGB ps. „Szatria” kandyduje do Sejmu. Popularna mimo wszystko była premier gładko wygrała w swoim okręgu (przewagę 16% głosów) z przedstawicielem konserwatystów. Być może świadomość, że oskarżenie kogoś o agenturalność nie ma już teraz wpływu na jego popularność, spowodowała, że ten niegdyś użyteczny oręż odłożono do lamusa.

Na razie nic niestety nie wskazuje na to, aby polska prawica wyciągnęła jakiegokolwiek nauki z litewskiej lekcji. Strasząc nadzwyczajnymi trybunałami, lustracją, dekomunizacją, polska prawica mobilizuje jak na razie elektorat SLD, zniechęca zaś skutecznie bardziej umiarkowaną część swojego elektoratu.

Tymczasem litewscy konserwatyści i chadecy, którzy wspólnie utworzyli rząd, zapewniali, że będą sprawiedliwie rozstrzygać problemy socjalne, a równocześnie będą intensywnie kontynuować reformy. Zwalczają korupcję, uzdrawiać gospodarkę, naprawiać będą szkody, jakie poniósł kraj i gospodarka w ostatnich czterech latach. Dalej w przeszłość, jak mówią, sięgać nie będą.

Trudno spodziewać się nadzwyczajnie wielkich sukcesów litewskiej umiarkowanej prawicy w polityce wewnętrznej. Rolnictwo rzeczywiście nie tylko jest w złej kondycji, ale zdaje się dodatkowo na złej drodze. Kontynuowane rozdrabnianie (w związku z reprivatyzacją) pokółchozowej ziemi, nie bardzo zbliża rolnictwo litewskie do rolnictwa Unii Europejskiej. Wielkie zakłady przemysłowe nie mają ani z czego produkować, ani komu sprzedawać swojej produkcji. Korupcja rozprzestrzeniła się w administracji do rozmiarów ponoć większych niż za czasów sowieckich. Wtedy jeszcze, jak się powszechnie twierdzi, ten i ów bał się KGB, a teraz nikt już niczego się nie boi, a jak już, to raczej mafii niż policji. Szara strefa obejmuje kilkadziesiąt procent całej gospodarki. Podatki nie są płacone nagminnie.

Nowy rząd zapewne zacznie od uwolnienia kursu dolara, co już zapowiadano w kampanii wyborczej. Rzeczywiście kurs dolara (1 usd = 4 lity) utrzymuje się niezmienny od jesieni

1993 roku, przy rocznej inflacji lita rzędu trzydziestu procent. W związku z tym, nic na Litwie nie opłaca się produkować, a za to import jest tani. Jakie będą skutki społeczne tego pociągnięcia w kraju, gdzie ogromny procent obywateli żyje z pokątnego handlu i „walizkowego importu” przewidzieć trudno. Co jeszcze rząd zrobi? Jeśli sukcesów nie będzie, za cztery lata elektorat prawicy pozostanie w domu.

Wszystko wskazuje też na to, że żadnym zasadniczym zmianom nie ulegnie polityka zagraniczna Litwy. Histeryczna nieco antyrosyjskość Vytautasa Landsbergisa też skierowana była dotychczas, jak się wydaje, przeciw LDPP, której ówczesny przewodniczący opozycji zarzucał zbytnią ugodowość wobec Moskwy, niż przeciw tej ostatniej. Można więc przypuszczać, że ta antyrosyjskość ulegnie teraz stonowaniu. Dążenie do pełnego członkostwa w Unii Europejskiej i NATO pozostaną priorytetami nowego rządu Gediminasa Vagnoriusa. Tak zadeklarowany kierunek polityki zagranicznej wymuszać będzie między innymi uwzględnianie standardów europejskich także w kwestiach związanych z mniejszościami. Nie wyklucza to możliwości różnych antymniejszościowych zachowań poszczególnych urzędników różnego szczebla, wśród których, szczególnie wśród sympatyków prawicy, nie brak różnego rodzaju oszołomów i nawiedzeńców. Władze państwowe takich postaw popierać zapewne nie będą. Pytanie, na ile aktywnie będą je zwalczać, na ile mniej lub bardziej życzliwie tolerować. Już pierwsze tygodnie urzędowania prawicowego rządu przyniosły pierwszy taki incydent. Incydent tym poważniejszy, że wywołany przez ministra oświaty, Zigmąsa Zinkeviciusa. Nowy minister swe urządowanie rozpoczął nader niefortunnie, 17 grudnia udzielił wywiadu gazecie *Valstieciu Laikrasztis*, w którym zapowiedział likwidację nielitewskich szkół, a na dodatek ujawnił swe przekonanie, że ludzie niedostatecznie znający język litewski nie powinni być obywatelami Litwy. Warto przypomnieć, że na Litwie działa ponad 130 szkół z polskim językiem nauczania, są także szkoły dla mniejszości rosyjskiej. Podpisany w 1994 roku traktat polsko-litewski gwarantuje mniejszościom (polskiej na Litwie i litewskiej w Polsce) prawo do wykształcenia na koszt państwa, w języku ojczystym, do szczebla średniego włącznie. Realizacja zapowiedzi ministra

oświaty oznaczałaby złamanie traktatu. Nie wiem też, w jaki sposób, uruchamiając jakie mechanizmy prawne, chciałby min. Zinkevicius pozbawić obywatelstwa tych mieszkańców Litwy, którzy niedostatecznie opanowali język litewski (96% litewskich Polaków ma obywatelstwo litewskie, blisko 40% z nich litewski zna słabo albo nie zna go wcale).

Wprawdzie od wypowiedzi swego ministra odciął się premier Vagnorius, zapewniając, że nie takie jest stanowisko litewskiego rządu, to samo oświadczył minister spraw zagranicznych Saudargas, i później jeszcze kilkakrotnie powtórzył to w czasie wizyty w Warszawie, niemniej faktem jest, że ujawnione, choćby nawet niewykonalne, marzenia ministra oświaty są groźne. Nie wróży to łatwego życia oświacie polskiej na Litwie. Nie wróży dobrze współpracy polskich, apolitycznych organizacji oświatowych z litewskimi władzami. Ale przede wszystkim nie wróży to Litwie sukcesów w jej drodze do Unii Europejskiej i NATO.

Jeśli rząd litewski utrzymać potrafi dotychczasową politykę wobec mniejszości i potrafi skutecznie reagować na „wyskoki” swych urzędników (choćby w randze ministra oświaty) i jeśli nie dojdzie do jakiejś awantury z radykalnymi działaczami społeczności polskiej, którzy zawsze, i w każdej słusznej, a choć i niesłusznej, sprawie znajdują jakichś protektorów wśród środowisk politycznych w Polsce, wśród których nie brak ludzi o mentalności min. Zinkeviciusa, stosunki polsko-litewskie powinny pozostać przyjazne. Po ostatnich wydarzeniach w Mińsku i Moskwie, Litwa w sposób naturalny tym bardziej szukać powinna partnera w Polsce. O tym, że tak postrzega sprawę również Wilno, mówił w Warszawie minister spraw zagranicznych Saudargas, który jak sam przyznał, nie przypadkiem swą pierwszą zagraniczną wizytę złożył właśnie w Polsce.

Inna sprawa, że o awanturę z działaczami polskimi na Litwie, przy prawicowej litewskiej administracji będzie zdaje się łatwiej, niż bywało przez ostatnie 4 lata. Niestety kazus litewskiego ministra oświaty pokazuje, że nie są to jedynie rozważania abstrakcyjne.

Społeczność litewska w Polsce, choć też potrafi nieraz z wytrwałością udowadniać jak rzekomo bardzo jest dyskryminowana, jest nieliczna i nie ma aspiracji politycznych.

Sama z siebie zatem, zarzewiem konfliktu być nie może. Może natomiast znaleźć gorących (czasem nazbyt gorących) orędowników swej sprawy na Litwie, zwłaszcza wśród tamtejszej radykalnej prawicy.

Należy zatem wyrazić nadzieję, że obydwie rządy, ten w Warszawie i ten w Wilnie, potrafią zachować dobrą wolę w rozwiązywaniu problemów mniejszości (a jest tych problemów niemało) a równocześnie zachować dystans do poczynań swych najbardziej radykalnych rodaków za granicą. Jeszcze trudniejsze zadanie spoczywa na placówkach dyplomatycznych i konsularnych obu krajów, znajdujących się niejako na „pierwszej linii frontu”. Takt, umiar i rozsądek będą tu teraz niezbędne bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Niestety wygląda na to, że tego rozsądku zaczyna brakować. Wysłanie do Wilna w charakterze konsula generalnego człowieka, który (jeśli wierzyć dobrze na ogół w problemach rządzącej koalicji i MSZ zorientowanemu tygodnikowi *Nie*) jest emerytowanym pułkownikiem SB, jest tego braku rozsądku najlepszym przykładem. Co więcej, nowy konsul już zdołał się narazić nawet najbardziej Polsce przyjaznej części litewskiej opinii publicznej, wedle której zbyt ostentacyjnie zaangażował się w litewską przeciw kampanię wyborczą po stronie polskich radykałów z KPZR-owskim rodowodem. Obawiać się można, że osoba konsula, tak jak i jego działalność do budowania wzajemnego zaufania nie bardzo się nadaje. Ośmieszenie ostatnio przez media, nie bez udziału rzecznika polskiego MSZ, urzędującej w Wilnie Pani Ambasador, tak potrzebnego tam autorytetu naszej placówki nie przysporzyło. Brak jasnej koncepcji naszej polityki wschodniej skomplikowała dodatkowo uwikłana w przeszłość polityka kadrowa polskiego MSZ, którą na dobrą sprawę nie bardzo wiadomo kto kieruje: prezydencki minister Majkowski, czy wiceminister Wyzner. Jedno jest tylko pewne, że nie kieruje nią (ani w ogóle MSZ-em) *de nomine* minister spraw zagranicznych Rosati.

Wracając do mniejszości polskiej na Litwie. W ostatnich wyborach, Związek Polaków na Litwie reprezentowała Akcja Wyborcza Polaków na Litwie, która ma status partii politycznej, Kongres Polaków Litwy, mający nieporównanie mniej niż ZPL członków, zrzesza bowiem praktycznie tylko biznes-

menów i inteligencję, w wyborach tych nie startował samodzielnie. Kongres opowiadał się zawsze za celowością kandydowania Polaków z list partii litewskich. Na krótko przed wyborami została zarejestrowana nowa partia: Alians Mniejszości Narodowych, w którym obok Rosjan najliczniejszą grupę członków stanowią Polacy. Nawiasem mówiąc, z list hurra-patriotycznej Akcji Wyborczej Polaków na Litwie, obok Polaków kandydowali Rosjanie i Białorusini. Z list Aliansu, kandydowało m.in. dwóch najbogatszych Polaków na Litwie: Mieczysław Waszkowicz, właściciel ogromnej firmy „Volmeta” i Ryszard Litwinowicz, współwłaściciel firmy „Ardena”. Obydwaj znani są w polskim środowisku nie tylko z bogactwa (znaleźli się w pierwszej siódemce najbogatszych kandydatów do Sejmu) ale także z wspierania polskiego życia artystycznego i kulturalnego. Z listy Aliansu kandydowali także m.in. redaktor naczelny *Kuriera Wileńskiego* Cz. Malewski i dyrektor jednej z polskich szkół średnich w Wilnie Cz. Baranowski.

Ani Akcja Wyborcza, z list której kandydowali m.in. prezes ZPL Ryszard Maciejkaniec i przewodniczący Akcji Jan Sienkiewicz, ani Alians, nie przekroczyły 5% progu. Natomiast do Sejmu dwóch swoich kandydatów wprowadził Kongres. Jego przewodniczący, Artur Płoksztto zdobył mandat z listy LDPP (nie będąc jej członkiem) a Zygmunt Mackiewicz zdobył mandat z listy konserwatystów. W okręgu jednomandatowym, w drugiej turze mandat zdobył Jan Mincewicz, kandydat AWPL, były prezes ZPL.

W czterech okręgach jednomandatowych: nowowilejskim, wileńsko-solecznickim, wileńsko-trockim i trockim (i tylko w nich na całej Litwie!) frekwencja wyborcza była poniżej ustawowego minimum (40%) i wybory odbędą się tam za pół roku. Są to okręgi o najwyższym procencie ludności polskiej.

Swoją klęskę Akcja Wyborcza próbuje przedstawić jako „sukces w warunkach dyskryminacji”, tradycyjnie winą za wszystko obarczając Litwinów. AWPL wywodzi, że uzyskała wynik lepszy (2,96%) niż ZPL w 1992 (2,3%). Trzeba jednak pamiętać o trzech sprawach. Po pierwsze, Polacy wedle oficjalnych danych litewskich stanowią ok. 7,5% ludności Litwy, a różne środowiska kresowe w Polsce i sami

działacze polscy na Litwie często podkreślają, że procent ten jest znacznie wyższy. Po drugie, w 1992 roku na listach ZPL, jeśli nie liczyć jednej Białorusinki, byli sami Polacy. W konsekwencji na ZPL głosowali też sami Polacy. Na liście AWPL w 1996 obok Polaków, byli też Rosjanie i Białorusini. Tak więc na owe 2,96% głosów złożyły się obok głosów polskich, także głosy rosyjskie i białoruskie. Można zatem zasadnie powiedzieć, że w 1996 roku na listy AWPL głosowało mniej Polaków niż na listy ZPL w 1992 roku. Po trzecie wreszcie, powstały na krótko przed wyborami Alians, mający podobny z narodowego punktu widzenia elektorat jak i Akcja Wyborcza, zdobył od niej tylko o dziesiątki procenta mniej głosów, a jego kandydaci—Polacy w okręgach jednomandatowych, zbierali na ogół więcej głosów, niż kandydaci Akcji. Alians, w przeciwieństwie do Akcji, nie miał ani sieci w terenie, ani też własnej, w dodatku utrzymywanej z Polski gazety.

Tak czy inaczej, kandydaci obu ugrupowań (już po wyborach Alians Mniejszości Narodowych zmienił nazwę na Alians Obywateli Litwy, a na jego czele stanął Polak M. Waszkowicz), mają jeszcze realne szanse na zdobycie dodatkowych 2 a może nawet 3 mandatów w powtórzonych za pół roku wyborach. Gdyby liderom tych ugrupowań udało się porozumieć przed tymi wyborami i podzielić „strefami wpływów” w poszczególnych okręgach, a nawet udzielić sobie wzajemnie pomocy, zdobycie przez Polaków dalszych 3 mandatów byłoby pewne.

Akcja Wyborcza Polaków na Litwie odniosła natomiast niewątpliwie sukces propagandowy w Polsce, bowiem udało się jej wytworzyć przekonanie, że Polacy startują w wyborach tylko z jej list, a zatem porażka AWPL, to porażka wszystkich Polaków. W tym duchu wynik wyborów na Litwie relacjonowało wiele polskich mediów, w czym niestety Polska Agencja Prasowa ma także spory udział. Udało się jej też wytworzyć przekonanie, że marny wynik wyborów jest wyłącznie wynikiem rzekomo dyskryminacyjnej ordynacji wyborczej, która wprowadziła 5% próg i nie zwolniła z niego partii mniejszości narodowych, dyskretnie przemilczając, że połowę mandatów obsadza się w wyborach w okręgach jednomandatowych, a w tych okręgach, gdzie mandaty były dla

Polaków dosłownie w zasięgu ręki, ludzie po prostu nie poszli głosować.

Dokładna analiza przyczyn tego zjawiska pomogłaby działaczom polskim na Litwie ustalić nową, adekwatną do warunków strategię działania. Trzeba by jednak założyć, że stworzenie strategii innej niż dotychczasowa, polegająca na ciągłym szukaniu konfliktów z władzami i społeczeństwem litewskim i ciągle żądanie pomocy z Polski, jest oczywiście celem tych działaczy. Dotychczasowe doświadczenia każą jednak do takiego założenia podchodzić z najwyższą ostrożnością.

Jan WIDACKI

Rozmowa z Czesławem Okińczycem*

Andrzej CHRZANOWSKI: – *Panie Prezesie, Pan był wśród polityków, którzy podpisywali deklarację niepodległości Litwy. Niedawno odbyły się kolejne wybory parlamentarne. Jakby Pan ocenił obecną sytuację państwa litewskiego i sytuację polityczną na Litwie?*

Czesław OKIŃCZYC: – Wybory wygrała siła polityczna, która swego czasu ogłosiła niepodległość w państwie litewskim, która praktycznie rozpoczęła rewolucję w systemie całego Związku Sowieckiego i doprowadziła do rozpadu tego państwa. Jeśli Polska była tym pierwszym ogniwem, które zaczęło etap rozłamu politycznego w tej części Europy, to Litwa, jak zapewne wszyscy wiedzą, była tym państwem, które rozpoczęło kompletny rozłam Związku Sowieckiego. Z tym,

* Prezes polskiego radia „Znad Wilii”.

że wtedy walka była bardziej skuteczna niż następnie praca nad utrwaleniem tej niepodległości. I oczywiście ta euforia jak minęła, zaczęła się trudna, żmudna praca. Przede wszystkim zmiany gospodarcze. To tutaj oczywiście było widoczne, że nie mamy fachowców, ludzie nie są przygotowani do różnych opinii, przede wszystkim do pluralizmu politycznego i w związku z tym następne wybory, które odbyły się przed 4 laty, zakończyły się pełnym fiaskiem tych, którzy zmienili praktycznie system i na Litwie, i w Związku Sowieckim.

A.Ch.: – *To doświadczenie litewskie dla obserwatora z zewnątrz wygląda bardzo ciekawie. Ci, którzy niepodległość państwu litewskiemu przynieśli, przegrali wybory. I oto po czteroletniej kwarantannie ponownie wracają do władzy. Czy sądzi Pan, że dla partii obecnie rządzącej, dla tej koalicji, której przewodzi Landsbergis, ta kwarantanna, ta nauczka coś przyniosła? Jak w związku z tym może wyglądać rozwój sytuacji politycznej na Litwie w najbliższych latach i w ciągu tego pierwszego roku po wyborach?*

Cz.O.: – Ja bym chciał przede wszystkim ażeby przez cztery lata, w ciągu których Landsbergis i jego partia polityczna oraz siły stojące za nimi były w opozycji, wyciągnęły jak najdalej idące wnioski i teraz po przejęciu władzy nie zrobili tych samych błędów, które zrobiono cztery lata temu. Przede wszystkim Landsbergis ma zdecydowaną przewagę w Sejmie. Praktycznie jest w stanie sam zmieniać Konstytucję Republiki Litewskiej, zgodnie z naszym ustawodawstwem. Ważne jest, żeby on się nie zachłusnął takim ogromem władzy i nie zaczął popełniać błędów. Ważne jest, żeby miał dobrych doradców, żeby nie podejmował pochopnych decyzji, żeby ciągle wracał do tego okresu, kiedy stracił władzę. Żeby pamiętał, że o wiele trudniej jest utrzymać władzę, niż ją zdobyć. Jeżeli będzie postępował w taki sposób, ma szansę na odniesienie sukcesu. Z drugiej strony chcę powiedzieć, że zdecydowanie jakościowo jest dzisiaj lepsza partia konserwatywna. Są to ludzie, którzy nabrali doświadczenia walki politycznej w opozycji, którzy rozumieją, że na hasłach populistycznych daleko się nie pójdzie, którzy rozumieją, że między innymi Polska jest jednym z najważniejszych partnerów Litwy w jej

drodze do struktur zachodnioeuropejskich, do NATO, do Unii Europejskiej. Myślę, że naprawdę jest ogromna szansa, ale najważniejsze jest, ażeby głowa się nie zakręciła, ażeby pamiętać Landsbergis i całą jego ekipa, że popełnianie błędów jest nieuniknione. Największym zagrożeniem dla demokracji dalekiego rządu jest poczucie nieomyślności i to może przynieść negatywne skutki. I najgroźniejsze dla całej zmiany, która zachodzi.

A.Ch.: – *Doświadczenie litewskie wydaje się być takim zachęcającym, optymistycznym doświadczeniem. Młode państwo, młoda demokracja, brak utrwalonych struktur, brak podstawowych doświadczeń, typowych dla społeczeństw o utrwalonej, długiej kulturze demokratycznej. W dodatku ogromne problemy gospodarcze, a jednocześnie takie właśnie normalne, wydawałoby się według wszelkich reguł demokratycznych, zmiany. Jak na młodą demokrację, jak na wszystkie okoliczności wewnętrzne i zewnętrzne wydaje się, że jest to w sumie ogromnie pozytywne. Jak Pan ocenia w kontekście polityki litewskiej sytuację społeczności polskiej?*

Cz.O.: – To jest pytanie bardzo złożone. Przede wszystkim zależy nam na dobrych stosunkach polsko-litewskich. Jeżeli te stosunki będą dobre, będą rozwijały się na wszystkich płaszczyznach: politycznej, ekonomicznej, oświaty, kultury.

A.Ch.: – *Która z tych płaszczyzn obecnie jest, Pana zdaniem, najbardziej rozwinięta?*

Cz.O.: – Myślę, że najwięcej jest kontaktów politycznych i gospodarczych. Z tym, że gospodarcze kontakty są na razie na poziomie ogólnopaństwowym. Inwestycji, przenikań litewskich i polskich jest jeszcze ciągle za mało, ale wydaje mi się, że przede wszystkim w Polsce biznesmeni zbyt ostrożnie patrzyli na Litwę, jak to się będzie rozwijało, na cały bieg wydarzeń. Teraz już coraz bardziej widać, że Litwa to normalny kraj, gdzie zmiany gospodarcze odbywają się zgodnie z zasadami gospodarki rynkowej. Gorzej, lepiej, z pewnymi trudnościami, ale jednak niezależnie od tego, że

lewica była u władzy – chociaż to też jest moim zdaniem bardzo trudne do określenia, czy tak naprawdę była to partia lewicowa. Wydaje mi się, że była to prawdziwa partia kapitalistyczna, która prowadziła zmiany gospodarcze takie, jakie funkcjonują na Zachodzie normalnie. Dlatego jest bardzo ważne, żeby coraz więcej firm polskich było na Litwie, a litewskich w Polsce. I tu chcę podkreślić bardzo ważny element, który z jednej strony jest ważny dla samego faktu, że coś takiego się dzieje, a z drugiej strony to jest jakby taki zwiastun normalizacji, nie tyle stosunków polsko-litewskich, ile zdecydowanej stabilności sytuacji gospodarczej na Litwie. To fakt, że pierwszy polski bank już wkrótce otworzy tu swój oddział. Zezwolenie otrzymał i na wiosnę przyszłego roku bank podejmie działania. Będzie to pierwszy bank zagraniczny, który otworzy tu swój oddział. I moim zdaniem, skoro banki zachodnie idą do nas, to już podkreśla, że jest pewna stabilność, bo bankowcy to zwykle ludzie konserwatywni, ostrożni. Jeżeli oni podjęli decyzję to znaczy, że jest możliwość robienia interesów.

A.Ch.: – *Trwałych i dobrych.*

Cz.O.: – Ale z drugiej strony Polacy mogliby być bardziej aktywni, bo wraz z aktywnością przedsiębiorców polskich i nasza sytuacja tu na Litwie byłaby bardziej korzystna i mocniejsza. Mielibyśmy możliwość zatrudnienia Polaków, i nie tylko Polaków, w przedsiębiorstwach, które byłyby organizowane z przedsiębiorcami z Polski. I status nasz byłby inny.

A.Ch.: – *Pan często podkreśla, że dyplomacja polska tu na Litwie stoi w obliczu ogromnie trudnych zadań i wyzwań. Przed czym przede wszystkim przestrzegalby Pan polskich polityków?*

Cz.O.: – Zawsze twierdziłem i jestem gotów jeszcze raz potwierdzić, że polska placówka dyplomatyczna na Litwie jest najtrudniejszą na świecie ze względu na zawartość stosunków historycznych między obydwoma państwami, ze względu na liczną i aktywną mniejszość narodową polską tu, na Litwie.

Te dwa aspekty są podstawą do tego, ażeby politycy polscy byli bardzo ostrożni w ocenie tej mniejszości, ażeby przede wszystkim nie popełniali pochopnych błędów, nie podejmowali pochopnych decyzji. I w tym przypadku jest bardzo ważne szersze spojrzenie na pomoc ze strony państwa polskiego dla mniejszości polskiej. Ważne jest, ażeby Polacy na Litwie z każdym rokiem stawali się bardziej zamożni, po drugie bardziej wykształceni, ażeby ta pomoc z Polski była przede wszystkim skierowana na oświatę polską na Litwie. Żeby szkoła polska na Litwie była atrakcyjna. Żeby po ukończeniu takiej szkoły Polacy bez trudności mogli wstąpić na uniwersytet litewski. Żeby być konkurencyjnym na rynku pracy, żeby w przyszłości, za jakiś czas, zostali ministrami w tym kraju i zarządzili tym krajem, ze względu na kompetencje, a nie na jakąś pulę mniejszościową.

A.Ch.: – *Udział Polaków w życiu publicznym. Pan sam jest bardzo ciekawym przykładem takiego doświadczenia. Jak wspominaliśmy na początku, Pan właściwie był u narodzin tej państwowości. Jednocześnie był Pan posłem w Sejmie I kadencji, potem wycofał się Pan z aktywnej polityki. Dlaczego? Czy bardziej można realizować bliskie Panu cele polityczne poprzez radio, czwartą władzę? Czy jeszcze są inne powody?*

Cz.O.: – Przede wszystkim sędzę, iż sam fakt mego funkcjonowania w czwartej władzy potwierdza, że to jest też polityka. Sędzę, że moje funkcjonowanie w ramach tej władzy jest bardziej korzystne dla społeczności polskiej, niż funkcjonowanie moje w jednej partii i bycie w Sejmie w składzie jednej partii politycznej. Wydaje mi się, że moje możliwości byłyby bardziej ograniczone niż teraz. Więc ja się cieszę, że udało mi się, wspólnie z całym moim zespołem, stworzyć takie radio, które jest lubiane przez wszystkich. My możemy śmiało powiedzieć, że wszyscy posłowie, którzy zostali wybrani do Sejmu, byli gośćmi naszego radia. W naszych audycjach politycznych staraliśmy się za wszelką cenę być bezstronni. W trakcie kampanii wyborczej były zastosowane ostre zasady komercyjne i wyłącznie w ramach zamówionych audycji reklamowych można było usłyszeć o tej

czy innej partii, dlatego nikt nie patrzy na nas jak na radio jednej partii czy jednej siły politycznej, to jest najważniejszy sukces. Moim zdaniem radio, które staje się pomocnikiem jednej partii, to radio bez przyszłości i wcześniej czy później na pewno zginie. Chociaż trzeba powiedzieć, że jeszcze mamy dużo do zrobienia z naszym radiem. Na pewno istnieją możliwości rozwoju naszego działu informacyjnego, trzeba zrobić promocję, ale to wszystko oczywiście jest kwestią czasu i pieniędzy.

A.Ch.: – *Pan również często powtarza pewną prawdę, która wydaje się być banalną, ale równocześnie trudną dla niektórych do zrozumienia, że tym Polacy będą silniejsi i będzie im lepiej, im bardziej będą identyfikowali się z celami państwa litewskiego. Jak Pan sądzi, na ile ta prawda jest upowszechniona obecnie wśród Polaków, społeczności polskiej, żyjącej na Litwie. Jaka jest szansa, żeby ona stała się prawdą dominującą?*

Cz.O.: – Myślę, że wszystko jest na dobrej drodze. Po pierwsze, jako takiego zagrożenia etnicznego już nie ma i teraz te hasła w obronie polskości tak nie chwytają. Ludzie są zainteresowani dniem powszednim, dominują hasła ekonomiczne, socjalne, oświatowe. Ważne jest, że ludzie zaczynają rozumieć, że rzeczywistość jest taka jaka jest i nie będzie już żadnych zmian, przynajmniej nie chcielibyśmy już żadnych zmian państwowości, żadnych zmian granic. W związku z tym oczywiście ważne jest, ażeby Polacy zrozumieli, że mają aktywnie funkcjonować w ramach państwa litewskiego. Zawsze mówiłem i teraz powtarzam, żeby Polacy funkcjonowali w normalnych partiach litewskich. Moim zdaniem ogromnym sukcesem jest to, że w największej rządzącej partii politycznej dzisiaj jest Polak. Ważne jest to, że oni mają wpływ na decyzje, które będą podejmowane w Sejmie. Jeden człowiek w litewskiej partii jest ważniejszy, niż posiadanie oddzielnej reprezentacji polskiej, dużej, która nie miałaby w żaden sposób wpływu na decyzje podejmowane w parlamencie. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że ta mała aktywność podczas ostatnich wyborów przede wszystkim w regionach, gdzie zamieszkują Polacy, pokazuje też, że siła polityczna,

która przedtem była eksponowana, niezbyt zainteresowała ludzi swoim programem, nie była w stanie zmobilizować ich do aktywności w wyborach. Stąd i polska partia Akcja Wyborcza Polaków Litwy musi szukać nowych rozwiązań programowych, jeśli chce być atrakcyjną dla swoich wyborców, nowych ludzi. I to wtedy umożliwi im osiągnięcie sukcesu. Z drugiej strony potrzebna jest zdecydowana współpraca z partiami litewskimi, bo w ciągu tych czterech lat praktycznie na arenie politycznej powstała sytuacja bardzo negatywna dla polskiej mniejszości: pełna izolacja partii polskiej od partii litewskiej. To jest niekorzystne. My na tym nie wygramy. Musimy bardzo chytrze współpracować ze wszystkimi partiami i w taki sposób możemy uzyskać sukces.

A.Ch.: – *Czy do obecnych organizacji politycznych czy społecznych polskich na Litwie garną się młodzi ludzie?*

Cz.O.: – To jest trudny proces. Młodzież nie jest zbyt aktywna. Mogłaby być bardziej aktywna.

A.Ch.: – *Natomiast wśród słuchaczy Pana radia młodzi ludzie nie stanowią mniejszości?*

Cz.O.: – Oczywiście młodzież powinna być bardziej aktywna. Na razie ta polityka rozproszenia młodzieży, szczególnie tej, która kończy studia, część wyjeżdża na naukę do Polski (ta lepsza część). Jeszcze inna studiuje tutaj na Litwie, powoduje, że przez pięć lat studiów w Polsce traci się kontakt z Litwą, z Litwinami i później ta młodzież ma trudniejsze zadanie znalezienia się w tej sytuacji.

A.Ch.: – *Czy większość z nich wraca na Litwę?*

Cz.O.: – To też jest problem, bo wiem, że wielu z nich stara się w różny sposób zostać w Polsce, szukać dalszych możliwości wyjazdu na Zachód itd. Dlatego to jest mało korzystna sytuacja dla nas. Śmietanka odchodzi. Ważne jest tworzenie takich instytucji jak radio, które by przyciągały młodzież, które by dawały młodzieży szansę. Sądzę, że to w jakiś sposób się udaje, na pewno większość naszych słuchaczy

to jest młodzież, która funkcjonuje w ramach naszego radia, w tej normalnej litewskiej rzeczywistości, gdzie przeplata się język litewski, polski i rosyjski, gdzie zaprasza się na różne imprezy ogólnokrajowe, sponsorowane między innymi przez nasze radio. To powoduje, że człowiek młody staje się bardziej otwarty i ma dużo możliwości i rozrywek, i rozwoju swojego potencjału intelektualnego, a co za tym idzie staje się normalnym obywatelem państwa litewskiego.

A.Ch.: – *Jak ważna była dla Pana działalność Instytutu Literackiego Jerzego Giedroycia, kiedy stawiał Pan tu pierwsze kroki w polityce?*

Cz.O.: – Ważne jest, przede wszystkim, że otrzymywałem na bieżąco wszystkie wydania Instytutu. To była dla mnie bardzo ważna lektura. To była taka literatura, na podstawie której uczyłem się. Redaktor Jerzy Giedroyc był zawsze dla mnie bardzo bliskim człowiekiem, jestem mu bardzo wdzięczny, że nawet na łamach *Kultury* kilka razy pozytywnie oceniał moją działalność na Litwie. Jest to jakby pozycja obywatelska, która znajduje coraz więcej poparcia, bo jest to proces bardzo trudny i ważne jest, że moja działalność tu prowadzona jest zauważalna na świecie. Popierali moją działalność Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak Jeziorański, Jerzy Giedroyc – co jest dla mnie najwyższą oceną. Nawet jeśli dziś nadal nie wszyscy Polacy rozumieją sens mojej działalności, to ja widzę, że taka linia jest na pewno dobra, bo większość ludzi ocenia ją jako słuszną.

A.Ch.: – *Jeśli dobrze zrozumiałem, jest Pan również wśród założycieli Kongresu Polaków Litwy. Czy mógłby Pan powiedzieć kilka słów o tej organizacji?*

Cz.O.: – Kongres Polaków Litwy powstał, ażeby zrealizować kilka zadań. Ta organizacja nazywa się kongresem, ponieważ zrzesza członków i chce zrealizować szereg programów. Ludzie niezależnie od poglądów politycznych zrzeszyli się, aby zrealizować program gospodarczy, oświatowy, współpracy z młodzieżą, uaktywnienia jej. Pewne rzeczy w ciągu roku się udały, pewne nie. Jednym z zadań Kongresu jest założenie

tutaj szkoły społecznej, elitarnej, aby wylansować najbardziej zdolną młodzież i pomóc jej zdobyć jak najlepsze wykształcenie. Kongres też założył pierwszą unię kredytową na Litwie, co jest bardzo ważne, ponieważ staramy się umocnić ekonomicznie i wspierać się nawzajem w ramach tej unii. Kongres też myśli, aby powołać wspólną uczelnię ekonomiczną polsko-litewską. To jest trudna i ambitna sprawa i potrzebuje dobrych przygotowań. Poza tym chcielibyśmy zwrócić uwagę na oświatę polską tutaj na Litwie. Są pewne koncepcje, w jaki sposób to zrobić. Jedna z nich jest już realizowana. Jeżeli uda się nam na początku przyszłego roku zrealizować pomoc dla jednej ze szkół, to wtedy będziemy się starali w taki sposób objąć pomocą wszystkie szkoły. Należy spróbować. Sprawdzenie, czy mechanizm zaproponowany przez nas działa. Jeżeli będzie działał, to będziemy dalej nad tym pracować. Oczywiście Kongres mógłby zrobić więcej. Na razie polityka Kongresu była taka, żeby nie robić z tego organizacji masowej, ale organizację ambitną, informacyjno-programową. Zobaczmy, czy to jest słuszna decyzja. Może trzeba stawiać na jedno i na drugie. W najbliższym czasie Kongres będzie miał swój zjazd i wtedy się okaże, czy wszyscy członkowie Kongresu popierają taką linię, czy trzeba coś zmieniać. Ale to, że jest wiele polskich organizacji, jest zaletą tej mniejszości. Ważne jest, aby te organizacje umiały ze sobą współpracować, aby nie zwalczały się nawzajem. To co mówiłem o Landsbergisie, żeby jedna z organizacji nie myślała, że ma zawsze stuprocentową rację.

A.Ch.: – *Mówiliśmy o radiu. Jak wygląda sytuacja prasy w języku polskim na Litwie?*

Cz.O.: – Społeczność polska zasługuje na profesjonalną gazetę codzienną. *Kurier Wileński* po sprywatyzowaniu boryka się z trudnościami finansowymi, co jest zrozumiałe dla gazety mniejszościowej. Ważne jest, aby zrobić dobrą gazetę, niezależną politycznie i żeby nie był to biuletyn organizacyjny, tylko normalna gazeta funkcjonująca w państwie litewskim po polsku. Ażebym ta gazeta znajdowała najważniejsze momenty z życia państwa litewskiego, żeby była operatywna, żeby była tam, gdzie się coś dzieje, żeby była na co dzień, nie

nadawała informacji sprzed trzech dni. Myślę, że taka gazeta znalazłaby swoich czytelników. Przede wszystkim powinna to być gazeta ambitna, ma ciągnąć za sobą tę mniejszość, a nie być na poziomie wyłącznie tej mniejszości. Bez dobrej gazety i mniejszość nie jest w stanie awansować, mieć większe ambicje. Ubolewam, że dotąd nie udało się nam stworzyć takiej gazety.

A.Ch.: – *Ale skoro powstało profesjonalne radio, to dlaczego trudno stworzyć taką gazetę?*

Cz.O.: – Przede wszystkim chodzi tu o ambicje poszczególnych osób, które nie umieją się dogadać. Inteligencji polskiej na Litwie nie jest za dużo, tym bardziej między sobą w kwestiach zasadniczych trzeba się dogadać. Trzeba zrezygnować ze swoich ambicji na rzecz wspólnych celów i zrezygnować realnie, a nie tylko deklaratywnie. U nas jest wielu ludzi, którzy nawołują do rezygnowania z ambicji, ale na swoją korzyść, wszyscy mają zrezygnować z ambicji, tylko nie oni. I tu powstają kolizje. Potencjał intelektualny nie jest zły. Ważne jest, aby ta elita umiała się ze sobą dogadać. Jeśli się nie dogadamy, nie jesteśmy w stanie nic sensownego tu zrobić, w tym też gazety. Polskość na Litwie przetrwała między innymi nawet w tamtych sowieckich czasach dzięki polskiej gazecie codziennej. Oczywiście dzięki szkołom, Kościołowi, ale gazeta była jednym z czynników.

A.Ch.: – *Wypada mieć nadzieję, że tym bardziej teraz taka gazeta powstanie. Chciałbym życzyć Panu, radiu, pańskim kolegom, Litwie, Polakom tu mieszkającym, sukcesów w życiu codziennym, gospodarczym, takich sukcesów, które się składają na przekonanie, że sprawy idą do przodu, a nie stoją w miejscu. Dziękuję bardzo za rozmowę.*

Wilno, 5 grudnia 1996

Rozmawiał Andrzej CHRZANOWSKI

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: W minionym roku największym partnerem gospodarczym Niemiec na wschód od Odry była nadal Polska, przed Rosją i Republiką Czeską. ■ Fiskus niemiecki kasuje 72% ceny papierosów i zarabia rocznie 20,6 miliardów marek. Straty poniesione w roku ubiegłym z powodu szmuglu papierosów szacuje się na miliard marek. ■ Plajty firm w roku ubiegłym spowodowały utratę 440.000 miejsc pracy w Niemczech. Zdaniem ekspertów spodziewany wzrost gospodarczy nie przyczyni się do zmniejszenia liczby zwolnień w zakładach pracy. ■ W celu przeciwstawienia się konkurencji taniej siły roboczej z zagranicy, ustalono minimalne stawki płac na budowach niemieckich: w starych landach wynoszą one 17 a w nowych 15,64 marki za godzinę. Szacuje się, że w najbliższych latach w budownictwie liczba miejsc pracy zmniejszy się o 100.000. ■ W roku 1995 w całych Niemczech sprzedano 71.200 ha powierzchni rolnej. Przeciętna cena za 1 ha wyniosła 21.280 marek. ■ **POLITYKA:** Od połowy roku 1991 na utrzymanie od 350.000 do 400.000 uciekinierów z byłej Jugosławii Republika Federalna wydała 11 miliardów marek. Dalszych 900 milionów przeznaczono na pomoc na terenie b. Jugosławii. ■ Prezydent Bundestagu Rita Süßmuth zainicjowała wraz z Towarzystwem Ochrony Zagrożonych Narodów akcję przeciw dyskryminacji przesiedleńców w Niemczech. Jej zdaniem, od chwili demokratyzacji na Wschodzie akceptacja przesiedleńców zasadniczo zmieniła się na gorsze. Obecnie uważani są oni za przyczynę wielu problemów socjalnych. W Getyndze 200 demonstrantów chciało np. uniemożliwić spotkanie różnych grup przesiedleńców i doszło do starć z policją. ■ Pod koniec 1995 r. liczba przesiedleńców niemieckich przybyłych ze Wschodu, w tym głównie z Kazachstanu, zmniejszyła się o dalszych 20%, natomiast liczba wniosków o przesiedlenie o 33%. Jest to wynik nowej linii w podejściu do potencjalnych przesiedleńców, od których obecnie wymaga się m.in. znajomości języka niemieckiego. ■ Według nowego prawa cudzoziemscy przestępcy mogą być natychmiast wydeleni z Niemiec w przypadku skazania ich na karę od

trzech lat więzienia bez zawieszenia (dotychczas 5 lat) lub z powodu ciężkiego zakłócenia porządku publicznego, np. udziału w zabronionej demonstracji. ■ Niemcy są największym płatnikiem Unii Europejskiej. W roku 1994 RFN wpłaciła na jej konto ponad 41 miliardów marek a otrzymała niecałe 15 miliardów (saldo: -26 miliardów); Francja wpłaciła nieco ponad 24 uzyskując 19 miliardów (saldo: -5 miliardów). Największe sumy netto uzyskała z kas Unii Hiszpania (saldo: +6 miliardów) i Włochy (saldo: +5 miliardów) oraz Portugalia i Irlandia. ■ W roku 1995 w RFN pracowały zarobkowo 3 miliony cudzoziemców. ■ Liczba cudzoziemców w Niemczech wzrosła w roku 1995 na skutek urodzin i imigracji do 7,2 milionów. ■ 68% młodych Turków wychowanych w Niemczech uważa silny naród turecki za ważniejszą sprawę niż demokrację. 54% respondentów przekonanych jest o wyższości islamu, 27% bierze pod uwagę możliwość użycia przemocy dla forsowania pryncypiów religijnych, a 33% uważa, że ich poglądy dobrze lub częściowo dobrze reprezentuje religijno-fundamentalistyczna organizacja Milli Görüs działająca w Niemczech. Zdaniem autora ankiety, Wilhelma Heytmeyera, im większa dezintegracja socjalna, polityczna i zawodowa, tym silniejsza skłonność respondentów do wyrażania powyższych poglądów. ■ Jak wynika z dokumentów znalezionych niedawno w Wielkiej Brytanii, za wiedzą naczelnych przywódców niemieckich w czasie drugiej wojny światowej w oddziałach Wehrmachtu służyły tysiące żołnierzy pochodzenia żydowskiego, najczęściej z rodzin mieszanych. Znajdowało się wśród nich m.in. 77 wysokich oficerów, w tym 2 feldmarszałków, 10 generałów, 14 pułkowników i 300 majorów. Zostali oni usunięci z szeregów Wehrmachtu dopiero w styczniu roku 1944. Jeden z tych oficerów w roku 1942 odwiedził swego ojca w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Tylko mundur i Krzyż Żelazny podczas odwiedzin uchroniły go ponoć przed podzieleniem losu ojca. Zdaniem Bryana Rigga, który odnalazł dokumenty, sprawa tych osób nie była dotąd badana, ponieważ żadna ze stron, ani żydowska ani niemiecka, nie jest zainteresowana poruszeniem tego problemu. ■ W czasie ostatniej wojny Szwajcaria wydalila trzykrotnie więcej osób szukających schronienia, niż sądzono do niedawna. Przedstawiciele Szwajcarskiego Archiwum Federalnego twierdzą, iż było ich co najmniej 40 tys. Ogółem Szwajcaria udzieliła w czasie wojny azylu 230 tys. osób, w tym 22 tys. Żydów. ■ Partie polityczne w Niem-

czech otrzymały w roku ubiegłym 220 milionów marek z kasy państwowej. Wedle prawa niemieckiego, partie polityczne otrzymują za pierwszych 5 mil. głosów po 1,30 za głos, a za każdy pozostały głos wyborczy po 1 marce. Środki państwowe nie mogą przy tym przekraczać własnych wpływów partii. ■ KULTURA: 31.08.96 r. pod przewodnictwem Prezydenta Bundestagu pani Rity Süßmuth odbyło się w Bonn posiedzenie założycielskie Kuratorium Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich (Deutsch-Polonische Gesellschaft Bundesverband e.V.). Jego celem jest zebranie pod jednym dachem licznych animatorów stosunków polsko-niemieckich na obszarze polityki, gospodarki, mass mediów, kultury i nauki, polepszenie kontaktów między nimi oraz stworzenie silnego lobby na rzecz kooperacji obu krajów i ich obywateli. Przewodniczącą Kuratorium Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich została Prezydent Bundestagu prof. Rita Süßmuth, a zastępcami były minister spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher oraz znany polityk Hans Koschnick. W skład Kuratorium weszli też znani działacze na rzecz współpracy niemiecko-polskiej, politycy, publicyści i literaci jak np. Karl Dedecius, prof. Heinrich Olschowsky, Erich Lest i Klaus Bednarz. Przewodniczącym Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich jest poseł Bundestagu Markus Meckel. Wśród najwyższych władz znajdują się znani politycy i publicyści niemieccy. ■ Z powodu cięć oszczędnościowych RFN postanowiła zamknąć dalszych pięć Instytutów im. Goethego (ogółem 10 w 1996 r.), m.in. w USA, Portugalii i Nepalu, otwarto zaś jeden w RPA. W sumie RFN utrzymuje 150 tych Instytutów w 78 krajach. ■ Instytut Polski w Düsseldorfie kierowany przez Kazimierza Wójcika zorganizował w październiku 1996 r. dyskusję „Stosunki niemiecko-polsko-ukraińskie”. (Do udziału w dyskusji nie został zaproszony prof. Bohdan Osadczyk!) ■ Rządząca w Niemczech koalicja nie chce unieważnić wyłączeń, jakie miały miejsce w latach 1945–1949 na okupowanych przez Armię Czerwoną terenach Niemiec, tj. obszarze późniejszej NRD. Jeden z przedstawicieli koalicji CDU/CSU Joachim Hörster stwierdził, iż „wyłączeń nie da się unieważnić ze względów faktycznych i prawnych”. ■ Z okazji 70-ej rocznicy urodzin przewodniczącego Centralnej Rady Żydów w Niemczech Ignatza Bubisa prezydent Niemiec Roman Herzog wydał uroczyste przyjęcie z udziałem najwyższych przedstawicieli

świata polityki i kultury z Niemiec i zagranicy. Wśród zaproszonych gości znajdował się Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski. Zapytany przeze mnie o rangę wizyty prezydent Kwaśniewski stwierdził m.in.: „To jest wymiar symboliczny związany z faktem, iż losy tych trzech narodów były ze sobą bardzo związane i często związane dramatycznie. I Polacy, i Niemcy, i Żydzi przez setki lat mieszkali razem, mieszkali obok siebie, współpracowali i walczyli, wspierali się. Polska była terytorium, na którym rozegrał się największy dramat XX wieku, nazistowski Holocaust. (...) Fakt, że prezydent Herzog zaprosił mnie na urodziny człowieka, który jest szefem rady Żydów niemieckich, (...) mówi po polsku, wykazuje wiele zrozumienia i sympatii dla naszego kraju, traktując przede wszystkim w kategoriach symbolicznych, że tego rodzaju wieczór, kiedy spotykają się politycy niemieccy, izraelscy, amerykańscy, czy ja, jako reprezentant Polski, to jest właśnie droga, żeby pokonywać historię, która była niedobra i wskazywać na to, co może być wspólne, co może nas łączyć, co może służyć pojednaniu. I dlatego zaakceptowałem zaproszenie prezydenta Herzoga”. ■ Gruzja oddała Niemcom 100.000 książek pochodzących z niemieckich bibliotek, które w czasie i tuż po zakończeniu wojny zostały przewiezione na jej terytorium. Był to pierwszy tych rozmiarów akt zwrotu niemieckich dóbr kultury przez jedno z państw byłego bloku wschodniego. ■ Biuro Koordynacyjne Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich zorganizowało w sieci „internetu” adres (domain), na który mogą być nadsyłane informacje na tematy związane ze sprawami dotyczącymi działalności polsko-niemieckiej. Można też czerpać tam odnośne informacje. Znaleźć tam można m.in. „strony” redagowane przez wspomniany Związek, jak też kilka innych instytucji polskich i polsko-niemieckich. Adres brzmi: <http://www.polen-info.com> ■ Podczas swej styczniowej wizyty w Moskwie kanclerz Kohl wyraził opinię, iż sprawa zwrotu zagrabionych przez Armię Czerwoną dóbr kultury niemieckiej będzie wyjaśniona do końca.

Andrzej STACH

Notatki Redaktora

Minister Zbigniew Siemiątkowski wystąpił z sensacyjną rewelacją, że rosyjskie służby specjalne planują prowokację mającą na celu uniemożliwienie Polsce wejścia do NATO i Unii Europejskiej. Są to kpiny ze zdrowego rozsądku. Bynajmniej nie bagatelizuję roli rosyjskich służb specjalnych, które mają w Polsce ciągle rozbudowywane wpływy i kontakty zachowane z dawnych czasów. Nie należy jednak zapominać, że w rządzącej koalicji ciągle są jeszcze ludzie mający podświadome odruchy, że przed „starszym bratem” nie ma tajemnic. Przykładem jest sprawa b. premiera Oleksego. Tu nie wchodzi nawet w grę jakieś powiązanie, a po prostu zwykłe gadulstwo Polaków. To także musi zaważyć na wejściu czy nie wejściu do NATO. Sprawa Oleksego została nagłośniona ze względu na walkę wyborczą. Oleksy powinien być z miejsca odejść ze stanowiska premiera na inne, ale nie tak eksploatowane jak prezesura jego partii. Cała ta afery, która nam tak zaszkodziła w opinii świata, ujawniła, że polskie służby specjalne powinny być gruntownie przebudowane. Poruszałem już tę sprawę w swoich „Notatkach”. Uważam, że dosłownie wszyscy pracownicy służb specjalnych powinni być usunięci i że te służby należy odbudować od nowa. Niestety, nie bardzo widzę, kto miałby odwagę to przeprowadzić. Może ktoś z rządzących obecnie czy w przyszłości będzie się kierował interesem państwa a nie partyjnym. Dobre służby specjalne są niezbędnie potrzebne każdemu państwu, ale muszą być dobre. Wszyscy wiedzą, że wywiad izraelski jest jednym z najlepszych, ale tam współpracowników rekrutuje się nie z partii ale z ludzi młodych bezpartyjnych, nawet ze świata gospodarczego czy dziennikarskiego. I my musimy zrobić to samo.

Ma się rozumieć, że Rosja będzie robiła wszystko by nie dopuścić nas do NATO i Unii Europejskiej. Ale, czy my robiliśmy cokolwiek dla znormalizowania naszych stosunków z Rosją, a przede wszystkim w kierunku przystosowania kraju do warunków wymaganych przez Unię czy NATO? Prezes Pawlak, Akcja Wyborcza „Solidarność” oraz ich akolici domagają się dla siebie wyjątków, piętrzą tyle trudności, hamują prywatyzację, nie robią nic, żeby przebudować archaiczną strukturę polskiego rolnictwa, utrzymując dla celów partyjnych i wyborczych rozdrobnienie gospodarstw rolnych, domagają się coraz to większych dotacji i subwencji z budżetu państwa. Może to doprowadzić do tego, że Unia Europejska machnie na Polskę ręką i powie: „No, skoro oni sami nie chcą...”

Jeśli idzie o nasze stosunki z Rosją to dużo się na ten temat mówi, a praktycznie nie robi nic. Wprost przeciwnie, mnożą się różne posunięcia nie bardzo potrzebne, ale zadrażniające te stosunki, jak np. sprawa Czechenii. Jest zrozumiałe, że nasze społeczeństwo patrzy z sympatią na bohaterską walkę tego małego narodu o swoją niepodległość, ale jest to sprawa humanitarna. Nie jest natomiast właściwe aby angażować się w te sprawy, jak np. utrzymywanie przedstawicielstw czecheńskich w Polsce, wysyłanie obserwatorów itp. Naturalnie, można mówić, że tego nie robi rząd, ale powiedzmy, prezydent Krakowa czy inny wojewoda, ale to nigdy nie jest wyraźnie potępione przez rząd. Politykę zagraniczną winny prowadzić czynniki do tego powołane, jak np. prezydent RP, rząd czy parlament, ale na pewno nie wojewodowie. Jest także niedopuszczalne, by np. wojewoda suwalski prowadził rozmowy na temat autostrady z Kaliningradu do Białorusi i Rosji, czy wojewoda w Przemyśle prowadzący swoją własną politykę w sprawach ukraińskich.

Zatraciliśmy poczucie ważności interesu państwa i często, z pobudek nawet szlachetnych, temu interesowi szkodzimy. Wszyscy potępiamy gwałcenie w Chinach podstawowych praw człowieka i terror ideologiczny, który tam panuje. To bardzo dobrze, że czynniki społeczne w tej sprawie występują krytycznie. Bardzo dobrze, że Adam Michnik w *Gazecie Wyborczej* to potępia, ale jest źle, jeżeli robi to na konferencji prasowej w ambasadzie polskiej w Pekinie, i do tego w towarzystwie prof. Geremka, przewodniczącego sejmowej komisji

do spraw zagranicznych. Rezultatem jest katastrofalny bilans handlowy z Chinami i zaprzepaszczone możliwości gospodarcze. Rezultatem jest także rosnący import z Chin do Polski. Jesteśmy jedynym krajem zachodnim, który tak postępuje, nie starając się sprzedawać naszych wyrobów w Chinach.

W niedługim czasie prezydent Kwaśniewski złoży wizytę w Turcji. Jest to kraj dla nas ważny z bardzo wielu względów, ale – jak się okazuje – nie posiadamy w Turcji stałego korespondenta i niewiele się o tym kraju w Polsce wie. Trzeba podkreślić, że stałych korespondentów nie mamy także ani na Kaukazie, ani w Kijowie. Również nie mamy stosunków z tamtejszymi środkami masowego przekazu, z telewizją na czele.

Wreszcie powstał Instytut Polski w Mińsku. Niestety, załatwiony w sposób połowiczny. Instytut ten nie posiada jeszcze własnego lokalu i dysponuje niewystarczającym budżetem. Stanowisko służbowe dyrektora – sekretarz ambasady – jest zbyt niskie w porównaniu z innymi instytutami, co przy specyficznych warunkach na Białorusi, jest zupełnie niewystarczające. Nie należy zapominać, że zakres działalności instytutu w Mińsku musi być znacznie szerszy niż gdzie indziej. Myślę tu np. o nauce języka polskiego dla Białorusinów, odpowiednio wyposażonej bibliotece i konieczności zajęcia się ochroną polskich zabytków historycznych, tak licznych na Białorusi, a znajdujących się w stanie kompletnego zaniedbania. Jesteśmy ponadto w okresie szeregu ważnych rocznic jak rok Mickiewiczowski czy Kościuszkowski. W ogóle Wschód jest bardzo zaniedbany. Instytut Polski w Kijowie jest np. do tej pory w sferze projektów.

Jest już najwyższy czas aby Belweder został z powrotem Muzeum Marszałka Piłsudskiego, czym był przed wojną i gdzie powinna mieścić się też filia Instytutu Piłsudskiego. Na siedzibę dla gości zagranicznych można przeznaczyć jedno z podwarszawskich pomieszczeń będących w gestii prezydenta. No, i *à propos* Marszałka Piłsudskiego, należałoby zaniechać wystawiania brzydkich pomników produkowanych prawie taśmowo w ostatnich latach. Pomnik Marszałka, postawiony bez sensu przed Hotelem Europejskim – jeżeli nie może

znajdować się obok Grobu Nieznanego Żołnierza – tam gdzie stał w swoim czasie pomnik księcia Józefa Poniatowskiego (argument, że przeskadzałby przy defiladach jest niepoważny) powinien stanąć na dziedzińcu przed Pałacem Belwederskim.

Biskup polowy S.M. Głódź oświadczył ostatnio, że w związku z projektowanym zmniejszeniem budżetu na posługi kościelne w wojsku, okazuje się, że lepiej było za czasów Rokossowskiego. Nie wspominam już jego ataków na prawosławie. Jestem ciekaw, kiedy biskup Głódź zostanie przeniesiony w stan spoczynku albo do rezerwy kadrowej. Ponieważ MON znajduje się w stanie rozkładu, może zadecyduje o tym prezydent Kwaśniewski jako zwierzchnik sił zbrojnych.

Sprawa nowej konstytucji wymaga osobnego omówienia. Tu chciałbym tylko zwrócić uwagę na jedno sformułowanie Episkopatu Polski, gdzie m.in. proponuje on, by w konstytucji zamienić słowo „obywatel” na „naród”. Oznaczałoby to, że konstytucja nie obejmuje mniejszości narodowych. Przeciwnie tak skrajnie nacjonalistycznym sformułowaniom kategorycznie protestuję. Przyjęcie tego zalecenia zagraża spistości państwa. Wiemy przecież z naszej historii do czego może to doprowadzić.

Z powodu rosnących ciągle spraw jestem zmuszony do coraz większego ograniczania swojej działalności. Ostatnio musiałem zrezygnować z udziału w jury POLCUL Foundation, organizacji, z którą byłem związany w ciągu 16 lat jej istnienia, jak również z jej twórcą Jerzym Bonieckim. Działalność POLCUL-u jest naprawdę imponująca. Najlepiej ilustrują to cyfry. W latach 1980-1989 wyróżniono ponad 600 osób. Suma świadczeń dla nich wyniosła 300.000 dolarów. W latach 1990-1996 wyróżniono 298 osób na sumę 184.850 dolarów. Wyróżnienia objęły 127 rodzajów działalności społecznej i obywatelskiej. Laureatami byli nie tylko ludzie z terenu całej Polski, ale również z Litwy, Łotwy, Ukrainy, Białorusi, Rosji, Czech i Słowacji. Fundacja opiera swą działalność na oprocentowaniu kapitału stworzonego z dotacji Jerzego Bonieckiego, a później powiększonego przez kilku jego przyjaciół. Jest to działalność unikalna.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

W ojczyźnie dwóch języków

Któregoś szarego dnia w pierwszym roku trwania stanu wojennego jechałem zatłoczonym wrocławskim tramwajem, do którego wsiadł Lothar Herbst. W pierwszym odruchu chciałem do niego podejść. Natychmiast jednak zaniechałem tego, bo miałem przy sobie nieco świeżej bibuły i kilka najnowszych numerów przemyconych z Zachodu wydawnictw emigracyjnych, a nie byłem pewny, czy nie śledzi go jakiś esbek. Herbst stał z przodu zaraz za motorniczym, a ja siedząc z tyłu obserwowałem jego masywną postać i otaczających go pasażerów, i zastanawiałem się nad tym, czy jeszcze ktoś z jadących w tramwaju go zna i wie, że kilka dni temu wypuszczono go z więzienia.

„Jestem Polakiem, który nigdy nie zapomni, że urodził się Niemcem” – powiedział w roku 1995 w wywiadzie dla wschodnioniemieckiej gazety *Märkische Oderzeitung* Lothar Herbst. Tego rodzaju pozornych sprzeczności w jego życiorysie jest więcej. Urodzony w roku 1940 we Wrocławiu, w ramach ewakuacji niemieckiej ludności cywilnej z „Festung Breslau” u boku matki i siostry opuszcza miasto i udaje się do rodziny w niedalekim Wałbrzychu. Tam spędza swe wczesne lata bez ojca, który po zdobyciu Wrocławia przez Rosjan, jako żołnierz został wzięty do niewoli i już z niej nie wrócił. Nadzieja na powrót męża, a następnie tragiczna śmierć córki, siostry Lothara Herbsty, powodują odwlekanie decyzji o wyjeździe do Niemiec przez matkę, a w końcu jej zaniechanie.

Pierwsze lata w Wałbrzychu upływają rodzinie Herbstów pod znakiem życia w kolonii niemieckiej wymieszanej częściowo z ludnością napływową. Bowiem aż do połowy lat

50-tych istniały tam nie tylko zintegrowane skupiska Niemców, ale działały też niemieckie szkoły i ukazywały się gazety w języku niemieckim. Władze starały się zatrzymać w ten sposób wykwalifikowanych specjalistów i pracowników tamtejszych kopalń. Lothar Herbst wzrasta tam w atmosferze kresowych opowieści i bajek, opowiadań wojennych Polaków i Żydów, i nastroju ukraińskich pieśni słuchanych wieczorami na progach domów. Być może jest to jednym z powodów, dlaczego z własnej woli decyduje się na uczęszczanie do polskiej szkoły podstawowej. Mówiąc o tym Lothar Herbst dodaje z nieukrywaną dumą, iż już w trzeciej klasie nie robił żadnych błędów w języku polskim.

Mimo różnego rodzaju presji zarówno w szkole podstawowej, jak i później, Lothar Herbst nie tylko nie zmienia swego nazwiska na polskie, co byłoby o tyle łatwiejsze, że jego matka pochodziła z niemieckiej rodziny o nazwisku Ślagowski, ale za wszelką cenę broni także litery „h” w swoim imieniu. „Myślę, że zrobiłem to bardziej dla swego ojca” – mówi, a w jego głosie miesza się nutka determinacji i uporu, które charakteryzują jego postawę także w najtrudniejszych chwilach dalszego życia.

Ze swoją matką, która nie opanowała polskiego w takim samym stopniu jak on, rozmawia tylko po polsku. „Może to była po prostu taka ‘reakcja na nie’, jak to bywa u dzieci w tym wieku” – wyjaśnia Herbst i dodaje: „Moja mama myślała już, że całkiem zapomniałem niemieckiego. Ale kiedy raz przyszli do nas goście i zacząłem z nimi jak gdyby nigdy nic rozmawiać po niemiecku, to się nawet rozplakała”.

Po lekturach Karla Maya, którego książki jako dziecko poznaje w niemieckim oryginale, obiektem jego fascynacji stają się następnie dzieła polskich romantyków. Pociąga go też historia Polski z jej heroizmem, porażkami i nieugiętym uporem. Zainteresowania te pogłębia i ugruntowuje na studiach polonistycznych w swym rodzinnym mieście Wrocławiu. Po ich ukończeniu pracuje naukowo na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie zajmuje się polską literaturą emigracyjną.

W tym czasie prowadzi aktywną działalność literacką, pisze wiersze, a w latach 1964-1969 jest twórcą i redaktorem naczelnym miesięcznika kulturalno-literackiego poświęconego

twórczości młodych *Agora* i założycielem wrocławskiej Grupy Literackiej AGORA. W latach 70-ych jest współredaktorem *Młodej Kultury* w Krakowie, *Młodej Sztuki* w Warszawie i *Konfrontacji* we Wrocławiu. Od drugiej połowy lat 70-ych aktywnie uczestniczy w życiu opozycji politycznej i współpracuje z wieloma czasopismami niezależnymi, jak np. *Zapis*, czy *Puls*. Zakłada też wspomnianą „Bibliotekę latającą” i wydaje podziemne pismo *Obecność*. W latach 70-ych i 80-ych spod pióra Lothara Herbsta wychodzi kilka tomików wierszy, wśród nich m.in. „Pejzaże”, „Przypisy do człowieka”, „Listy w sprawie wiary i nadziei” jak też „Polska więzienna” i „Listy z podróży”, pisane częściowo w więzieniu, gdzie znalazł się po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce.

Wielokrotne przesłuchania, próby szantażu i niekiedy rękoczynny, mające na celu zmuszenie go do porzucenia działalności opozycyjnej, nie odnoszą skutku. Lothar Herbst nie tylko odrzuca możliwość emigracji, ale odradza to również kolegom z celi. Podczas jednego z przesłuchań któryś z pracowników SB zirytowany jego postawą mówi wprost: „Panie Herbst, wynoś się pan do Rzeszy” – „Ja mu na to: A wy wynoście się do Moskwy” – opowiada Lothar Herbst, i dodaje ze śmiechem: „W tym momencie skończyły się żarty, i mocno mnie pobili. Ale to nic. To moja wina, że jestem takim głupim Ślązakiem”.

Po trzech miesiącach, w dniu 3 stycznia 1986 roku z powodu bardzo poważnej choroby oczu władze zwalniają go z więzienia. Po otrzymaniu paszportu, wydanego mu w dużej mierze dzięki silnym naciskom i protestom pisarzy i niektórych polityków niemieckich, udaje się na kurację do RFN. Pobyt za granicą wykorzystuje do prowadzenia kampanii na rzecz „Solidarności”. W tym czasie podróżuje po wielu krajach europejskich, odwiedza USA i Kanadę. Największym przeżyciem jest jednak, jak sam twierdzi, pobyt w Wielkiej Brytanii, gdzie z rąk Prezydenta rządu RP na wychodźstwie otrzymuje jedno z najważniejszych odznaczeń polskich, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. „Nie zapomnę tego do końca życia” – mówi Lothar Herbst. – „Czułem się tam jak w rodzinie, tam, gdzie przecież było serce Polski, gdzie ciągle istniał rząd niepodległej Polski, mimo że nie był przez nikogo uznany. I wygłosiłem z tej okazji przemówienie, w

którym opowiedziałem swoją historię. Opowiedziałem ją ludziom, którzy przecież podczas wojny walczyli przeciwko Niemcom. To byli przecież oficerowie z 1939 roku. I otrzymałem to odznaczenie, jak to sformułowano, za moje „zasługi na rzecz polskiej kultury i niepodległości Polski”.

Pytany ustawicznie przez różne osoby prywatne i przedstawicieli różnych organizacji podczas pobytu w Niemczech, czy czuje się bardziej Niemcem, czy też Polakiem, Lothar Herbst odpowiada niezmiennie: „Po pierwsze jestem człowiekiem, nazywam się Lothar Herbst, a po drugie jestem najpierw Ślązakiem. Natomiast wzrastałem jako Polak, i w tym sensie jestem polskim patriotą. W końcu siedziałem w więzieniu nie za Niemcy tylko za wolną Polskę. Oczywiście zachowałem też w sercu język mej matki, i nie chcę, by ktoś mi tego zabraniał lub się do tego wtrącał”.

Po powrocie do Polski w roku 1989 Lothar Herbst pracuje początkowo znów na Uniwersytecie Wrocławskim. Od razu angażuje się też w działalność polityczną, zostaje wybrany do wielu gremiów politycznych i literackich, w tym również na stanowisko przewodniczącego Związku Pisarzy Polskich we Wrocławiu. Wkrótce opuszcza uczelnię i obejmuje stanowisko dyrektora Polskiego Radia Wrocław, które piastuje do dziś dnia. Podczas rozmowy w jego gabinecie na moje pytanie, czym jest dla niego jego ojczyzna, Dolny Śląsk, której pozostał wierny przez cały czas, mówi bez chwili namysłu: „Dla mnie osobiście jest to część Polski, gdzie aktualnie żyję i pracuję. I chciałbym, żeby był to najpiękniejszy region kraju. Oczywiście chciałbym móc wszędzie jeździć i podróżować. Ale tutaj jest moje miejsce”.

W jednym z niedawnych wydań *Rzeczpospolitej* Rafał Bubnicki poinformował, że drugim obok kompozytora Mikołaja Góreckiego polskim laureatem „Śląskiej Nagrody Kulturalnej” Rządu Dolnej Saksonii za rok 1997 został Lothar Herbst. Przystając na moją propozycję zamieszczenia materiału na ten temat na łamach *Kultury* Redaktor Jerzy Giedroyc napisał: „Herbsta znałem i bardzo go cenię. Jest on klasycznym przykładem Ślązaka, który jest i może być pomostem między Polską a Niemcami”.

Andrzej STACH

Czapski – człowiek „Memoriału”

Na przełomie listopada i grudnia ubiegłego roku w Petersburgu, w Muzeum Anny Achmatowej, czynna była wystawa poświęcona Józefowi Czapskiemu. Była to „rosyjska mutacja” krakowskiej ekspozycji przygotowanej przez Muzeum Narodowe. Składała się przede wszystkim ze zdjęć i kopii dokumentów, do których Naukowo-Informacyjny Ośrodek „Memoriał” (współorganizator wystawy) dodał dziesięć fotografii odnalezionych w petersburskich archiwach i dokumenty rodzinne Czapskich odkryte w Archiwum Heroldii Senatu. Ogromne wrażenie robił pokój artysty przeniesiony z Maisons-Laffitte. Rosjanie skarżyli się jednak, że potraktowano ich trochę lekceważąco, przywożąc zaledwie kilka obrazów Czapskiego. Mogli więc tylko przeczuwać w nim wielkiego malarza. W pełni za to ocenili wielkość człowieka. Dowodzi tego tekst zamieszczony w folderze wystawy, autorstwa Wieniamina Jofe – dyrektora petersburskiego „Memoriału”:

U progu nowego tysiąclecia nieliczni już więźniowie Gułagu, którzy zdołali ocalić swoje życie i wolność, w nowej Rosji znaleźli się na politycznej pustyni. Młode życie w sposób bezwzględny, pospiesznie, wszystko zmienia, próbuje osiemdziesięcioletnią wyrwę zakryć cienką materią zapomnienia. Co dziś „Memoriał” może powiedzieć temu pokoleniu, temu światu? Tylko tyle, że trzy podstawowe idee myśli społeczno-politycznej XIX wieku: idea państwa narodowego, demokracji politycznej i sprawiedliwości społecznej – wszystkie zbankrutowały. Już pod koniec lat czterdziestych na imię im było: Oświęcim, Hiroshima i Kołyma. Nowi politycy ze świeżym entuzjazmem proponują dziś leczyć Kołymę Oświęcimiem, Oświęcim – Hiroszimą, a Hiroszimę – Kołymą, jakby mogło być jakieś wyjście z tego zakłętego kręgu. (...)

Dlatego wracamy do punktu wyjścia społecznej historii ludzkości i mówimy: osoba ludzka zaczyna się od imienia i jest to minimum, którego trzeba bronić. Autorzy doktryn:

małego i dużego przelewu krwi wiedzą, że żadni humaniści długo jeszcze nie będą w stanie przeszkodzić im w ich poczynaniach. Ale mamy nadzieję, że ofiar przypadłych bez wieści już nie będzie, imiona będą nazwane. I niech prawo do własnego imienia oznacza chociaż linijkę na grobie. Jeśli potrafimy wypełnić to zadanie, wcześniej czy później ratując od zapomnienia imiona, będziemy mogli też, być może, obronić i żywych ludzi.

Rozglądamy się za sojusznikami po nieludzkich przestrzeniach Rosji XX wieku. Oni są i w tym nadzieja. Jekatierina Pieszkowa, Władimir Korolenko, Andriej Sacharow i właśnie Józef Czapski. I w 1918 roku wyciągający od Stasowej w Piotrogradzie dane o losie rozstrzelanych pod Powiencem i w 1942 próbujący wydobyć od gen. Nasiedkina w Orenburgu jakieś informacje o już zabitych w Katyniu – wypełniał zadania „Memoriału”. I tak jak „Memoriał” dziś, Czapski musiał przebijać się przez żelazną kurtynę beczelnego kłamstwa aparatu państwowego.

*Chciałoby się ich wszystkich wymienić z imienia,
Ale spis mi zabrano... Znikąd się nie dowiem.*

Spotkanie Czapskiego z Achmatową, jedynych może w Rosji, których niepokoił los ludzi i imion, w tym szczególnym momencie epoki, gdy nieludzka władza wydawała się absolutną – dziś jest dla nas rękojmią, że sprawa człowieka nie przegrała całkowicie, że możemy mieć jakąś nadzieję wchodząc w XXI wiek.

Tymczasem wygląda to na zajęcie bez sensu i bez końca: indeksy ofiar czerwonego terroru w Piotrogradzie 1918, rozstrzelanych w 1937, rozstrzelanych w Katyniu, poległych w Samaszkach w 1995. Kartoteki, indeksy, słowniki...

*Nam pozostaje tylko imię,
Szczególny dźwięk i długi czas.
Podaję ci przez moje dłonie
Przesypujący się piach*

To napisano w roku 1916, wszystko jeszcze miało się zdarzyć.

Thumaczył Piotr Mitzner

Nagrody

Leszek Kołakowski otrzymał Włoską Nagrodę Nonino 1997 „dla mistrza naszych czasów”.

Krzysztof Penderecki otrzymał „Kryształową Nagrodę” Światowego Forum Gospodarczego w Davos (Szwajcaria) za wielki wkład w zbliżanie różnorodnych kultur.

4-go lutego br. redakcja *Trybuny* nadała Aleksandrowi Małachowskiemu tytuł „Polityk ponad podziałami”.

Tegoroczne nagrody im. Alfreda Jurzykowskiego otrzymali: Maria Bogucka (historia), Czesław Hernas (historia literatury), Paweł Huelle (literatura), Marta Ptasińska (muzyka), Cezary Chlebowski (osiągnięcia w dziedzinie kultury), Jan Garewicz i Joanna Guze (przekłady), Janusz Kapusta (plastyka), Włodzimierz Olszewski (medycyna), Henryk i Krystyna Wiśniewscy (neurobiologia), Stanisław Świerczewski (matematyka).

Krakowska Fundacja Kultury przyznała Nagrodę im. Mariana Dąbrowskiego Stanisławowi Podemskiemu, długoletniemu publicyście tygodnika *Polityka*.

Janina Ochojska otrzymała Nagrodę im. Romerów „Za pomoc ludziom w największej potrzebie”.

Nagrodę *Kuźnicy* – „Kowadło” – otrzymała Olga Lipińska za telewizyjny „Kabaret”.

Doroczna Nagroda Publicystyczna im. Adolfa Bocheńskiego została przyznana Wolfgangowi Pailerowi, autorowi książki „Stanisław Stomma – Nestor der polnische-deutschen Aussöhnung”.

Książd prof. Józef Tischner otrzymał nagrodę polskiego Towarzystwa Wydawców.

Jan Karski otrzymał nagrodę im. ss. Brata Alberta za „heroiczną służbę Polsce”.

LISTA CZŁONKÓW WSPIERAJĄCYCH TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

INSTYTUCJE

Fundacja im. Stefana Batorego, Warszawa	10.000 ZŁ
Instytut Filologii Polskiej UAM, Poznań	1.200 ZŁ
PHZ „CENZIM” – Sp. z o.o., Warszawa	1.000 ZŁ
SIGNUM POLONICUM, Zawiercie	100 ZŁ

OSOBY PRYWATNE

Anonimowo, Płock	100 ZŁ
Anonimowo, Warszawa	100 ZŁ
Bogdan Bartnikowski, Zalesie Górne	50 ZŁ
Alfred Biderman, Poznań	60 ZŁ
Jerzy Borejsza, Warszawa	100 ZŁ
Karol Cieślak, Zamość	20 ZŁ
Tadeusz Czartoryski, Jastrzębie Zdrój	50 ZŁ
Krystyn Waclaw i Maria Czerniejewscy, Oświęcim – po raz 2-gi	20 ZŁ
Janusz Dębski, Krynica	50 ZŁ
Jerzy Dmuchowski, Warszawa – po raz 2-gi	20 ZŁ
Prof. dr hab. Hanna Dylągowa, Warszawa	100 ZŁ
Daniela Filipińska, Szczecin – po raz 2-gi	50 ZŁ
Bogusław Gołębiowski, Mińsk Mazowiecki – po raz 2-gi	50 ZŁ
Zbigniew R. i Anna Grabowscy, Warszawa	200 ZŁ
Prof. dr Artur Hutnikiewicz, Toruń – po raz 2-gi	200 ZŁ
Wanda Korulska, Warszawa – po raz 2-gi	100 ZŁ
Zdzisław Koryś, Legionowo	10 ZŁ
Jacek Kossakowski, Warszawa	120 ZŁ

Andrzej St. Kowalczyk, Warszawa	100 ZŁ
Zbigniew Kowalski, Łódź – po raz 2-gi	100 ZŁ
Maria i Lesław Kruk, Gdynia-Orłowo – po raz 2-gi	30 ZŁ
Janina Krzysztanek, Trzemeszno – po raz 2-gi	30 ZŁ
Zygmunt Krzywicki, Warszawa	50 ZŁ
Andrzej Mencwel, Warszawa	200 ZŁ
Stefania Michałkiewicz, Poznań	5 ZŁ
Jadwiga Mościcka, Płock	100 ZŁ
Maciej J. Nowakowski, Warszawa	30 ZŁ
Jan Organ, Izdebki 87 – po raz 2-gi	20 ZŁ
Anna Radziwiłł, Warszawa	100 ZŁ
Henryk Ratajczak, Wrocław – po raz 2-gi	350 ZŁ
Teresa Remiszewska-Dams, Sopot – po raz 2-gi	50 ZŁ
Janusz Schminda, Warszawa	100 ZŁ
Joanna Sokół, Warszawa	100 ZŁ
Maria Sołtyk-Koc, Warszawa	50 ZŁ
Maria Strelcyn, Manchester (Wlk. Brytania)	100 FRF
Urszula i Hubert Sylwestrzakowie, Warszawa	50 ZŁ
Janina Szestakowska, Warszawa – po raz 2-gi	36 ZŁ
Jerzy Timoszewicz, Warszawa – po raz 2-gi	120 ZŁ
Zofia Trojanowiczowa, Poznań – po raz 2-gi	125 ZŁ
Ryszard Twardosz, Kraków – po raz 2-g	100 ZŁ
Roman Uflik, Darmstadt (Niemcy)	50 DM
Aniela Uziembło, Warszawa	60 ZŁ
Wanda Wiczorek, Tychy	50 ZŁ
Z.T. Wierzbicki, Warszawa	10 ZŁ
Jerzy Wiszniewski, Warszawa – po raz 2-gi	160 ZŁ
Jan Witkiewicz, Przemyśl – po raz 2-gi	50 ZŁ
Andrzej Zakrzewski, Warszawa	200 ZŁ
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż	500 FRF

Wpłaty na prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*,
jak również członkowskie, należy przekazywać na:

**Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
ul. Hankiewicza 1, p. 0103; 02-103 WARSZAWA
Bank Zachodni SA II O/Warszawa
Nr 380014-7520-132-3000**

z zaznaczeniem na co pieniądze są przekazane.

Ci, co odeszli

Michał Heller

Przerazająco topnieje grono najbliższych przyjaciół i współpracowników *Kultury*, którzy kształtowali oblicze i linię pisma. Ostatnio zmarł Michał Heller. Strata tym dotkliwsza, że Pan Michał był również jednym z niewielu moich przyjaciół. Zmarł tak nagle i niespodziewanie, że trudno jest w to uwierzyć.

Michał Heller był Rosjaninem, a problem rosyjski jest zagadnieniem kluczowym nie tylko dla zachowania naszej niepodległości, ale wprost naszego istnienia. Problem tym trudniejszy i bardziej skomplikowany, że przez setki lat rywalizacji i wzajemnych walk, narastał rachunek krzywd, jakże trudnych do wymazania z pamięci narodu, no i powszechna nieznajomość, niezdawanie sobie sprawy, że Rosja to nie tylko problem dla Polski, ale także dla całej wschodniej Europy, a więc przede wszystkim Ukrainy, Litwy i Białorusi.

Trzeba więc tę Rosję poznać i szukać dróg do normalizacji.

W dążeniu do tego współpraca z Michałem Hellerem była nie do przecenienia. Dwadzieścia siedem lat nieustannych dyskusji, toczonych w jego paryskim mieszkanku, zawałonym książkami, czy w Maisons Laffitte, poznawanie u niego dziesiątków ciekawych Rosjan, nie tylko z emigracji, złożyło się w dużym stopniu na ukierunkowanie naszego stosunku do spraw wschodnich.

Wiedza Pana Michała to nie były jedynie spekulacje książkowe, tak typowe dla sowietologów. Jego kontakt z Rosją był niezmiernie głęboki. Dzięki cechom jego charakteru przyjaźnili się z nim nie tylko tak skłóceni przywódcy emi-

gracji rosyjskiej, ale regularnie odwiedzali go przyjeżdżający z Moskwy do Paryża pisarze, czy działacze polityczni i społeczni, pewni nie tylko przysłowiowej dyskrecji, ale znajdujący zawsze obiektywnego rozmówcę. Po rozsypaniu się Związku Sowieckiego Heller jeździł do Rosji, gdzie poszerzył sobie nieoczekiwane kontakty i znajomości.

Michał Heller był w pewnym sensie człowiekiem szczęśliwym, gdyż mimo przedwczesnej śmierci ukończył monumentalną „Historię Imperium Rosyjskiego”, zdążył zobaczyć korekty wydania rosyjskiego i francuskiego tej Historii, ale co najważniejsze, to fakt, że od roku 1995 zaczęto wydawać w Moskwie jego dzieła zebrane pt. „Historia Rosji 1917–1996”. Ukazało się już pięć tomów, ukaże się również tom, na który złożą się jego wszystkie artykuły, drukowane w *Kulturze*, pod tytułami „Z prasy sowieckiej” i „Notatki rosyjskie”. Jego dzieła zostały zakwalifikowane przez Państwowy Komitet Federacji Rosyjskiej jako podręcznik dla studentów szkół wyższych. Jest to wydarzenie niebywałe. Być może, że jest to pierwszy – jeszcze nieśmiały – krok do demokracji w Rosji. Dokonał tego jeden człowiek. Osiągnął to, czego nie potrafiły dokonać zbiurokratyzowane instytucje, tzw. sowietolodzy i eksperci. Jestem naprawdę szczęśliwy, że choć w maleńkim stopniu pomagałem mu w tej pracy. Chcę wierzyć, że to będzie również ważny krok w dążeniu do normalizacji stosunków Rosji z Europą Wschodnią, o co przez tyle lat walczyła i o co walczy *Kultura*.

Jerzy GIEDROYC

Jerzy Milewski

Z wykształcenia i z zawodu był fizykiem ciała stałego. Z zamiłowania uprawiał wspinaczkę wysokogórską. Nic nie predestynowało go do poświęcenia z górą jednej czwartej życia na zajmowanie się polityką. Naprzód, w latach 1980–81, głównie Polską Partią Pracy i siecią samorządów zakładowych. Później,

przez osiem długich lat, Biurem Zagranicznym Solidarności. Wreszcie, po powrocie do Kraju, sprawami bezpieczeństwa narodowego, a zwłaszcza – przygotowywaniem wstąpienia Polski do NATO, co stało się jego ostatnią wielką sprawą.

Jeśli tak potoczyło się jego życie, to dlatego, że PRL była przezeń zdecydowanie odrzucana, zwłaszcza, jak sądzę, z uwagi na swą niewydolność gospodarczą, ogólną niesprawność i marnotrawstwo, których nie znosił, ale również z uwagi na całkowitą obcość ideologiczną. Toteż przeżył, jak bardzo wielu, uniesienie Solidarnością i zaangażował się w nią bez reszty.

Ogłoszenie stanu wojennego zastało go na Zachodzie. Mógł znaleźć sobie spokojną pracę w jakimś instytucie naukowym, co nie było wtedy trudne dla takich, jak on, i prowadzić wygodne życie. Zamiast tego zabrał się do tworzenia Biura Zagranicznego Solidarności, co od początku było zajęciem wyjątkowo niewdzięcznym. Niemal każdy solidarnościowy emigrant chciał bowiem prowadzić własną politykę, otrzymywać subwencje, latać po świecie i zaspakajać swe ambicje w przekonaniu, że stan wojenny nie potrwa dłużej niż kilka tygodni, no, może miesięcy. Niezdolność do długofalowego myślenia była powszechna. Obserwowanie tego wystarczyło, by trwale zniechęcić do Solidarności i jej działaczy, i przyznam, że nie byłem od tego bardzo daleki. Jurek, którego w tych okolicznościach poznałem, wzbudził od pierwszej chwili mój szacunek, gdyż zabrał się bez wahania do pracy od podstaw: do uprawiania dyplomacji związkowej, czego musiał się nauczyć od zera, do urzędzenia lokalu, sporządzenia budżetu, nawiązania łączności z podziemną Komisją Krajową. Toteż rozpoczęliśmy współpracę; podczas kilku lat byliśmy ze sobą w codziennym niemal kontakcie i wymieniliśmy wiele listów. Wywiązała się z tego trwała przyjaźń.

Tworząc Biuro brukselskie i kierując nim, Jurek naraził się wielu osobom, które chciały być monopolistami sprawy Solidarności, zwłaszcza w stosunkach z instytucjami amerykańskimi. Nie wybaczone mu nigdy jego sukcesów: aktywności dyplomatycznej, uzyskania dla związku wysokich subwencji od Kongresu USA, przyjęcia przez prezydenta Reagana, wynegocjowania członkostwa Solidarności w Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych. Użyto więc

przeciw niemu ulubionej broni frustratów: plotek, pomówień, bezzasadnych oskarżeń, których echa pobrzmiwały jeszcze całkiem niedawno w paszkwilanckich artykułach.

Przejmował się tym, ale nadal robił to, co uważał za swój obowiązek. Było w nim coś z harcerza, który nie zejdzie z posterunku, póki nie odwoła go zastępowa. I coś z harcerskiej prostoliniowości, która raczej nie ułatwiała łagodzenia konfliktów. Zarazem odznaczał się wytrwałością, umiejętnością odróżnienia celu nadrzędnego od szczegółów i talentami organizatorskimi. Dzięki niemu i jego współpracownikom z Biura brukselskiego – a było ich sporo – podziemie dostawało w znacznych ilościach materiały drukarskie, środki łączności i pieniądze, bez czego nie byłoby w stanie działać, a zapewne nawet istnieć przez kilka lat. Z tego tytułu był jednym z współautorów zwycięstwa Solidarności. Ale współautorem nigdy nie uznanym, gdyż obowiązujące zakłamanie nakazywało i nakazuje nadal przeczyć temu, jakoby związek otrzymywał jakiekolwiek pieniądze z zagranicy i głosić, że wszystko, co zrobiono, zrobiono wyłącznie dzięki bezinteresowności i poświęceniu. Jurkowi nie pozwolono zatem na ogłoszenie pełnego sprawozdania Biura brukselskiego, w tym – rozliczeń finansowych.

Po powrocie do Kraju, Jurek współpracował z Lechem Wałęsą jako odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa narodowego i wiceminister obrony narodowej. Był mu wierny w czasach podziemia, pozostał taki i później, choć zdawał sobie dobrze sprawę z jego wad. Zerwał z nim dopiero wtedy, gdy musiał wybrać między wiernością wobec osoby a poszanowaniem prawa i instytucji Rzeczypospolitej. Jurek okazał się bowiem doskonałym urzędnikiem państwowym wysokiego szczebla: miał poczucie wagi, jaką ma dla państwa ciągłość podstawowych instytucji i przestrzeganie przepisów, nie uznawał stawianie prywaty nad dobrem publicznym, był pozbawiony partyjnego zaślepienia, które podporządkowuje wszystko interesom wąskiej grupy. Do przyjęcia odpowiedzialności za sprawy bezpieczeństwa narodowego w kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego skłoniło go właśnie przekonanie, że może w ten sposób kontynuować to, co zaczął, tj. modernizację obronności i działanie na rzecz przyjęcia Polski do NATO.

Od dłuższego czasu był ciężko chory. Pracował nadal. Walczył z chorobą odważnie i nieustępliwie, jak w czasie stanu wojennego z władzami PRL. W poniedziałek 11 lutego zwołał u siebie zebranie swych współpracowników, gdyż nie mógł już wyjść z domu. We wtorek umarł.

Krzysztof POMIAN

Andrzej Kłossowski

Andrzej Kłossowski, zmarły 30 stycznia br. w wieku 59 lat, był związany od 1975 r. z Biblioteką Narodową. W latach 1990-94 zajmował stanowisko zastępcy dyrektora.

Był inicjatorem i organizatorem pomocy Bibliotece Polskiej w Paryżu, realizowanej przez Bibliotekę Narodową. Był również założycielem i prezesem Towarzystwa Rapperswilskiego. W 1994 r. został profesorem na Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu, gdzie przez niemal trzy lata prowadził wykłady, seminaria magisterskie oraz badania poświęcone książce polskiej na obczyźnie; jej instytucjom i pracownikom w Katedrze Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

W roku 1996 sfinalizowano pod jego opieką siedem prac magisterskich, m.in. na następujące tematy: „Polonica w zbiorach brytyjskich”, „Paryska Libella i Galerie Lambert Zofii i Kazimierza Romanowiczów”. „Stanisław Piaskowski i jego Sigma Press” czy „Książka polska na Litwie od 1918 roku po czasy współczesne”. Otworzył dwa przewody doktorskie. Drugi z nich miał dotyczyć pomocy Instytutu Literackiego dla inteligencji w Polsce w latach 1946-1990.

Andrzej Kłossowski nie odszedł całkowicie z Biblioteki Narodowej. W lipcu 1994 powołał w niej Pracownię Badań nad Książką Polską za Granicą (w strukturze organizacyjnej Działu Zbiorów Specjalnych), do której zakresu należy prowadzenie prac badawczych i dokumentacyjnych związanych zarówno z dziejami i rolą książki polskiej na obczyźnie,

jak i zbiorami materiałów polonijnych i dotyczących Polonii w bibliotekach polskich.

Bibliografia publikacji naukowych i popularno-naukowych Andrzeja Kłossowskiego, bo przecież nie stronił od tej formy upowszechniania wiedzy o kulturze emigracyjnej, obejmuje zarówno prace dotyczące Biblioteki Narodowej, z wydanym w 1990 roku (po trzech latach oczekiwania) przewodnikiem „Biblioteka Narodowa w Warszawie. Zbiory i działalność”, jak i publikacje na temat historii drukarstwa, księgarstwa, bibliofilstwa i książki polskiej poza granicami Polski w XIX i XX wieku. Jednak najistotniejsze w dorobku badawczym Andrzeja Kłossowskiego są prace poświęcone ludziom książki polskiej na obczyźnie. Wiele wybitnych i mniej znanych emigracyjnych i polonijnych wydawców, drukarzy, księgarzy, bibliofilów, bibliografów, wreszcie przyjaciół książki, zawdzięcza mu nie tylko obecność w krajowych opracowaniach naukowych, zainteresowanie studentów i czytelników, ale także wcale liczne nagrody i wyróżnienia, o które zabiegał z uporem i determinacją.

O ludziach książki pisał bardzo dużo. Osobne książki lub tylko szkice poświęcił m.in. Anatolowi Girsowi, Stanisławowi Gliwie, Czesławowi i Krystynie Bednarczykom, Zofii i Kazimierzowi Romanowiczom, Marii Danilewicz Zielińskiej, ale też wydawcom i księgarzom XIX wieku, od Eustachego Januszkiewicza, założyciela pierwszej na emigracji księgarni polskiej w Paryżu, przez Jana Nepomucena Młodeckiego, Władysława Mickiewicza, Gabriela Ogińskiego, po Adolfa Reiffa. Wydana w 1984 roku obszerna praca Kłossowskiego „Na obczyźnie. Ludzie polskiej książki” jest wciąż jeszcze pozycją niezastąpioną.

Niemal zawdzięcza mu również Archiwum Emigracji Bilioteki UMK w Toruniu. Był też recenzentem pierwszych wydawnictw w serii Archiwum *Wiadomości* i miał wejść do redakcji powstającego w Toruniu kwartalnika poświęconego kulturze emigracyjnej.

I wszystko to – jeden człowiek.

Miroslaw A. SUPRUNIUK

Książki

Nowa książka Danuty Mostwin

Przyznaję, że moim pierwszym odruchem, kiedy *Kultura* zwróciła się do mnie z propozycją omówienia najnowszej powieści Danuty Mostwin: „Nie ma domu” (Norbertinum, Lublin, 1996), była niechęć. Jeszcze jedna książka o powstaniu warszawskim? Czyż nie napisano już ich dosyć? Czy ten temat nie obrósł już w (prawie) tak obszerną literaturę jak Holocaust? Czy można coś nowego na ten temat napisać? A jeśli tak, to dlaczego trzeba było na to czekać z górą 50 lat?

W postłowie do książki Danuta Mostwin (której nazwisko dla wielu kojarzy się raczej z naukowymi studiami socjologicznymi nad Polonią amerykańską) wyjaśnia, że „Nie ma domu” to ostatnia, ale chronologicznie pierwsza, pozycja sagi rodzinnej, próbującej uchwycić metodą powieściopisarską ten sam proces, który autorka – w swej alternatywnej roli profesora nauk społecznych – bada i próbuje opisać naukowo. Słowem – kluczem do całej twórczości jest słowo DOM; przedmiotem jej zainteresowań jest proces przymusowej i (z zasady) traumatycznej dyslokacji ludzkiego życia i jej stopniowe przezwycięzanie przez mozolny proces ponownego zdomawiania się w nowych środowiskach: trwanie i odbudowywanie domu.

Nie jest wykluczone, że przyszedł historycy, patrząc wstecz, oceniają to zjawisko masowej migracji wielkich rzesz ludzkich (które nie tylko nie ustaje, a przeciwnie, wzmacnia się, aby osiągnąć w dzisiejszych czasach skalę prawdziwie globalną), za najbardziej brzemiennie w skutki dziedzictwo różnych totalitaryzmów, jakie nękały nasz XX wiek.

W tej monumentalnej sadze poplątanych ludzkich losów, jaką jest emigracja, Danutę Mostwin interesuje specjalnie emigracja wojenna, której jej własna biografia stanowi część.

Książka „Nie ma domu” jest jakby powrotem do źródeł tej pierwszej chyba w naszym stuleciu przymusowej emigracji

– emigracji będącej rezultatem kataklizmu wojennego i przekształceń polityczno-społecznych, jakiemu torowała drogę wojna. Ta powieść, której akcja rozpoczyna się we wrześniu 1944 r., jest kroniką wydarzeń historycznych, które dla rodziny inteligenckiej aktywnie zaangażowanej w walkę podziemną w AK – po próbach konstruktywnego włączenia się w tuż-powojenną rzeczywistość i właściwym odczytaniu znaków tego, co niesła przyszłość – musiało prawie *nieuchronnie* prowadzić do decyzji opuszczenia kraju. W wypadku bohaterów tej (wysoce autobiograficznej, można się domyślić) powieści, decydują się oni na przekroczenie „zielonej granicy” w grudniu 1945. Dają oni zapewne wyraz uczuciom wielu, już zgadujących, co niesie przyszłość, kiedy – już w pociągu wiozącym ich na Zachód, patrzą wstecz, na rok właśnie dobiegający końca:

„Ciężki rok. Przejdzie do historii jako jeden z najcięższych, najtragiczniejszych okresów życia narodu. I taki niejasny. Taki okrutnie splątany. Może dopiero po latach dowiemy się prawdy. (...) Za nami rok 1945, rok okrutnych rozczarowań”.

Dlaczego musiało upłynąć ponad 50 lat, aby autorka mogła zdobyć się na to spojrzenie wstecz? Danuta Mostwin tak to tłumaczy w posłowie do książki:

„Pisałam wtedy, gdy czułam się gotowa do opracowania tematu pod względem emocjonalnym i intelektualnym. Muszę przyznać, że dopiero długie lata emigracji i studia amerykańskie przygotowały mnie do pisania o tragedii polskiej bez osobistych emocji i z dystansem”.

Książka Danuty Mostwin, która – skłonna byłabym podejrzewać – może być już ostatnią znaczącą pozycją w literaturze wspomnieniowo-pamiętnikarskiej dotyczącej II wojny światowej, jest jakby otwarciem rany w kolektywnej świadomości Polaków, którą wpływ czasu zabił, ale o której jeszcze nie można zapomnieć, o której *trzeba* pamiętać. Choćby dlatego, że jej skutki są z nami i pozostaną jeszcze czas jakiś. Przynajmniej tak długo, aż rozplynie się w tyglu amerykańskim (i wielu innych) ta „trzecia jakość”, którą opisała autorka tej książki, nowa tożsamość polskiego emigranta, jeszcze mającego świadomość swoich korzeni, ale już puszczającego nowe pędy na rozdrożach świata.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

Nowe katalogi rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu opublikowało ostatnio dwa tomy VI i VII katalogów rękopisów, jakie znajdują się w paryskiej Bibliotece Polskiej¹. Warto przypomnieć w kilku słowach, że Biblioteka ta posiada najbogatszy księgozbiór i archiwa dotyczące Wielkiej Emigracji i w ogóle działalności Polaków we Francji w XIX i XX wieku. Jest tam również zgromadzony bogaty zbiór rękopisów, autografów, olejnych obrazów, sztychów, rysunków, rzeźb i medali oraz nieoceniona kolekcja map i atlasów. Jeśli chodzi o rękopisy, to znaczna ich część nie jest dotychczas zinwentaryzowana, stąd duże znaczenie podjętej pracy uwieńczonej publikacją dwu tomów katalogów.

Tom VI katalogu rękopisów, zawierający zespół Archiwum Czartoryskich – Hôtel Lambert, opracował Janusz Pezda, a robił to od 1989 roku – jak podkreślił Leszek Talko, dyrektor Biblioteki Polskiej, w przedmowie do tego tomu – „z oddaniem, entuzjazmem i doskonałą znajomością przedmiotu”. Przygotowanie do tematu Pezda nabył podczas wieloletniej pracy nad uporządkowaniem Archiwum Domowego Czartoryskich, które znajduje się w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Ze znajomością przeto rzeczy Pezda pisze we wprowadzeniu do Katalogu, że Biblioteka Polska w Paryżu i Czartoryskich w Krakowie „są ze sobą nierozzerwalnie związane, a ich zbiorów praktycznie nie można rozpatrywać oddzielnie”, wyrażając jednocześnie nadzieję, iż „być może w przyszłości będzie możliwe stworzenie katalogu idealnego całości zbiorów Czartoryskich”.

Przed sprzedażą budynku Hôtel Lambert, znajdujące się tam w skrzyniach archiwa Czartoryskich zostały przeniesione do

1. Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu, „Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu”, tom VI, Archiwum Czartoryskich. Hôtel Lambert. Sygnatury 760-1135. Katalog opracowany przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Sztuki RP i Fundacji z Brzezia Lanckorońskich. Opracował: Janusz Pezda. Paryż – Warszawa 1996. Biblioteka Polska w Paryżu – Biblioteka Narodowa w Warszawie, str. 236. Tom VII. Sygnatury 1136-1359. Katalog opracowany przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Sztuki RP. Opracowali: Maria Gamdzyk-Kluźniak, Danuta Kamolowa, Andrzej Kaszlej, Marek P. Prokop, Teresa Sieniatcka. Paryż – Warszawa 1996. Str. 228.

Biblioteki Polskiej w latach 1972-1974. Po uporządkowaniu, skłasyfikowaniu i zinwentaryzowaniu, Pezda podzielił cały materiał, zawarty w Katalogu, na trzy części. W części pierwszej ułożone są chronologicznie: spuścizny osób, co stanowi cenne uzupełnienie dokumentacji przechowywanej w Krakowie, oraz papiery instytucji i organizacji, a następnie materiały dotyczące majątków Czarotoryskich. Część druga zawiera opisy działalności finansowej i dobroczynnej Czarotoryskich w latach, kiedy mieszkali w Hôtel Lambert. Część trzecia obejmuje papiery dotyczące prac remontowych i budowlanych, które Czarotoryscy prowadzili tak w Hôtel Lambert, jak i w innych domach, gdzie zamieszkiwali.

Janusz Pezda opracował Katalog z przykładową starannością i dokładnością, zasługującą tym bardziej na uznanie, że miał do czynienia z materiałem całkowicie „surowym”, którego samo już uporządkowanie wymagało wiele cierpliwości i czasu. W zwięzłym wstępie Pezda naszkicował związki Czarotoryskich z Paryżem i ich siedzibą w Hôtel Lambert, załączając użyteczną również tablicę genealogiczną Czarotoryskich linii puławskosieniawskiej, tej której opracował archiwa. Katalog został zaopatrzony w trzy indeksy: osób; instytucji, czasopism i stowarzyszeń; oraz nazw geograficznych.

Opublikowany z kolei tom VII Katalogu rękopisów jest opracowaniem zbiorowym, które przygotowano przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Sztuki RP. W tomie tym znajdują się opisy zespołów pięciu Polaków, którzy mieszkali i działali we Francji w XX wieku. Każdy zespół został opracowany przez inną osobę, w tym cztery osoby, to pracownicy Biblioteki Narodowej w Warszawie, a tylko jedna (dr Marek P. Prokop) z paryskiej Biblioteki Polskiej, z której pomagały również w korekcie całości: Ewa Rutkowska i Ada Wysocka.

Pierwszym zespołem w Katalogu (sygn. 1136-1202), najobszerniejszym, jest spuścizna konsula generalnego Aleksandra Kawałkowskiego (1899-1965), opracowana przez Andrzeja Kaszleja. Zawartość tego zespołu pochodzi z różnych okresów życia Kawałkowskiego, nie obejmuje jednak w całości żadnego, ale uwidacznia jego aktywność w różnych dziedzinach. Cennym materiałem tego zespołu jest dokumentacja dotycząca roli, jaką – po wybuchu drugiej wojny światowej – odegrał Kawałkowski w organizowaniu mobilizacji do Armii Polskiej we Francji. Mniej natomiast wnoszą fragmenty dokumentacji z okresu okupacji o działalności powołanej i kierowanej przez niego Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość (POWN) – „Moniki”. Dokumentacja uzupełniająca częściowo ten okres znajduje się

w archiwach Instytutu Polskiego i Studium Polski Podziemnej w Londynie. Wartościowy z kolei materiał w Paryżu, odpowiednio skatalogowany przez Kaszleja, dotyczy dorobku pisarskiego Kawałkowskiego, zwłaszcza jego powojennej publicystyki, odnoszącej się do politycznego życia we Francji, gdzie był renomowanym interpretatorem polityki gen. de Gaulle'a. Nie zostało ustalone kiedy i kto złożył archiwa Kawałkowskiego w Bibliotece Polskiej.

Drugim zespołem (sygn. 1203-1243) jest niewielka spuścizna poety Jana Brzękowskiego (1903-1983), w opracowaniu Marii Gamdzyk-Kluźniak. Zespół ten składa się przede wszystkim z korespondencji (około 3.700 listów) i obejmuje lata 1926-1968, ale głównie pochodzi z okresu powojennego i „ma charakter literacki i zdecydowanie ‘zawodowy’”. Gamdzyk-Kluźniak wyodrębniła listy Krystyny i Czesława Bednarczyków, Brunona Durochera, Jerzego Giedroycia, Zbigniewa A. Grabowskiego, Juliana Przybosia oraz Jana Alfreda i Marii Szczepańskich a pozostałe listy ułożyła alfabetycznie, według autorów, w dwudziestu tomach. Dotychczas nie wiadomo, w jaki sposób spuścizna Brzękowskiego znalazła się w Bibliotece Polskiej.

Trzecim zespołem (sygn. 1244-1269) jest spuścizna wydawcy Stanisława Lama (1891-1965), opracowana przez Marka P. Prokopa. Spuściznę tę przekazywało Bibliotece Polskiej kilka osób w różnych odstępach czasu, wśród których głównie wdowa Paula Lam, Maria Pobóg-Malinowska i Florentyna Wolanowska, współpracowniczka Lama z Księgarni Polskiej w Paryżu. W spuściznie tej znajduje się również fragment (papiery osobiste, korespondencja, twórczość), dotyczący żony Stanisława Lama, Pauli. W starannie opracowanym przez Prokopa zespole wyróżniają się następujące pozycje: maszynopis „Pamiętnika” Stanisława Lama; jego korespondencja; listy Jana Lechonia do różnych osób, darowane Towarzystwu Historyczno-Literackiemu i włączone później, przez Wandę Borkowską, do rękopisów wierszy Lechonia, które Lam wydał w Antologii: „Najwybitniejsi poeci emigracji współczesnej” (Paryż 1951). Ścisłe związane z działalnością Lama stanowią papiery dotyczące jego pracy w Księgarni Polskiej w Paryżu, oraz materiały biograficzne przygotowywane do „Wielkiej Encyklopedii XX wieku” i do „Słownika Biograficznego Polaków w Świecie” (te ostatnie złożone w Bibliotece Polskiej przez Marię Pobóg-Malinowską), które – posegregowane alfabetycznie przez Prokopa – zawierają liczne biogramy rozrzuconych po świecie Polaków.

Czwarty zespół (sygn. 1270-1309) stanowią papiery ma-

larza Konstantego Brandla (1880-1970), opracowane przez Danutę Kamolową. Brandel żył i tworzył w Paryżu od 1903 roku do śmierci w 1970. Papiery te zostały przekazane Bibliotece Polskiej przez jego siostrzeńca Witolda Leitgebera, dziennikarza-publicystę, mieszkającego w Londynie. Spuścizna Brandla pochodzi z lat jego paryskiego życia z wyjątkiem nielicznych fragmentów rodzinnych z okresu wcześniejszego. Najobszerniejszym i najbardziej cennym materiałem w tym zespole jest korespondencja, zawierająca około 4.500 listów. Kamolowa uporządkowała systematycznie całą korespondencję, podzieliła ją na listy pisane przez Brandla i otrzymane przez niego, zwracając uwagę, że duże partie listów pochodzą od osób wybitnych jak: Józef Czapski, Rosa Bailly, Jean Buhot, Lucien Cameau, Jean Paul Vaillant, Tadeusz Cieślowski (syn), Stanisław Lorentz, Franciszek Prochaska, Ludomir Michał Rogowski, Stanisława Sawicka, Samuel Tyszkiewicz, Stanisław Vincenz. Obszerna jest również (766 listów) wzajemna korespondencja Brandla ze wspomnianym wyżej Leitgeberem.

Piątym i ostatnim zespołem (sygn. 1310-1359) jest spuścizna malarza grafika, Ludwika Lillego (1897-1957) opracowana przez Teresę Sieniatkę. Pochodzenie tej spuścizny opisał Jan Winczakiewicz w nocy, jaka się tam znajduje (sygn. 1310). Zespół składa się z pogadek, które Lille wygłaszał w Sekcji Polskiego Radia Francuskiego w latach 1946-1957. Sieniatka skutecznie uporała się z materiałem dość trudnym chyba do zinwentaryzowania. Teksty pogadek – jak zaznacza – nie są przeważnie datowane i stanowią raczej brulionowe notatki, mające być pomocne podczas ich wygłaszania. Zakres tematyczny pogadek był dość szeroki i obejmował m.in. informacje o aktualnych wydarzeniach życia artystycznego Paryża, sylwetki artystów, opisy polskiej kolonii artystycznej w Paryżu i malarzy polskich we Francji.

Obydwa tomy Katalogu rękopisów, o których jest tutaj mowa, wydane zostały przejrzyście. W tomie VII należało raczej każdy zespół rozpoczynać na nowej stronie, żeby było lepiej widoczne, gdzie kończy się jeden a zaczyna następny. We wstępie do tomu VII, autorzy opracowań poszczególnych zespołów piszą, że tom ten powstał w specyficznych warunkach, gdyż większość z nich (pracowników Biblioteki Narodowej) „miała ograniczone możliwości bezpośredniej pracy nad rękopisami znajdującymi się w Paryżu”, stąd i większa wyrozumiałość usterek, trudnych w danym wypadku do uniknięcia. Zespoły rękopisów w następnych tomach Katalogów należałoby ujednolicić tematycznie i tym samym nadać każdemu profil bardziej jednolity.

Tadeusz WYRWA

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

16.12.96

Zmarł w Krakowie Konrad Sieniewicz, czynny działacz w okresie okupacji. Wybrany w 1945 r. na II konspiracyjnym Kongresie Stronnictwa Pracy sekretarzem generalnym. Zagrożony przez UB opuścił Polskę. Do ostatnich lat był czynny w emigracyjnym Stronnictwie Pracy i Światowej Organizacji Chrześcijańskiej Demokracji pełniąc w niej funkcję wiceprezesa.

1.1.97

Zmarła w Warszawie w wieku 96 lat Janina Kotarbińska, wybitna uczona w zakresie logiki, semantyki i metodologii nauk empirycznych. Była żoną Tadeusza Kotarbińskiego.

9.1.97

Zmarł w Warszawie w wieku 87 lat Edward Osóbka-Morawski. W 1944 r. był przewodniczącym PKWN a następnie premierem Rządu Tymczasowego RP, a później Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej do 1947 r. W 1949 r. został usunięty ze stanowisk państwowych i do 1968 r. był dyrektorem Centralnego Zarządu Uzdrawisk.

12.1.97

Dziennik wojskowy *Polska Zbrojna* został przekształcony w 48-stronicowy tygodnik. Jest to jedno z najstarszych pism w Polsce. Pierwszy numer ukazał się 9-go października 1921 r. Założycielem i pierwszym redaktorem był Remigiusz Kwiatkowski. Ostatni numer ukazał się 20 września 1939 r. *Polska Zbrojna* została wznowiona przed 6 laty.

26.1.97

Zmarła w Warszawie w wieku 96 lat Mira Zimińska-Sygietyńska, aktorka teatralna i filmowa, piosenka, współzałożycielka i dyrektor Zespołu „Mazowsze”.

27.1.97

Zmarła w Skolimowie w wieku 96 lat Irena Byrska, aktorka, reżyser, dyrektor wielu teatrów, pedagog.

29.1.97

Ukazał się 500 numer miesięcznika *Znak* oraz 100 numer miesięcznika *Respublika Nowa*. Składamy gratulacje.

31.1.97

Studium Europy Wschodniej i Azji Środkowej Uniwersytetu

Warszawskiego zorganizowało dwudniową konferencję na temat „Polskie badania wschodnie po 1989 r.”

1.2.97

Polska znalazła się w grupie 30 państw, które zapłaciły w pełni składkę członkowską ONZ. Wynosi ona 3.514.760 dolarów. W ubiegłym roku ze 180 państw członkowskich tylko 97 zapłaciło składkę. Największym dłużnikiem ONZ są Stany Zjednoczone, które zalegają z wpłatą, 1,2 miliarda dolarów.

4.2.97

Zmarł w Warszawie w wieku 70 lat Juliusz Eska, wieloletni zastępca redaktora naczelnego *Więzi*. Przez szereg lat był korespondentem watykańskim tego pisma.

ZACHÓD – EMIGRACJA

10.12.96

Zmarł w Nowym Jorku Eugeniusz Kusielewicz, emerytowany profesor historii Uniwersytetu St. Johns w Nowym Jorku. Prof. Kusielewicz był przez 10 lat prezesem nowojorskiej Fundacji Kościuszkowskiej oraz przez dwie kadencje dyrektorem Katolickiego Towarzystwa Historycznego w Waszyngtonie.

18.12.96

Zmarł w Paryżu Jerzy Ursyn-Niemcewicz, działacz niepodległościowy, b. prezes SPK we Francji.

19.12.96

Zmarł w Londynie w wieku 76 lat prof. Mieczysław Sas-Skowroński, oficer Brygady Karpackiej, b. redaktor *Rzeczypospolitej na Obczyźnie*, b. rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

20.12.96

Zmarła w Kanadzie Jadwiga Domańska, aktorka, organizatorka i kierowniczka Teatru Drugiego Korpusu.

6.1.97

Zmarł w Glasgow (Anglia) w wieku 41 lat Donald Pirie, tłumacz, historyk i wykładowca literatury polskiej na uniwersytecie w Glasgow. Wydał antologię współczesnej literatury polskiej oraz założył grupę „Bristol” zrzeszającą nauczycieli języka polskiego z całego świata.

9.1.97

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt prof. Adama Jamroza, prorektora Uniwersytetu Warszawskiego d/s Filii w Białymstoku, na temat „Perspektywy rozwoju białostockiego ośrodka naukowego”.

13.1.97

Zmarł we Francji w wieku 89 lat Jan Ulatowski, wybitny historyk sztuki i publicysta.

21.1.97

W Centre de Civilisation Polonaise de l'Université Paris IV – Sorbonne miał miejsce wieczór dyskusyjny pod przewodnictwem prof. Daniela Beauvois na temat „Polskie mity. Historia, literatura, polityka” z udziałem François Rosseta z uniwersytetu w Lozannie, Marcina Frybesa, socjologa, Michała Tymowskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Patricka Michela, socjologa i politologa oraz Krzysztofa Rutkowskiego, pisarza i krytyka literackiego.

23.1.97

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Henryk Samsonowicz wygłosił odczyt „Trois visions de l'Europe médiévale unifiée”.

25.1.97

Prof. Henryk Ratajczak, dyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu, w czasie swojego pobytu w Mińsku zaprosił do Paryża R. Zhabankova, prof. Instytutu Fizyki Białoruskiej Akademii Nauk, który wygłosił odczyt o sytuacji nauki w Białorusi.

2.2.97

Zmarł w Londynie w wieku 91 lat Zbigniew Racięski, żołnierz i korespondent wojenny armii gen. Andersa, długoletni londyński korespondent Radia Wolna Europa i nowojorskiego *Nowego Dziennika*. Współtwórca i wieloletni przewodniczący Anglo-Polish Conservative Society; honorowy sekretarz Światowej Federacji Wolnych Dziennikarzy, członek honorowy Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej w Londynie.

3.2.97

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt Andrzeja Nieuważnego na temat „Rola Polaków we francuskim wywiadzie w epoce napoleońskiej”, a 26.2.97 Tadeusz Wyrwa będzie mówił o „Kolaboracji: z faszyzmem we Francji 1940-1944 i z komunizmem w Polsce od 1944 r.”.

8.2.97

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Władysława Bartoszewskiego w 75-tą rocznicę jego urodzin na temat „Polska wczoraj, dziś i jutro z doświadczeń jubilatą”. Poprzednio 31-go

stycznia – Alain de Penanster wygłosił odczyt „Les médias dans la vie civile et religieuse”.

10.2.97

W Instytucie Kultury Polskiej w Londynie odbyła się promocja książki Rafaela F. Scharfa, o podwójnym polsko-angielskim tekście, pt. „Co mnie i tobie Polsko... Eseje bez uprzedzeń” („Poland, What have I to do with Thee... Essays without Prejudice”). Książkę przedstawił prof. Leszek Kołakowski.

21.2.97

W Stowarzyszeniu Polskim w Genewie ks. Stanisław Obirek SJ, rektor Kolegium Księża Jezuitów w Krakowie, wygłosił odczyt „Kościół polski w XXI w. Szanse i zagrożenia”. Poprzednio, p. Olga Krzyżanowska, wicemarszałek Sejmu RP, mówiła na temat „Co się w Polsce udało, a co się nie udało po 1980 r.”

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Listy do Redakcji

22 stycznia 1997 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jak podał szwedzki dziennik businessu *Dagens Industri* z 18 stycznia 1997, powołując się na wypowiedź dyrektora informacyjnego koncernu Saab, Jana Ahlgrena, firma ta oferuje Polsce możliwość leasing'u dywizjonu, tj. 17 sztuk starszego samolotu Viggen pod warunkiem, iż rząd polski zdecyduje się w przyszłości dokonać zakupu szwedzkiego samolotu wielozadaniowego JAS 39 Gripen.

Ewentualny leasing jakichś samolotów jest praktycznie równoważny z decyzją przyszedłszy ich zakupu dla potrzeb polskich sił powietrznych. Dlatego też z ofertą taką wystąpili wcześniej producenci amerykańscy: samolotu F-16 (Lockheed Martin) i F-18 Hornet (McDonnell Douglas).

Nie sugerujemy tu bynajmniej, iż dla swojego lotnictwa bojowego powinien rząd polski wybrać samolot amerykański. Przyszły wybór zależeć musi od szeregu czynników, nie tylko technicznych i politycznych, ale także ekonomicznych, w tym – od wysokości zakupów kompensacyjnych (tzw. *offset*) i oferty kredytowej. Dziwi nas jedynie, że Saab Military Aircraft oferuje Polsce leasing samolotów Viggen, które są sprzętem starym i bardzo zawodnym.

Prototyp samolotu Viggen wzbił się w powietrze już dość dawno temu, bo w roku 1967. Jego producent, koncern Saab, wiązał z nim wielkie nadzieje, ale samolot Viggen nigdy nie stał się szwedzkim sukcesem eksportowym, gdyż nikt nie chciał kupić maszyn tak mało bezpiecznych. Do uzbrojenia szwedzkich sił powietrznych wszedł Viggen w roku 1970; od tego czasu producent dostarczał szwedzkiemu lotnictwu 329 maszyn, z których poważnym awariom uległo 45 – jest to procent bardzo wysoki. Dwie ostatnie katastrofy zdarzyły się stosunkowo niedawno: w sierpniu 1996 koło Örnköldsvik (śmierć poniósł wówczas 28-letni, doświadczony pilot, mający 450 godzin wylatanych na samolotach Viggen) i w październiku 1996, gdy jeden z dwóch samolotów Viggen, biorących udział w normalnym locie patrolowym, wpadł nagle do Bałtyku.

Zawodność samolotów Viggen jest dobrze znana i często była tematem artykułów w powszechnie dostępnej prasie. Można się więc dziwić, że także w Polsce dyskutowana jest poważnie

możliwość *leasing'u* tych właśnie maszyn. Przypomnijmy, iż McDonnell Douglas (dziś już należący do Boeinga) chciał bezpłatnie wydzierżawić Polsce na 5 lat swoje najnowocześniejsze F-18.

Warto także pamiętać, że choć szwedzki samolot wielozadaniowy JAS 39 Gripen posiada niewątpliwie pewne zalety, z których najistotniejszymi są stosunkowo przystępna cena i niski koszt eksploatacji, to jednak z technicznego punktu widzenia też nie jest już „nowości kwiatem”. Jak powiedział dziennikowi *Svenska Dagbladet* (17.1.1997) dyrektor techniczny szwedzkiego Urzędu Zaopatrzenia Sił Obrony, Peter Lundberg, JAS 39 Gripen będzie może za jakieś 10-15 lat dysponować tzw. wektorowaną siłą ciągu, którą już dziś mogą się poszczycić rosyjskie samoloty SU-37 i SU-32. Ta nowa funkcja, zapewniająca samolotom niewiarygodną zwrotność, zupełnie zrewolucjonizuje wojskowy przemysł lotniczy. Podobne rozwiązanie zastosowane jest w amerykańskim, znajdującym się dopiero w stadium prób, samolocie X-31; wszyscy ci, którzy na pokazach widzieli zdecydowaną przewagę X-31 nad tradycyjnymi F-16 czy F-18, przekonali się naocznie, co umożliwia „jet kierunkowy”.

Ponieważ samolot Viggen okazał się całkowitym fiaskiem eksportowym, Saab Military Aircraft jest w dość desperackiej potrzebie sprzedania komukolwiek swojego JAS-a – najkosztowniejszego projektu w historii szwedzkiego przemysłu. Przykład Węgier wskazuje, że Szwedzi byłiby prawdopodobnie skłonni do zaofiarowania tzw. *offsetu* wyższego niż ich konkurenci. Mogłoby to także być argument przemawiający za wyborem przez Polskę samolotu JAS 39 Gripen. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego rozważany jest *leasing* samolotów Viggen, a więc dlaczego ktoś chce uszczęśliwić polskich lotników sprzętem, którego szwedzkie siły powietrzne pozbywają się właśnie z wielką ulgą.

Stefan ABNER

Poznań 4 lutego 1997 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W pierwszym tegorocznym numerze *Kultury* ukazał się list Przemysława Bystrzyckiego, polemizujący z recenzją Tadeusza Chrzanowskiego o jego książce pt. „Szabasy z Brandstaetterem”.

W istocie jednak polemika ta była tylko pretekstem. Bowiem głównym wątkiem listu było szkalowanie zasłużonego dla niezależnej kultury kolegi, którego nazwiska z obawy przed konsekwencjami sądowymi nie wymieniam.

Rzecz dotyczy konspiracyjnego zebrania pisarzy w Poznaniu, mającego na celu utrzymanie ciągłości zawieszonego wówczas Związku Literatów Polskich. Zostało ono przerwane przez najście SB.

Bystrzycki tendencyjnie podaje kłamliwe fakty i daty związane z tym wydarzeniem.

1) Odbłyło się ono w październiku 1985, a nie w 1983.

2) Bystrzycki pisze: „...zgarnięto z ‘tajnego’ zebrania i przetrzymano przez kilka godzin (z wyjątkiem samego gospodarza!) przybyłych na ten obiad”.

Nieprawda. Gospodarza, Jerzego Korczaka z żoną też zgarnięto, uprzednio urządziwszy w mieszkaniu gruntowną rewizję.

3) Bystrzycki, który w żadnych konspiracyjnych pracach środowiska nie brał udziału, pisze: „Wcześniej w rozmachu sprawy, gości zaproszono zbyt wielu, co już nazajutrz spotkało się z ostrą admonicją, organizującą ten spektakl SB”.

Nasuwa się pytanie: skąd Bystrzycki ma tak dokładne „informacje”? Skąd dostępy do takich „źródeł”?

Ponieważ pomówienia są także pod adresem nieżyjących kolegów, zmuszeni jesteśmy w imię prawdy historycznej fakty te ujawnić i stanowczo przeciwko takim praktykom zaprotestować.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Edward BALCERZAN – uczestnik zebrania
Bogusław LATAWIEC – uczestnik zebrania

Egon NAGANOWSKI – uczestnik zebrania,
b. v-prezes PEN-Clubu

Ewa NAJWER – jedna z organizatorów rzeczono-
spotkania

Na tym zamykamy dyskusję. Red.

Ottawa, 22 stycznia 1997

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zaciekawieniem przeczytałem notatkę profesora Piotra Wandycza pt. „Zapomniana książka”, zamieszczoną na stronach 149-151 numeru 12/591 (1996) *Kultury*. Wzmianka ta mówi o książce pt. „A search for knowledge and freedom – A la recherche du savoir et de la liberté” wydanej w roku 1995 przez Oddział Ottawa, Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie, w związku z obchodami 50-lecia Instytutu w roku 1993.

Pragnę jednak zwrócić uwagę na pewną nieścisłość. Otóż, wymienionym w notatce Andrzejem Garlickim jestem ja sam, a nie warszawski historyk. Zostało podane, że pracuję w National Research Council of Canada, zostało zamieszczone moje zdjęcie, a na stronach 255-260, moja notatka biograficzna... Poza tym skrupulatnie używam inicjału mojego drugiego imienia „M”, ażeby nie mylić mnie z moim warszawskim imiennikiem...

Przyszę przyjąć wyrazy wysokiego poważania i uścisk dłoni

Andrzej M. GARLICKI

20 stycznia 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do mego artykułu „Ścisłe tajne z Watykanu” (*Kultura* nr 12. z 1996 r.) wkradło się kilka błędów drukarskich, które chciałbym skorygować.

Na str. 103 w 1. od góry akapicie chodzi o *rzeczne*, a nie – jak wydrukowano „rzekome dokumenty”.

Nazwisko radcy ambasady austriackiej przy Watykanie, które pojawia się na str. 107., brzmi *Diehm* (a nie *Dielm*), zaś pełnomocnik Niemieckiej Konferencji Biskupów przy Radiu Watykan to *Eberhard von GEMMINGEN*, którego nazwisko na str. 108. zmieniono na „von Cemmincen”.

I wreszcie nazwisko amerykańskiego sekretarza stanu wydrukowano na str. 109. w błędnej formie „Schultz”, zamiast *Shultz*.

Byłbym wdzięczny za opublikowanie tego sprostowania w najbliższym numerze *Kultury*.

Tomasz MIANOWICZ

Drogi Panie Redaktorze,

W swoim opracowaniu „słownika” skrótów i inicjałów Leopold Unger wyjaśnia, że *ESQ* (*Esquire*) oznacza JWPan, albo Wielce Szanowny w adresie.

Nie tak ogólnikowo określa to mój egzemplarz oksfordzkiego słownika: *esquire – title appended to name of one regarded as gentlemen by birth, position or education*. Czyli dżentelmen z urodzenia, stanowiska lub wykształcenia.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

Warszawa, 6 stycznia 1997 roku

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwą przykrością przeczytałem w najnowszym numerze tygodnika *Agora* (z 5 stycznia 1997 roku), specjalizującym się w przedrukach, tekst Pańskiego artykułu pt. „Notatki redaktora – nietakty Prezydenta” zamieszczonego w numerze 11/96 paryskiej *Kultury*. Z tym większą przykrością, iż bardzo cenię Pana i Pańską działalność polonijną i wydawniczą.

Otóż w wyżej wymienionym artykule napisał Pan: „Prezydent miał czas, by przyjmować kabotyńskiego piosenkarza Jacksona, a

nie miał czasu np. by osobiście wręczyć Order Orła Białego Stanisławowi Lemowi, czy znaleźć chwilę czasu na gratulacje Wisławie Szymborskiej, laureatce Nagrody Nobla”. Wspomniał Pan również o przyjmowaniu polskiego boksera, który ma kłopoty z wymiarem sprawiedliwości.

Nie roszczę sobie prawa, co zrobiło wielu dziennikarzy polskich do osądzania i decydowania, z kim Prezydentowi RP jest słusznie się spotykać, a z kim nie. Pragnę jedynie wyjaśnić narosłe wokół tych spraw i powielane nieporozumienia. Otóż:

– po pierwsze – krótka audiencja w Pałacu Prezydenckim piosenkarza amerykańskiego Michaela Jacksona doszła do skutku po zabiegach strony amerykańskiej. Prezydent – podobnie jak wielu innych prezydentów na świecie (z czego w tamtych krajach nikt nie robił sensacji) – pozytywnie odpowiedział na prośby gwiazdy muzyki rockowej;

– po drugie – Prezydent RP rzeczywiście nie uczestniczył osobiście w przekazaniu wielkiemu polskiemu pisarzowi Stanisławowi Lemowi Orderu Orła Białego. Nie uczestniczył, gdyż pisarz nie mógł skorzystać z zaproszenia do Warszawy na tę uroczystość. W tej sytuacji, wychodząc naprzeciw tak wielkiej osobie, Kancelaria Prezydenta RP zdecydowała się wysłać swego przedstawiciela w osobie szefa Kancelarii do Krakowa, by tam w salach Zamku na Wawelu uroczystie przekazać odznaczonemu order. Wydaje mi się, że w żaden sposób nie może być to poczytane za lekceważenie osoby Stanisława Lema, którego Aleksander Kwaśniewski darzy ogromnym szacunkiem. Dał temu zresztą wyraz w liście wystosowanym do pisarza z okazji 75. rocznicy urodzin;

– po trzecie – prezydent zna Andrzeja Gołotę jeszcze z czasów jego występów w polskiej reprezentacji. W tej sytuacji udawanie podczas spotkania z Polonią amerykańską, zorganizowanego przez Ambasadę RP, iż obaj panowie się nie znają, byłoby niezrozumiałe. Tym bardziej, że to właśnie do Prezydenta na wiele miesięcy przed spotkaniem w Nowym Yorku zwrócił się pięściarz listownie z prośbą, aby umożliwiono mu spokojny powrót do kraju i rozwiązanie zaległych spraw.

Panie Redaktorze, wszystkie te zniekształcenia nie skłoniłyby mnie do wystosowania do Pana listu, gdyby nie sprawa Wisławy Szymborskiej. Tak się składa, iż Aleksander Kwaśniewski jest prawdziwym miłośnikiem i znawcą twórczości naszej wspaniałej poetki. W dniu, w którym Wisława Szymborska została ogłoszona laureatką Nagrody Nobla, prezydent wystosował do niej list z gratulacjami, przesał bukiet kwiatów oraz wystąpił z inicjatywą spotkania się. Pisało o tym w komunikacie Biuro Prasowe Prezydenta RP, podawała także tę informację polska prasa, radio i telewizja. Przykro mi, iż Pan Redaktor przeoczył te publikacje.

Abym zamknął tę niemiłą sprawę, informuję Pana, iż niedawno, tuż przed końcem ubiegłego roku, prezydent otrzymał serdeczny list od Wisławy Szymborskiej. Poza wieloma ciepłymi słowami, zawierał on potwierdzenie woli spotkania się w kameralnej atmosferze.

Kilka dni temu rozpoczął się Nowy 1997 Rok. Życzę Panu Redaktorowi, aby upłynął on w zdrowiu i spokoju, pośród rodziny, przyjaciół i osób życzących, do których także – pomimo tego listu – proszę zaliczyć i mnie.

Z poważaniem

Antoni STYRCZULA
Rzecznik Prasowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

Londyn, 29.1.1997 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Mój artykuł „Edynburg – pół wieku megafestiwalu” (*Kultura*, nr 1/592-2/593) ukazał się z konieczności ze skrótami, uzgodnionymi ze mną. Jednakże w ostatniej chwili Redakcja dokonała ponadto dość znacznego skrótu, redukującego część 7 artykułu (str. 175) do kilku linijek. Jeśli piszę teraz parę słów, to nie tytułem pretensji, ale dla wyjaśnienia, że w pominiętym fragmencie scharakteryzowałem działalność Franka Dunlopa, pierwszego dyrektora, który w sposób odkrywczy i pełen wyobraźni, wyeksponował teatralny aspekt festiwalu.

Za kadencji Dunlopa również polski teatr odniósł na festiwalu największe sukcesy od czasów prezentacji Grotowskiego, Kantora i Szajny. W roku 1986 sensacją festiwalu była inscenizacja Andrzeja Wajdy „Zbrodni i kary” Dostojewskiego ze znakomitymi aktorami Starego Teatru w Krakowie – Radziwiłowiczem i Stuhrem. W roku 1989 dobrze przyjęte zostały dwa inne spektakle Starego Teatru: „Życie snem” Calderona (reż. Jerzy Jarocki) i „Dybuk” Ansky’ego w reżyserii Wajdy. Ostatni rok tej dyrekcji, 1981, też przyniósł dwie pozycje polskie: pośmiertny spektakl Kantora „Dzisiaj są moje urodziny”, przyjęty gorąco oraz ZUN Teatru Ekspresji (podał się widzom, znacznie mniej recenzentom).

Z głębokim szacunkiem i pozdrowieniami

Bolesław TABORSKI

Warszawa, 6 stycznia 1997 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

pozwalam sobie przesłać parę uwag – może nie całkiem spóźnionych – w związku z kilku wypowiedziami opublikowanymi w *Kulturze*.

1. Maria Danilewicz Zielińska w nocy poświęconej Tymonowi Terleckiemu z okazji 90 rocznicy jego urodzin (1995, nr 10) pisze, że wydane na obczyźnie i w kraju książki Terleckiego „domagają się dalszego ciągu i zasługują na czujniejszą uwagę krytyki”. To bardzo słuszny postulat wobec faktu, że hossa z początku lat dziewięćdziesiątych towarzysząca w Polsce literaturze emigracyjnej ominęła – nieomal całkowicie – twórczość Terleckiego. Ukazała się tylko, nakładem Wydawnictwa Literackiego w 1991 r., książka o Modrzejewskiej „Pani Helena”. (Wcześniej wydano: „Rzeczy teatralne”, PIW 1984 oraz „Krytykę personalistyczną”, Więź 1987). Jedną z istotnych przyczyn tej nieobecności jest choroba Terleckiego, który z pewnością sam by dbał o swoje publikacje w kraju. Był nieustannie aktywny, a atak choroby dopadł go „na posterunku”, bo podczas posiedzenia jury nagrody *Wiadomości* 19 maja 1990. Pracował nad uzupełnieniem zbioru szkiców biograficznych, które stanowią najlepszą część jego dorobku eseistycznego. Ten tom portretów „swoich i obcych” powinien być wydany w pierwszej kolejności. Pod koniec lat osiemdziesiątych został, prawie w całości, zebrany materiał do obszernego wyboru recenzji teatralnych pt. „Od Lwowa do Londynu (1930-1980)”, który zamierzał opublikować PIW. Zmiany w wydawnictwie i jego sytuacja ekonomiczna po r. 1989 zniweczyły to przedsięwzięcie. Może uda się je wznowić gdzie indziej. Nie słyhać natomiast nic o pracach krytycznych poświęconych przedwojennej i powojennej twórczości czy działalności Tymona Terleckiego.

2. Andrzej Stanisław Kowalczyk recenzję zbioru „Felietonów dla Radia Wolna Europa” Jerzego Stempowskiego zatytułował „Nieznane utwory znanego(?) autora” (1996, nr 5). Użycie tutaj znaku zapytania przyjąć trzeba z aprobatą. Podobnie jak stwierdzenie, że „gdyby nie *Kultura*, Stempowski po wojnie prawdopodobnie do pisania by nie wrócił”. Myślę, że można to powiedzieć bardziej kategorycznie i dobitnie: gdyby nie *Kultura* nie byłoby Stempowskiego – eseisty. Bo dorobek przedwojenny, choć obfity niż zwykle się mniemać, nie mógłby przesądzić o randze literackiej i znaczeniu społecznym tej twórczości. Bez *Kultury* epistolografia Stempowskiego zapewne byłaby bogatsza (o ile to w ogóle możliwe...), ale tak naprawdę to Paweł Hostowicz zdecydował o miejscu, jakie zajmuje (a może – będzie zajmować) w literaturze polskiej pisarstwo Jerzego Stempowskiego. Odnotowując te wielkie zasługi nie należy chyba milczeć o cieniach, jakie pojawiły się później. Wszystkie rocznice śmierci i setna rocznica urodzin Stempowskiego przeszły w *Kulturze* nieodróżnione. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wśród licznie jeszcze ukazujących się wówczas książek Instytutu Literackiego, nie znalazło się miejsce na pełny, chronologicznie ułożony zbiór „Notatników niespiesznego przechodnia”. Nazwisko Stempowskiego pojawiające się z rzadka w *Zeszytach Historycznych*, znalazło się w *Kulturze*, by można było uczcić śmierć Emila Ciorana przedrukiem eseju „Rubis d’Orient” (1996, nr 1-2). Z siedmiu

wydanych w kraju książek Stempowskiego recenzowano tylko jedną. Nikłą jego obecność w *Kulturze* potwierdzają indeksy nazwisk w obu ostatnich tomach „Bibliografii” Danilewicz Zielińskiej.

3. W „Notatkach Redaktora” (1996, nr 7-8) czytamy o inflacji orderowej w Polsce, zwłaszcza o szafowaniu Orderem Orła Białego (może warto by ktoś przypominał ile osób było odznaczonych tym Orderem przed wojną). „Specjalne zdziwienie – pisze Redaktor – wywołało przyznanie Orderu Orła Białego Włodzimierzowi Reczkowi”, którego zasługi to – imponujący staż partyjny (1948-1990) oraz działalność organizacyjna w sporcie. Można tu jeszcze dodać udział w specjalnej ekipie partyjnej (obok Starewicza, Kłosiewicza i Izydorczyka) wysłanej przez Sekretariat KC PZPR 13 lipca 1949 r. wraz z wiceministrem Bezpieczeństwa Publicznego generałem Romkowskim do Lublina w związku z wydarzeniami, które przeszły do historii PRLu jako „cud lubelski”. Zadaniem misji była oczywiście pacyfikacja nastrojów społecznych (zob. Jerzy Poksiński, „Przeciw Kościołowi”, *Karta* 1992, nr 9).

4. Chciałbym także publicznie (zrobiłem to już osobiście) przekazać Ziemowitowi Fedeckiemu słowa uznania za stworzenie symbolicznego grobu Dymitra Fiałosofowa na Cmentarzu Prawosławnym w Warszawie (1996, nr 3). To pierwszy krok do spłacenia długu, jaki ma kultura polska wobec tego Rosjanina. Następnym powinno być wydanie wyboru jego artykułów i esejów. A przy okazji: prawdziwy grób Fiałosofowa, który zmarł w Otwocku 5 VIII 1940, był grobem ziemnym (w kwaterze 17.11.8) i uległ zagładzie, gdy w początkach lat pięćdziesiątych urządzono w tym miejscu kwaterę budowniczych Pałacu Kultury i Nauki, którzy zmarli bądź zginęli w wypadkach. I tak się stało, że prochy „białego emigranta”, „skrajnego mistyka i wroga wszelkiej rewolucji” (jak go określiła sowiecka *Litieraturnaja Encyklopedia*) spoczywają obok szczątków jego rodaka – „człowieka sowieckiego”, który wykonywał stalinowskie polecenie w zniewolonym kraju.

Jerzy TIMOSZEWICZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.K., *Jastrzębie Zdrój, Polska* – Wiersze Pana, choć pełne słusznych uwag o „nieszczęsnym królestwie”, są jednak zbyt wtórne, by je publikować.

J.K., *Włocławek, Polska* – Pańskie poetyckie impresje świadczą o Pana dużej wrażliwości, na druk jednak jeszcze za wcześnie.

W.B., *Gdańsk* – Wiersze nie przemysłane. Co oznacza np. „bolesna klawiatura maszyny do pisania”?

A.S., *Kraków* – Takie utwory jak „Kiedyś był wieczór...” czy „Myśle o domu...” pozwalają wierzyć, że w przyszłości Pani poezja zyska własny wyraz.

Małgorzata N., *Polska* – Nie zastanawia się Pani nad sensem obrazu. Co to są np. „żyłki krwi”?

H.W., *Warszawa* – Nadesłane wiersze stanowią zapewne dla Pana cenną pamiątkę, lecz artystycznie są mało przekonujące.

Paweł T., *Polska* – Pański poemat jest zbyt rozgadany i poetycko niezborny.

K.B., *Kraków* – Pańskie utwory, świadczące niewątpliwie o opanowaniu warsztatu pisarskiego, wydają się blahymi impresjami.

M.F., *Kraków* – Pańskie zamiłowanie do wierszy klasycznych zasługuje na szacunek. Niestety, naśladownictwo tych wzorów wymaga dziś szczególnego talentu.

Roman H., *Polska* – Obrazy przez Pana proponowane „wiewiórki obdarzone wścieklizną”, „kropla dziewczynki”, „wiatr uderzony krzyżem prosto w twarz” – przerażają.

BK., *Kraków* – Nie bardzo można zrozumieć na czym polega wypijanie monety z ust zmarłego. Fakt, że ktoś nie zjadł dziecka znalezione na trawie wydaje się banalny.

P.B., *Paryż* – Nie każdy turpistyczny obraz („Że my, śmierzące i mokre/ że my to człowiek”) zasługuje na miano poezji.

Sz.M., *Polska* – Wiersze nadesłane przez Pana są, niestety, słabsze niż te przysłane poprzednio.

A.M., *Paryż* – Utwory przez Panią nadesłane „Marzenia” i „Bezsensowność” świadczą o dużej wrażliwości i spostrzegawczości, jednakże na druk ich z pewnością za wcześnie. Okoliczności powstawania wierszy nie mogą mieć wpływu na ich ocenę artystyczną.

Jadwiga S., *Polska* – Z wierszy nie skorzystamy.

Piotr L., *Polska* – Pana pomysł z głową posagu Diany, która pełni rolę syzyfowego kamienia, jest zabawny. Poetycki wyraz, w jaki Pan ten pomysł obleka, artystycznie jednak nie przekonuje. Ta uwaga dotyczy też pozostałych utworów.

K.G., *Polska* – Pani opowiadania „Początek” i esejów o Gombrowiczu nie zamieścimy. Są bardzo słabe.

- Leszek Łabno, Nussbaumen, (Szwajcaria) – po raz 17-ty F. 220,00
 Józef Masiewicz, Toronto, ON (Kanada) – po raz 18-ty F. 200,00
 Renata i Witold Mikułowscy, Warszawa – zamiast
 kwiatów na grób pp. Langrodów F. 270,00
 Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA) – po raz
 37-my – dol. 71,00 F. 384,00
 W.M. Szczygielski, Unionville ON (Kanada) – w rocznicę
 urodzin i śmierci Kazimierza Pierackiego (1891-
 1941) – członka ZWC i „Strzelca”, Żołnierza I bryg.
 leg., komendanta POW w Lublinie, filologa i
 pedagoga, wiceministra WRiOP, gł. architekta i
 wykonawcy reformy szkolnej 1932 r., dyr. Państw.
 Wyd. Książek Szkolnych, założyciela Tow. Popiera-
 nia Budowy Publ. Szkół Powszechnych oraz Tow.
 Oświaty Zawodowej, przewodn. podziemnej Komisji
 Oświecenia Publ., więźnia Pawiaka i kaźni gestapo,
 zamordowanego w Oświęcimiu – dol. can. 100,00 . F. 400,00
 Irena i Jerzy Szwede, Palo Alto, CA (USA) – zamiast
 kwiatów na grób wieloletniego Przyjaciela Alojzego
 Siudzińskiego, zmarłego 2 stycznia 1997 w Palo Alto,
 California – dol. 100,00 F. 540,00
 W 2-gą rocznicę śmierci Marii Topperman – Wojciech,
 Karolina i Noemi Topperman, Toronto, ON (Kanada) F. 540,00
 Zapis testamentowy Maji Prądyńskiej, zmarłej w
 Kanadzie 27 kwietnia 1994 roku F. 40.617,00
 Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż – dla uczczenia pa-
 mięci serdecznego Przyjaciela Władysława Szysz-
 kowskiego, żołnierza AK, prawnika, historyka,
 zmarłego w podróży w St. Zjednoczonych 29.12.1996 F. 500,00
 Zygmunt Dyka, Menton (Francja) – na pomoc Polakom
 we Lwowie F. 140,00

DZIĘKUJEMY

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{ère} trimestre 1997.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
 Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 1997

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifschies, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
 Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
 INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 497 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DZIEWIĘTNASTY

zawiera opracowania: „Znicz” (Gen. T. Bór-Komorowski): *Wytyczne społeczno-polityczne na okres powstania*; M. Jackiewicz: *Impresje białoruskie*; T. Mianowicz: *Rok 1981: mity i rzeczywistość*; *Spotkanie z Adamem Mickiewiczem – Aleksander Herzen i Władysław Mickiewicz*; Mirosław Adam Supruniuk: *Bibliografie emigracyjne*; *Sprawa Żydów – obywateli polskich w świetle oficjalnych dokumentów oraz praktyki władz radzieckich*; Prof. St. Kot: *Stosunki Ambasad RP w ZSRR z wojskiem (do wiadomości gen. Andersa)*; M. Szeskin, M. Kahan: *Memoriał do gen. Andersa*; J. Osica, A. Sowa: *Rozmowa z Andrzejem Ajnenkiele*; W. Kempfi: *Moje lata uniwersyteckie*; M.M. Drozdowski: *Dziennik doktoranta z 1956 r.*; J.J. Milewski: *Białoruskie formacje wojskowe 1917-1923*; St. Jankowiak: *Sprawa ekstradycji dowódcy Brygady Świętokrzyskiej płk. A. Dąbrowskiego – „Bohuna”*; K. Zamorski: *Epilog dwóch tajnych biur 2 Korpusu oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI*.

Str. 240

Cena F. 90,00